



GALAKTYKA GUTENBERGA

H. BEAM PIPER



Kudłacz
TERRO-HUMAN

Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[Przypisy.](#)

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:

1. Harry Harrison Planeta śmierci
2. H. Beam Piper Kudłacz
3. H. Beam Piper Kudłacz rozumny
4. H. Beam Piper Kudłacze i inni ludzie
5. Siergiej Sniegow Galaktyczny zwiad
6. Siergiej Sniegow W Perseuszu
7. Siergiej Sniegow Pętla wstecznego czasu
8. antologia Złoty Wiek SF tom 1
9. antologia Złoty Wiek SF tom 2
10. antologia Złoty Wiek SF tom 3
11. antologia Złoty Wiek SF tom 4
12. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 1
13. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 2
14. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 3
15. Clifford D. Simak Imperium
16. E.E. „Doc” Smith Lensman 1: Trójplanetarni
17. E.E. „Doc” Smith Lensman 2: First Lensman
18. E.E. „Doc” Smith Lensman 3: Galactic Patrol
19. Murray Leinster Pierwszy kontakt
20. E.E. „Doc” Smith Skylark 1

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

H. Beam Piper

Kudłacz

Przełożył
Wiesław Lipowski

SOLARIS
Sławigoda 2013

Kudłacz

tyt. oryginału: *Little Fuzzy*

Little Fuzzy copyright © 1962 by H. Beam Piper

Little Fuzzy copyright © 2013 by Project Gutenberg



ISBN 978-83-7590-095-8

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Maciej Garbacz

Korekta – Bogdan Szyma

Skład – Solaris Druk

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11–034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 89 5413117

e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl



1.

Jack Holloway przymknął powieki; oślepiło go nagle ostre, pomarańczowe słońce. Podniósł rękę, zsunął kapelusz na oczy i opuścił ją z powrotem na pulpit. Postanowił zmienić częstotliwość impulsów generatorów pola antygravitacyjnego i dźwignąć manipulator o kolejne trzydzieści metrów. Siedział chwilę bez ruchu, pykając ze swej krótkiej fajki, od której pożółkły mu kąciki białych wąsów, i patrzył w dół, na czerwoną, przywiązaną do krzaka szmatę na tle skalistego wąwozu, odległego o pół kilometra. Uśmiechał się z zadowoleniem.

— Ta będzie udana — powiedział głośno do siebie, jak człowiek, który od dłuższego czasu przebywa tylko we własnym towarzystwie.

— Chcę zobaczyć, jak idzie w górę.

Lubił ten widok. Pamiętał co najmniej tysiąc salw odpalonych przez siebie w ciągu wielu lat na tylu planetach, że nie zdołałby ich z pamięci wymienić. W tym kilka ładunków termonuklearnych. Mimo to każda salwa różniła się od pozostałych i zawsze było na co popatrzeć. Choćby na taką skromną jak ta. Trącił bezpiecznik, wymacał kciukiem klawisz zapalnika i wysłał impuls radiowy; czerwona szmata zginęła w wysokich kłębach dymu i pyłu, które podniosły się w wąwozie i zamieniły w plamę błyszczącą miedzianie w promieniach słońca. Wielki manipulator, unoszony polem antygravitacyjnym, zakołysał się łagodnie; rumowisko kamieni runęło z pluskiem do niewielkiego potoku, obsypując okoliczne drzewa.

Począł, aż maszyna się uspokoi, następnie poszybował do miejsca, gdzie ładunkiem kataklyzmitu wyciął w skale podłużną, głęboką bruzdę. Niezły strzał: zwałił mnóstwo piaskowca, rozłupał żyłę krzemienia i nie rozrzucił go zanadto po terenie. Widać było dużo pojedynczych bloków.

Rozpostarł kleszcze, a potem ciągnąc i szarpiąc dolnymi chwytakami, uniósł spory blok i rzucił go na płaski grunt między skalistą ścianą parowu a strumieniem. Zgarnął następny blok, rzucił go w to samo miejsce i rozbił jeden o drugi. Rzucał blok za blokiem, póki nie nazbierał ich tyle, ile zdąży przerobić do końca dnia. W końcu wylądował, wyciągnął skrzynię z narzędziami oraz podnośnik antygravitacyjny z długą rączką i zeskoczył na ziemię. Tutaj otworzył skrzynię, założył rękawiczki oraz okulary ochronne, a potem sięgnął po mikrofalowy skaner i młotek wibracyjny.

Pierwszy blok, który roztrzaskał, był pusty w środku; skaner dawał czysty rysunek, o jednolitej strukturze. Dźwignął go podnośnikiem, rozkołysał i wyrzucił do strumienia. Dopiero przy piętnastym bloku ujrzął rysunek z zakłóceniami, które informowały go, że w środku jest kamień słoneczny lub jeszcze coś innego, a raczej to drugie.

Jakieś pięćdziesiąt milionów lat temu, gdy planeta zwana Zaratustra (nazywana tak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat) była jeszcze młoda, istniały na niej pewne formy życia morskiego przypominające meduzy. Po śmierci tonęły one w mule głębinowym na dnie oceanów; piasek stopniowo przykrył warstwy denne, zgniatając je coraz bardziej i bardziej, aż przeistoczyły się w szklisty krzemień, a pogrzebane meduzy zamieniły w ziarenka twardych kamyków. Niektóre z nich, na skutek jakiejś dawnej osobliwości biochemicznej, były intensywnie termofluoryzujące; noszono je więc dla ozdoby, a one jarzyły się pod wpływem ciepła ciała człowieka.

Na takich planetach jak Terra, Baldur, Freya czy Isztar pojedynczy kawałek oszlifowanego kamienia słonecznego był warty majątek. Nawet tutaj kupcy klejnotów z Kompanii Zaratustra płacili za nie wysoką cenę. Niewiele sobie obiecując po tym znalezisku, wyjął ze skrzyni mniejszy młotek wibracyjny i ciosał delikatnie tajemniczy przedmiot tak długo, aż krzemień pękł i odsłonił gładką, żółtą powierzchnię elipsoidy długości dwóch centymetrów.

— Wart tysiãc soli, jeŝli w ogóle coŝ wart — mruknãł. Zręczne puknięcie tutaj, jeszcze jedno tam i ŝółte ziarenko wytoczyło siã na zewnãtrz. Wziãł je w palce i potarł miãdzy dłońmi w rękawiczkach. — To chyba nie to. — Potarł trochã silniej i przytrzymał nad gorãcym cybuchem fajki. Nadal ŝadnej reakcji. Rzucił je na ziemiã. — Nastãpna meduza, która była na złyj diecie.

Coŝ zaszeleściło za nim wŝród zaroŝli. Őciãgnãł rękawiczkã z prawej dłoni i odwrócił siã, siãgajãc do biodra. W tym momencie zobaczył to, co spowodowało szelest — stworzenie o twardej skorupie, dłuŝoŝci prawie pól metra, z tuzinem nóg, dłuŝgimi mackami i dwiema parami szponiastych szczãk. Schylił siã, wziãł do ręki odłamek krzemienia i złoŝrzecząc, rzucił w jego stronã. Jeszcze jedna cholerna krewetka lãdowa z piekła rodem.

Nie znosił krewetek. To były straszne bestie, nie ze swej winy oczywiŝcie. Mówiãc konkretnie, miały niszczycielŝkã naturã. Wpelały do róznych sprzëtów w obozie; próbowały wszystko jeŝć. Zakradały siã do maszyn, być moŝe smakował im smar, i powodowały awarie. Przegryzały izolacje. Wlãziły mu do łózka i gryzły go, czy raczej szczypały boleŝnie. Nikt nie kochał krewetek, choćby jednej.

Ta uciekła przed kamieniem, czmychnãła o metr i skrãciła, wymachujãc mackami, jakby chciała z niego zadrwić. Jack znowu siãgnãł do biodra, ale po chwili wstrzymał rękã. Naboje były drogie jak diabli; nie wolno ich marnować na dziecinne porachunki. Nagle uprzytomnił sobie, ŝe ŝaden nabój wystrzelony w kierunku celu nie marnuje siã naprawdã i ŝe ostatnio nie miał okazji sobie postrzelać. Schylił siã ponownie i wziãł do ręki drugi kamieñ, rzucajãc go o ćwierć metra bliŝej, na lewo od krewetki. W chwili gdy kamieñ wyleciał z palców Jacka, jego rãka powãdrowała do kolby automatu z dłuŝgã lufã. Wyciãgnãł go i odbezpieczył, zanim kamieñ dotknãł ziemi; a gdy krewetka rzuciła siã do ucieczki, strzelił z biodra. Pseudoskorupiak rozpadł siã. Jack pokiwał głowã z zadowoleniem.

— Staruszek Holloway jeszcze trafia w cel, do którego mierzy.

Były czasy, całkiem niedawne, kiedy traktował swoje umiejętności jako coś oczywistego. Obecnie doszedł do tego wieku, że trzeba było je potwierdzić. Wcisnął kciukiem bezpiecznik, chowając broń do kabury, następnie podniósł rękawiczkę z ziemi i założył ją z powrotem.

Nigdy nie widział takiego zatrzęsienia cholernych krewetek jak tego lata. Dały się we znaki już w zeszłym roku, ale to było nic w porównaniu do sytuacji obecnej. Przyznawali to nawet starzy wyjadacze, mieszkający na Zaratustrze od początku kolonizacji. Na pewno istniało jakieś proste wyjaśnienie, coś, co zdumiałoby takiego ignoranta jak on, że nie wpadł na to od razu. Być może miała z tym coś wspólnego niezwykła susza. Albo rozrost zwierząt, którymi się żywią, lub spadek liczby naturalnych wrogów.

Wiedział, że krewetki lądowe nie mają naturalnych wrogów; pytał o to. A jednak coś je uśmiercało. Spotykał ich rozbite skorupy, niektóre dość blisko obozu. Być może rozdeptane przez kopyta jakichś dużych bestii, a potem ogryzione do czysta przez owady. Zagadnie o to Bena Rainsforda, on na pewno będzie wiedział.

Pół godziny później skaner dał mu kolejny rysunek z zakłóceniami. Odłożył go na bok i złapał mały młotek wibracyjny. Tym razem był to duży, jasnoróżowy kamyk. Wyciął go z krzemiennej macicy i lekko potarł. Kamień natychmiast się rozjarzył.

— No! To jest kamyk co się zowie!

Potarł go trochę mocniej i ogrzał nad fajką; pięknie zajaśniał. Ponad tysiąc soli, powiedział do siebie Jack. Dobrej barwy, na dodatek. Zdjął rękawiczki i wyjął spod koszuli mały skórzany woreczek, rozluźniając tasiemkę, na której wisiał na szyi. W środku znajdowało się kilkanaście ziarenek, wszystkie jarzyły się niczym żywe węgielki. Spoglądał na nie przez chwilę i dorzucił do nich kolejny kamień słoneczny, śmiejąc się radośnie.

Victor Grego słuchał nagrania swego głosu, pocierając kamień słoneczny na małym palcu lewej ręki wewnętrzną stroną prawej dłoni i obserwując,

jak zaczyna błyszczeć. Zauważył, że w jego głosie dała się słyszeć nuta chępliwości — nie zaś uprzejme, bezbarwne tony, dopuszczalne na dysku z komunikatem. No cóż, jeśli ktoś się zdziwi, gdy odtworzą go za sześć miesięcy w Johannesburgu na Terze, to niech lepiej zajrzy do ładowni statku, który przebył pięćset lat świetlnych kosmosu. Sztaby złota, platyny i gadolinu. Futra, związki biochemiczne i brandy. Perfumy, które oparły się syntetycznym kopiom; drzewa tak twarde, że nie dorówna im żaden plastik. Przyprawy. I stalowy kufer wypełniony kamieniami słonecznymi. Prawie same luksusy, jedyny naprawdę pewny towar w handlu międzygwiazdnym.

Wspomniał też o innych rzeczach. O mięsie trawożera, wciąż cieszącym się popytem na kilkunastu planetach niezdolnych do produkcji terrańskiej żywności, którego było o siedem procent więcej niż w ubiegłym miesiącu, a dwadzieścia niż w ubiegłym roku. Zboże, skóra, drewno. Dołączył też kilkanaście nowych pozycji do coraz dłuższej listy towarów, które Zaratustra mogła już produkować w odpowiednich ilościach, nie musząc ich więcej importować. Żadnych haczyków na ryby i zapinek do butów, materiałów wybuchowych i prochu, części do generatorów pola antygravitacyjnego, urządzeń zasilających, środków farmakologicznych czy tkanin syntetycznych. Kompania nie musiała już wspierać Zaratustry; Zaratustra mogła wspierać Kompanię i samą siebie.

Piętnaście lat temu, kiedy Kompania Zaratustra wysłała go tutaj, obok skleconego z byle czego lądowiska stało skupisko chat z bali i prefabrykatów, prawie w tym samym miejscu, gdzie obecnie wznosi się drapacz chmur. Dzisiaj Mallorysport to miasto liczące siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców; ogółem na planecie żyło blisko milion ludzi i liczba ta stale rosła. Mieli stalownie, instalacje chemiczne, reaktory i zakłady maszynowe. Wytwarzali wszystkie potrzebne im materiały rozszczepialne, a ostatnio rozpoczęli eksport niewielkich ilości rafinowanego plutonu, uruchomili nawet produkcję ekranów kolapsu grawitacyjnego.

Głos z dysku umilkł. Wrócił do niego biegiem, nastawił prędkość na sześćdziesiąt i przetransmitował do centrali telekomunikacyjnej. Za dwadzieścia minut kopia nagrania trafi na pokład statku, który ma wyruszyć tej nocy przez podprzestrzeń w kierunku Terry. Nim skończył, zabrzączał moduł komunikacyjny.

— Doktor Kellogg na linii, panie Grego — poinformowała go dziewczyna z sekretariatu.

Kiwnął głową. Sekretarka skinęła ręką, po czym zniknęła w eksplozji kolorowych rozbłysków; ledwo zakłócenia ustały, zamiast niej z monitora wyjrzał szef sekcji badawczej. Spoglądając nieco do góry na lustro nad ekranem, Victor przybrał najpierw ciepły, miły i szczerzy uśmiech, by na koniec z lekką przesadą wyszczerzyć zęby.

— Cześć, Leonardzie. Jakież kłopoty?

Albo nie było żadnych kłopotów i Leonard Kellogg czekał na większe dowody uznania, niż na to zasługiwał, albo były i szukał kozła ofiarnego, nim ktokolwiek zdąży zwalić winę na niego.

— Dzień dobry, Victorze. — Właściwie dobrany odcień uszanowania dzięki użyciu imienia — jak gruba ryba do grubej ryby. — Czy Nick Emmert rozmawiał dziś z tobą o projekcie Wielkiej Czarnej Wody?

Nick był gubernatorem generalnym z ramienia Federacji, na Zaratustrze pełnił faktycznie funkcje rządu Federacji Terrańskiej. Był także poważnym akcjonariuszem Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra.

— Nie. A miał ze mną rozmawiać?

— Cóż, byłem ciekaw, Victorze. Miałem go przed chwilą na ekranie. Podobno ludzie szemrzą, że to wpłynie na opady w okolicach Piemontu na kontynencie Beta. Martwi się tym.

— No to wpłynie na opady. W końcu odwodniliśmy trzy czwarte miliona kilometrów kwadratowych moczarów, a wiatr wieje głównie z zachodu. Po ich wschodniej stronie wilgotność powietrza obniży się. Kto narzeka i co martwi Nicka?

— Cóż, Nick się boi, co na to powie opinia publiczna na Terze. Wiesz przecież, jak silne są nastroje w sprawie ochrony środowiska, wszyscy są przeciw wszelkim formom niszczącej eksploatacji.

— Mój Boże! Czy utworzenie półtora miliona kilometrów kwadratowych nowej ziemi ornej można nazwać niszczącą eksploatacją, co?

— Mhm, nie, Emmert nie określa tego w ten sposób, oczywiście, że nie. Niepokoi się natomiast, że na Terę dotrze kłamliwa wieść o zakłócaniu przez nas równowagi ekologicznej i wywoływaniu susz. Muszę przyznać, że sam się o to martwię.

Znał powody do niepokoju jednego i drugiego. Emmert bał się, że Federacyjne Ministerstwo Kolonii obwini go, iż ściągnął na nich ogień ze strony obrońców środowiska. Kellogg bał się zarzutu, że nie przewidział skutków projektu, zanim poparła go jego sekcja. Jako szef działu dotarł na sam szczyt hierarchii Kompanii, teraz znajdował się na torze wyścigowym Królowej Kier, gnając jak wszyscy diabli, by pozostać w tym samym miejscu.

— Opady zmniejszyły się o dziesięć procent w porównaniu z zeszłym rokiem, a o piętnaście w porównaniu z tym, co było dwa lata temu — ciągnął Kellogg. — Pewne osoby spoza Kompanii podchwyciły te liczby, tak samo jak Wiadomości Międzyświatowe. Cóż, nawet kilku moich ludzi napomyka o ubocznych skutkach ekologicznych. Dobrze wiesz, co się stanie, kiedy taka historia przedostanie się na Terę. Fanatycy ochrony środowiska rzucają się na nią i Kompania będzie pod ostrzałem.

To mogło zabość Leonarda. Utożsamiał się z Kompanią. To było coś potężniejszego i silniejszego odeń, niczym sam Bóg.

Victor Grego utożsamiał Kompanię. Była czymś wielkim i pełnym mocy, niczym statek kosmiczny, a on siedział za sterem.

— Leonardzie, szczypta krytyki nie zaszkodzi Kompanii — odparł. — Ani temu, co się liczy naprawdę — profitom. Mam wrażenie, że jesteś

przeczulony na krytykę. Skąd Emmert właściwie dowiedział się o tym? Od ludzi z twojej sekcji?

— Nie, absolutnie nie, Victorze. To go właśnie martwi. Jego człowiek, Rainsford, wszczął całą sprawę.

— Rainsford?

— Doktor Bennett Rainsford, przyrodnik. Instytut Ksenotyki. Nigdy nie miałem do nich zaufania, wtykają stale nos w cudze sprawy i Instytut zasypuje Ministerstwo Kolonii meldunkami o swoich odkryciach.

— Już wiem, o kim mówisz; mały facet z rudymi baczkami, zawsze wygląda tak, jakby spał w ubraniu. No cóż, to jasne, że ludzie z Ksenotyki wtykają nos w nie swoje sprawy i — ma się rozumieć — że ślą meldunki do rządu o odkryciach. — Zaczynał tracić cierpliwość. — Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Leonardzie. Ten Rainsford przeprowadził po prostu rutynową obserwację skutków meteorologicznych. Proponuję, aby twoi specjaliści od meteorologii wszystko sprawdzili, i jeśli dane okażą się rzetelne, podajcie je śródkom przekazu łącznie z resztą waszych osiągnięć naukowych.

— Nick Emmert sądzi, że Rainsford jest tajnym agentem Federacji.

Omali nie parsknął śmiechem. Oczywiście, że na Zaratuście byli tajni agenci, całe setki. Kompania miała tu swoje wtyczki do kontrolowania nawet jego, wiedział o tym i nie miał im tego za złe. Podobnie jak wielcy udziałowcy, Międzygwiazdna Eksploracja, Kartel Bankowy i linie kosmiczne Terra Baldur Marduk. Nick Emmert posiadał swoich szpicli i kapusiów. Federacja Terrańska dysponowała ludźmi, którzy sprawdzali zarówno jego, jak i Emmerta. Rainsford mógł być agentem Federacji — zawód wędrownego przyrodnika byłby doskonałą przykrywką. Tylko że historia z Wielką Czarną Wodą była bezdennie głupia. Nick Emmert ma za dużo na sumieniu; szkoda, że sumienia nie są wyposażone w bezpieczniki, które mogłyby się spalić w razie przeciążenia.

— Przyjmijmy, że jest agentem, Leonardzie. O czym mógłby donieść na nas? Jesteśmy Koncesjonowaną Kompanią i mamy znakomity wydział prawny, który pilnuje naszego bezpieczeństwa w granicach koncesji. Bardzo liberalnej, na dodatek. To jest nie zamieszкана planeta III klasy, Kompania jest właścicielką absolutnie wszystkiego. Możemy robić, co nam się żywnie podoba, jak długo nie złamiemy prawa kolonialnego ani Konstytucji Federacyjnej. Dopóki tego nie zrobimy, Nick Emmert nie ma się czym martwić. No, zapomnij o tej przeklętej sprawie, Leonardzie! — Zaczynał mówić z zapałem, a Kellogg robił obolałą minę. — Wiem, że niepokoisz się krzywdzącymi raportami na Terrę, i to jest godne pochwały, ale...

Nim skończył, Kellogg znowu był szczęśliwy. Victor wyłączył teleekran, odchylił się do tyłu w fotelu i parsknął śmiechem. Po chwili moduł zabrzączał na nowo. Pstryknął włącznikiem i zobaczył na ekranie swoją młodą sekretarkę.

— Zgłosił się pan Henry Stenson, panie Grego — powiedziała.

— No to połącz go. — W ostatniej chwili powstrzymał się od dodania, że przyjemnie będzie dla odmiany porozmawiać z kimś rozsądnym.

Twarz, która pojawiła się na monitorze, była starszawa i wychudła. Stenson miał zaciśnięte usta i zmarszczki w kącikach oczu od ich częstego mrużenia.

— No cóż, panie Stenson. Miło, że pana widzę. Jak się pan czuje?

— Dziękuję, znakomicie. A pan? — Kiedy Victor także przyznał się do świetnego samopoczucia, Stenson zapytał: — Jak się kręci planetarium? Wciąż pełna synchronizacja?

Victor spojrział na drugą stronę biura na swój najcenniejszy nabytek, wielkie planetarium Zaratustry, które zbudował mu Henry Stenson, wsparte prawie dwa metry od podłogi na własnym zespole antygravitacyjnym, oświetlone pomarańczowym światłem, które miało symbolizować słońce

typu widmowego KO. Dookoła obracającego się powoli globu krążyły dwa księżyce.

— Sama planeta chodzi idealnie równo i z Dariuszem też nie ma żadnych problemów. Kserkses jest o kilka sekund długości geograficznej w przodzie od właściwej pozycji.

— To straszne, panie Grego! — Stenson był zaszokowany. — Jutro z samego rana muszę go wyregulować. Powinienem być już dawno sprawdzić, ale wie pan, jak to jest. Człowiek ma tyle spraw do załatwienia, a wciąż brakuje czasu.

— Mam te same problemy co i pan, panie Stenson.

Gawędzili przez chwilę, po czym Stenson przeprosił pana Grego za zabranie mu cennego czasu. W rzeczywistości miał na myśli to, że traci własny czas, równie dla niego cenny. Po wygaszeniu monitora Grego siedział przez chwilę i wpatrywał się w ciemne szkło. Żałował, że nie dysponuje w swojej organizacji setką takich facetów jak Stenson. Po prostu facetów z głową i charakterem Stensona. Marzenia o stu konstruktorach z jego umiejętnościami nie miały sensu, nawet jako marzenia. Jest tylko jeden Henry Stenson, tak samo jak był tylko jeden Antonio Stradivarius. Czemu taki człowiek pracuje w małym, warsztacie na jakiejś pogranicznej planecie, takiej jak Zaratustra...

Następnie z dumą popatrzył na globus. Kontynent Alfa obracał się powoli w prawo, widać było na nim plamkę oznaczającą Mallorysport, migoczącą w pomarańczowym świetle. Dariusz, księżyc wewnętrzny, na którym linie kosmiczne Terra Baldur Marduk dzierżawiły swój terminal, zwieszał się niemal pionowo nad miastem. Księżyc zewnętrzny, Kserkses, wchodził stopniowo w pole widzenia. Kserkses był jedyną rzeczą w świecie Zaratustry, która nie należała do Kompanii. Federacja Terrańska zatrzymała go na swoją bazę Floty Kosmicznej. Stanowił jedyne przypomnienie, że istnieje coś większego i silniejszego niż Kompania.

Gerd van Riebeek spostrzegł, że Ruth Ortheris opuszcza ruchome schody. Zeszła na bok i przystanęła, rozglądając się po koktajlbarze. Odstawił na kontuar szklankę, w której było trochę letniej whisky z wodą sodową. Gdy oczy Ruth przesunęły się w jego kierunku, pomachał do niej ręką. Spostrzegł, że się ożywiła i odwzajemniła gest, podszedł więc do niej, aby się przywitać. Dała mu szybkiego całusa w policzek, wykręciła się, kiedy wyciągnął ku niej rękę, i chwyciła go pod ramię.

— Chcesz się napić, zanim zjemy? — spytał.

— O Boże, tak! Mam już dość na dzisiaj.

Poprowadził ją w stronę jednej z maszyn usługujących, włożył klucz kredytowy i wsunął pod kran dzbanek o pojemności czterech porcji. Wystukał numer koktajlu, który zawsze pili, gdy byli razem. Dopiero teraz zwrócił uwagę na jej ubranie: krótki, czarny żakiet, lawendowa chustka na szyi, jasnoszara spódnica. Nie jej zwykłe wakacyjne ciuchy.

— Departament szkolny ściga cię z powrotem? — spytał, kiedy dzbanek się napełnił.

— Sąd dla nieletnich. — Wzięła dwie szklanki z półki pod maszyną, a Gerd sięgnął po dzbanek. — Piętnastoletni włamywacz.

Znaleźli stolik w drugim końcu sali, jak najdalej od okropnej wrzawy panującej w porze lunchu. Gdy tylko Gerd napełnił jej szklankę, wypijała połowę, a później zapaliła papierosa.

— Junktown? — spytał.

Przytaknęła ruchem głowy.

— Mija dopiero dwadzieścia pięć lat od odkrycia tej planety, a już mamy slumsy. Zmarnowałam tam prawie całe popołudnie, z dwójką policjantów z miasta. — Sprawiała wrażenie, że nie chce o tym mówić. — A ty jak spędziłeś dzień?

— Ruth, musisz poprosić doktora Mallina, by wpadł czasem do Leonarda Kellogga i dał mu wycisk.

— Chyba nie masz z nim znowu problemów? — spytała z niepokojem.

Gerd skrzywił się i wypił kilka łyków koktajlu.

— Problemem jest samo przebywanie w towarzystwie tego łobuza. Ruth, Len Kellogg to kompletny świr, aby użyć określenia, którego nienawidzi twoja profesja! — Wypił jeszcze trochę i poczęstował się jej papierosem. — Posłuchaj... — zapalił i mówił dalej: — Kilka dni temu oznajmił, że jest zasypywany pytaniami w sprawie tej plagi krewetek, jaką mają na Becie. Zażądał, bym rozpoczął badania w celu znalezienia przyczyn i środków zaradczych.

— No i co?

— Znalazłem. Odbyłem dwie rozmowy przez teleekran, a potem sporządziłem raport i wysłałem do niego. I w tym momencie pociągnąłem za spust; powinienem potraktować to poważniej i poświęcić tej sprawie parę tygodni.

— Co stwierdziłeś w swoim raporcie?

— Fakty. Czynnikiem ograniczającym rozrost krewetek jest pogoda. Jaja leżą pod ziemią i wiosną młode krewetki przebijają się na zewnątrz. Jeśli spadnie dużo deszczu, zaraz po wykluciu większość tonie w jamkach ziemnych. Analiza słoików drzewnych wykazuje, że ubiegła wiosna była w Piemontcie Bety najsuchsza od stuleci, więc prawie wszystkie krewetki przeżyły. A skoro są to rozmnażające się partenogenetycznie samice, każda złożyła jaja. Tej wiosny była jeszcze większa susza, a więc mają teraz krewetki na całej centralnej Becie. I doprawdy nie wiem, jak można temu zaradzić.

— No dobrze, może uważał, że to tylko twoje domysły?

Potrząsnął głową ze złością.

— Nie mam pojęcia, co on myśli. To ty jesteś psychologiem, spróbuj to wydedukować. Posłałem mu raport wczoraj rano. Wówczas wydawał się całkiem zadowolony. Dziś w południe, tuż po dwunastej, wezwał mnie i powiedział, że mu nie odpowiada. Próbował mi wmówić, że opady na Becie nie odbiegają od normy. Idiotyzm, powołałem się na jego

własnych meteorologów i specjalistów od klimatu, którzy nafaszerowali mnie tymi informacjami. Skarżył się, że media żądają od niego wyjaśnień. Oznajmiłem, że dostał ode mnie jedyne wyjaśnienie, jakie istnieje. Stwierdził, że na nic mu się nie przyda. Trzeba to jakoś inaczej wytłumaczyć.

— Jeśli nie odpowiadają ci fakty, to je ignoruj, a skoro ich potrzebujesz, to wyśnij sobie takie, które będą ci odpowiadać — powiedziała Ruth. — Typowe odrzucenie rzeczywistości. To nie choroba psychiczna, ani nawet psychoneuroza. Ale oczywiście trudno mówić o zdrowym rozsądku. — Dopła pierwszy drink i bez pośpiechu zaczęła sączyć drugi. — Wiesz, to ciekawe. Czy on ma jakąś własną teorię, która może obalić twoją?

— Żadnej, o której bym wiedział. Odnoszę wrażenie, że po prostu nie chce dyskutować na temat opadów na Becie.

— Dziwne. Czy ostatnio dzieje się tam coś szczególnego?

— Nie. Nic, o czym byłoby mi wiadomo — powtórzył. — Ma się rozumieć, że suszę spowodowało odwadnianie moczarów, i w zeszłym roku, i w tym, ale nie rozumiem... — Jego szklanka okazała się pusta i kiedy przechylił nad nią dzbanek, wyciekło tylko kilka kropli. Zerknął na zegarek. — Chyba możemy wypić jeszcze jeden koktajl przed obiadem? — spytał.

2.

Jack Holloway wylądował manipulatorem przed skupiskiem baraków z prefabrykatów. Przez chwilę siedział nieruchomo, czując ogromne zmęczenie, po czym zszedł z kabiny na ziemię i udał się na drugi koniec trawnika ku drzwiom do głównego baraku mieszkalnego. Otworzył je i sięgnął do kontaktu, aby zapalić światło. Raptem zawahał się, spojrzawszy do góry na Dariusza.

Tarczę księżycyca opasywał szeroki pierścień. Jack przypomniał sobie, że widział kłęby chmur pierzastych, zbierające się na niebie przez całe popołudnie. Być może w nocy spadnie deszcz. Taka susza nie może trwać wiecznie. Ostatnio trzymał manipulator na dworze. Postanowił wstawić go na noc pod dach. Zawrócił, otworzył drzwiczki do kabiny, wsiadł i poleciał do hangaru. Wróciwszy do baraku zauważył, że zostawił szeroko otwarte drzwi.

— Dziurawy łeb! — skarcił się. — Przez ten czas całą chatę mogły obleźć krewetki.

Rozejrzał się pośpiesznie po pokoju — pod wielkim biurkiem i stolikiem bibliotecznym, pod stojakiem na broń, pod krzesłami, za tylnymi ściankami modułu i skanera, za metalową szafką z biblioteką filmów — i nie zobaczył nic podejrzanego. Powiesił kapelusz, zdjął pistolet, kładąc go na stole i cofnął się do łazienki, aby umyć ręce.

Zaraz jak włączył światło, coś w kabinie do natrysków powiedziało ze strachem:

— Ik!

Obrócił się na pięcie i ujrzał dwoje szeroko rozwartych oczu, wpatrujących się w niego z kulki złocistego futra. Czymkolwiek to było, miało okrągłą głowę i duże uszy oraz trochę humanoidalną twarz z lekko

zadartym nosem. Siedziało na zadzie i w tej pozycji miało niecałe pół metra wzrostu. Posiadało dwie maleńkie rączki z przeciwstawnymi kciukami. Jack przykucnął, aby lepiej przyjrzeć się gościowi.

— Cześć, mały — rzekł na powitanie. — Nigdy nie widziałem czegoś takiego jak ty. Coś ty za jeden, właściwie?

Ludzik spojrzał na niego poważnie i odparł nieśmiałym głosem:

— Ik.

— Ale, ale! No jasne, ty jesteś Kudłacz, bez dwóch zdań.

Przysunął się doń ostrożnie, chcąc uniknąć gwałtownych ruchów, i mówił dalej:

— Idę o zakład, że wślizgnąłeś się przez nie domknięte drzwi. No dobrze, jeśli Kudłacz znajduje otwarte drzwi, to dlaczego miałby nie wejść do środka i rozejrzeć się trochę?

Trącił go delikatnie. Stworzenie zaczęło się cofać, a potem wyciągnęło małą rączkę i dotknęło rękawa koszuli Jacka. Pogłaskał je i stwierdził, że ma najbardziej miękkie i jedwabiste futerko, jakie kiedykolwiek widział, po czym wziął je na kolana. Iknęło z zadowoleniem i wyciągnąwszy górną kończynę, objęło go za szyję.

— No wiesz, jasne, że zostaniemy przyjaciółmi, prawda? Chciałbyś coś zjeść? No cóż, chodźmy się przekonać, co mamy w spiżarni.

Podłożył dłoń pod malca, aby go podeprzeć jak niemowlaka — przynajmniej pamiętał, że tak bierze się niemowlę na ręce; małe dzieci należały do istot, z którymi starał się nie błaznować — i wyprostował się. Stworek ważył coś koło siedmiu–dziesięciu kilogramów. Zrazu wpadł w popłoch i stawiał opór, a następnie uspokoił się i sprawiał wrażenie, że lubi, aby go noszono. Wszedłszy do salonu, Jack usiadł w swoim ulubionym fotelu pod stojącą lampą i przyjrzał się swemu nowemu znajomemu.

To był ssak — na Zaratustrze żyła dość liczna grupa ssaków, ale mimo to Jack był zbity z tropu. Ten nie należał do naczelnych w sensie

terrańskim. Nie przypominał niczego, co żyło na Terze, ani żadnego innego stworzenia na Zaratustrze. Jako istota dwunożna miał własną kategorię na tej planecie. To był po prostu mały Kudłacz i koniec.

Taki sposób klasyfikacji był najlepszym wyjściem, jakie można było znaleźć dla planet klasy III. Na planetach kategorii IV, takich jak Loki, Shesha czy Thor, nadawanie nazw ssakom było proste. Pokazywało się na któregoś i zadawało tubylcowi pytanie, a ten wykrztuszał z siebie stek dźwięków, które mogły znaczyć jedynie: nie twoja sprawa. Zapisywało się to transkrypcją fonetyczną i co to jest? posiadało nazwę. Ale na Zaratustrze nie było autochtonów do zadawania im pytań. A więc to był Kudłacz.

— Na co miałbyś ochotę, Kudłaczku? — zapytał. — Otwórz buzię i pozwól Papciowi Jackowi zobaczyć twój sprzęt do gryzienia.

Uzębienie Kudłaczka, uwzględniając fakt, że szczękę miał okrągłą, bardzo przypominało Jackowi jego własne.

— Jesteś zdaje się wszystkożerny. Jak by ci smakował kawałek apetycznej Porcji Żelaznej Nie z Tej Ziemi, Gatunek Trzeci, Sił Kosmicznych Federacji Terrańskiej? — zapytał.

Kudłaczek wydał dźwięk, który brzmiał jak wyrażenie chęci na skosztowanie. Nie było w tym żadnego ryzyka; Pezeterem Trzy karmiono wiele zaratustrańskich ssaków bez złych skutków. Zaniósł Kudłacza do kuchni i postawiwszy go na podłodze, wyciągnął puszkę z racją terenową. Następnie otworzył ją, odłamał mały kęs i podsunął małemu. Kudłacz wziął kawałek złocistobrazowego ciasta, powąchał, wydał ik radości i wepchnął sobie całość do pyszczka.

— Nie musiałeś żyć na tym świństwie całymi miesiącami, daję głowę!

Przełamał ciasto na pół, rozkruszył jedną połówkę na nieduże kawałeczki i położył na spodku. Być może Kudłaczowi będzie się również chciało pić. Zaczął napełniać rondel wodą, niczym dla psa, po czym przyjrzał się swemu gościowi, siedzącemu na zadzie, jedzącemu z pomocą obu rączek, i zmienił zamiar. Przemył plastikową nakrętkę od pustej butelki po whisky

i postawił ją na podłodze obok głębokiej miski z wodą. Kudłaczek czuł pragnienie i nie trzeba mu było dwa razy pokazywać, do czego służy kubek.

Było już za późno na przyrządzanie dla siebie czegoś pracochłonnego; znalazł jakieś resztki w lodówce i zrobił z nich gulasz. Czekał, aż kolacja się podgrzeje, usiadł na stole kuchennym i zapalił fajkę. Kudłacz rozwarł oczy na widok strugi ognia z zapalniczki, ale najbardziej przerażało go wydmuchiwanie dymu przez Papcia Jacka. Siedział i obserwował to zjawisko, póki kilka minut później gulasz nie był gotowy, a fajka odłożona na bok; dopiero wówczas Kudłacz powrócił do chrupania Pezetera Trzy.

Raptem wydał nerwowy ik i pognął do salonu. Po chwili był z powrotem z jakimś długim, metalowym przedmiotem, który położył na podłodze obok siebie.

— Co tam masz, Kudłaczku? Pokażesz Papciowi Jackowi?

Nagle poznał, że to jest jego własne dłuto stolarskie.

Przypomniał sobie, że zostawił je w zewnętrznej szopie. Używał ich jakiś tydzień temu i później nie mógł go nigdzie znaleźć. Zadręczał się tym; ludzie, którzy z roztargnienia gubią przedmioty, nie przetrwają długo na pustkowiu.

Po kolacji i odniesieniu talerzy do zlewu podszedł do swego nowego przyjaciela i przykucnął obok niego.

— Pozwól Papciowi Jackowi rzucić na to okiem, Kudłaczku — powiedział. — Och, nie zabiorę ci. Chcę sobie tylko obejrzeć.

Ostrze było stępione i wyszczerbione; stosowano je do różnych rzeczy, do jakich dłuto nie powinno być stosowane. Do rycia w ziemi, podważania, przede wszystkim zaś było używane jako broń. Stanowiło dla Kudłacza poręczne, uniwersalne narzędzie walki. Jack położył je na podłodze w miejscu, skąd je zabrał, i wziął się za zmywanie naczyń.

Kudłacz obserwował go przez chwilę z ciekawością, po czym ruszył na zwiedzanie kuchni. Niektóre interesujące przedmioty trzeba mu było

odbierać, początkowo denerwował się, wkrótce jednak zrozumiał, że nie są przeznaczone dla niego. W końcu naczynia zostały umyte.

W salonie znajdowało się więcej interesujących rzeczy do oglądania. Jedną z nich stanowił kosz na śmieci. Przekonał się, że można go opróżnić, toteż niezwłocznie to zrobił, wyciągając wszystko, co nie wypadło samo. Odgryzł róg kartki papieru, pożuł go chwilę i wypluł z obrzydzeniem. Następnie doszedł do wniosku, że papier można rozprostować, więc rozpląszczył kilka kartek i odkrył, że można je również składać. Później omotał się radośnie płataniną taśmy izolacyjnej. W końcu stracił zainteresowanie i ruszył do wyjścia. Jack dogonił go i przyniósł z powrotem.

— Nie, Kudłaczku — oznajmił. — Nie rozsypuje się śmieci, a potem zostawia na podłodze. Włóż je z powrotem. — Dotknął pojemnika i rzekł powoli i wyraźnie: — Kosz... na śmieci. — Następnie ustawił go pionowo, robiąc to tak, jak powinien zrobić Kudłaczek, podniósł kartkę i wrzucił do kosza z wysokości jego barków. Podał mu zwitek papieru i powtórzył: — Kosz... na śmieci.

Kudłaczek podniósł wzrok na Jacka i powiedział coś, co mogło brzmieć:

— Co z tobą, Papciu, zwariowałaś, czy jak? — Jednak po kilku następnych próbach zrozumiał i zaczął wrzucać śmieci do kosza. Po paru minutach uprzątnął wszystko poza jaskrawo pomalowanym pudełkiem z plastyku na naboje i butelką o szerokiej szyjce z nakrętką. Podniósł je nad głowę i spytał: — Ik?

— Dobrze, możesz to zatrzymać. Słuchaj, Papcio Jack coś ci pokaże.

Pokazał Kudłaczowi, w jaki sposób można otwierać i zamykać pudełko. Następnie opuścił butelkę nad podłogę, by Kudłacz mógł się przyjrzeć, odkręcił pokrywkę i zakręcił z powrotem.

— No, dobrze. Teraz ty spróbuj.

Kudłacz spojrzał pytająco do góry, następnie wziął butelkę i usiadł, przytrzymując ją między kolanami. Niestety, kręcił w niewłaściwą stronę

i tylko zakręcał pokrywkę coraz bardziej. Iknął żałościwie.

— Nie, próbuj dalej. Potrafisz to zrobić.

Kudłacz ponownie obrzucił butelkę wzrokiem. Tym razem spróbował obracać w przeciwną stronę i zakrętka poluzowała się. Kudłaczek wydał ik, który mógł znaczyć jedynie — Eureka! i szybko usunął zakrętkę, podnosząc ją góry. Po otrzymaniu polecenia zbadał dokładnie butelkę i zakrętkę, śledząc palcami gwint, po czym przykręcił ją na powrót.

— Wiesz, bystry Kudłaczek z ciebie. — Po kilku sekundach stało się jasne, jak bystry. Kudłaczek zastanowił się, dlaczego trzeba obracać zakrętkę w jedną stronę, by ją usunąć, a w przeciwną, by ją nałożyć, i znalazł odpowiedź. Stało się to dzięki zdolności do wyciągania wniosków, górującej nad wszelkimi przejawami inteligencji zwierzęcej, jakie widział Jack. — Opowiem o tobie Benowi Rainsfordowi.

Podszedł do teleekranu i wystukał kombinację długości fali obozu przyrodnika, siedemdziesiąt mil od Zimnej Wody w dół Rzeki Wężów. Monitor Rainsforda był z pewnością nastawiony na odbiór automatyczny; rozjaśnił się, jak tylko Jack skończył wybieranie. Przed modułem komunikacyjnym stał układ kart z tekstem: JESTEM W PODRÓŻY, WRACAM PIĘTNASTEGO, ZAPIS CZYNNY.

— Ben, tu Jack Holloway — powiedział Jack. — Właśnie natknąłem się na coś interesującego. — Wyjaśnił pokrótce, o co chodzi. — Mam nadzieję, że ludzik nie odejdzie do twego powrotu. Jest inny niż wszystkie ssaki, które widziałem na tej planecie.

Kiedy Jack wyłączył moduł, Kudłacz był niezadowolony i to było ciekawe. Podniósł malca i zaniósł go do fotela, sadowiąc sobie na kolanach.

— A teraz... — powiedział, sięgnąwszy do konsoly monitora. — Popatrz na to, obejrzymy sobie coś ładnego.

Włączywszy na chybił trafił teleekran, otrzymał widok, z dużego zbliżenia, wielkich pożarów szalejących w okolicy, gdzie ludzie Kompanii wypalali martwe lasy. Niegdyś było to Bagno Wielka Czarna Woda.

Kudłacz krzyknął ze strachu, zarzucił łapki na szyję Papcia Jacka i schował twarz w fałdach jego koszuli. No cóż, czasami pożary lasów zaczynały się od uderzenia pioruna i Kudłacz miał się czego bać. Jack użył programatora i przełączył na inną transmisję, tym razem na ekranie pojawił się dach budynku Kompanii w Mallorysport, o trzy strefy czasowe na zachód. Kudłacz wpatrywał się w gmach z ciekawością. Stanowił imponujący widok dla ludzika, który spędził całe życie w lesie.

Był równie imponujący jak widok portu kosmicznego i mnóstwa innych rzeczy, aczkolwiek obraz całej planety z Dariusza wprowadził go w oszołomienie. Nagle, w połowie koncertu orkiestry symfonicznej Opery w Mallorysport, uwolnił się z objęć Papcia Jacka, zeskoczył na podłogę i chwycił swoje dłuto, wymachując nim nad głową jak dwuręcznym mieczem.

— Co, u diabła? Och, och!

W poprzek salonu maszerowała krewetka. Widocznie dostała się do mieszkania, gdy drzwi były otwarte. Kudłaczek pobiegł za nią, przeciął stworzeniu drogę, po czym obrócił się i spuścił róg ostrza dłuta na jego szyję, odcinając zgrabnie głowę. Przez chwilę przyglądał się swej ofierze, a potem wsunął pod nią dłuto i przewrócił na grzbiet. Uderzył ją dwukrotnie, rozbijając skorupę brzuszną. Później wziął się za rozszarpywanie martwej krewetki, wydzierając kawałki mięsa i jedząc je spokojnie. Po uporaniu się z większymi fragmentami, odrąbał dłutem jedną szczękę bestii i zrobił z niej sztuciec do wydlubowania trudno dostępnych kęsów. Skończywszy ucztę, oblizał palce do czysta i ruszył w stronę fotela.

— Nie. — Jack pokazał na rozbitą skorupę.

— Ik?

— Kosz na śmieci.

Kudłaczek zebrał fragmenty skorupy i włożył je tam, gdzie było ich miejsce. Następnie wrócił i wdrapał się na kolana Papcia Jacka. Obejrzał

różne rzeczy na ekranie, po czym zapadł w sen.

Jack podniósł ostrożnie Kudłacza i położył go na ciepłym siedzeniu krzesła, nie budząc szkraba. Następnie udał się do kuchni, nalał sobie drinka i przyniósł do dużego stołu. Zapalił fajkę i wziął się za spisywanie w dzienniku wydarzeń dnia. Po chwili Kudłacz obudził się i stwierdziwszy, że łono, na którym się ułożył, zniknęło, iknął ze smutkiem.

Złożony koc w rogu sypialni mógł spełnić rolę wygodnego łóżka, kiedy tylko Kudłacz upewnił się, że nie ma w nim robactwa. Przyniósł swoją butelkę i pudełko, kładąc je na podłodze obok pośłania. Następnie podbiegł do frontowych drzwi w salonie i iknął, aby go wypuścić. Po kilkunastu krokach od domu zrobił dłutem dołek w ziemi i zaspokoiwszy potrzebę, zasypał go dokładnie, w końcu wrócił biegiem do domu.

No cóż, być może Kudłacze mają wrodzony instynkt stadny i lubią mieć dom-jamkę, gniazdo, czy coś w tym rodzaju. Nikt nie chce bałaganu w domu, a jeśli małe go robią, rodzice dają im klapsa, by nauczyć je dobrych manier. To był teraz dom Kudłaczka; wiedział, jak ma się w nim zachowywać.

Następnego dnia o świcie już nie spał, usiłując wykopać Papcia Jacka spod kołdry. Prócz tego, że był niezwykle skutecznym tępicielem krewetek lądowych, stanowił świetny budzik. Ale najlepsze ze wszystkiego było to, że należał do Papcia Jacka. Musiał wyjść za potrzebą; tym razem Jack wziął z sobą kamerę i sfilmował całą czynność. Po pierwsze, należało zrobić małe drzwiczki zaopatrzone w sprężynę, która by je stale zamykała, a które Kudłacz mógłby samodzielnie otwierać. Projekt powstał w czasie śniadania. Wystarczyły dwie godziny, żeby go obrócić w czyn i zainstalować. Kudłacz pojął ideę w chwili, kiedy je zobaczył, i domyślił się, jak może z nich korzystać.

Jack wrócił do warsztatu, rozpałił ogień na ręcznej kuźni, po czym wykuł spiczaste i dość szerokie ostrze długości dziesięciu centymetrów z pręta stali narzędziowej o grubości pół centymetra. Było zbyt ciężkie z jednej

strony, więc dla równowagi przyspawał na drugim końcu gałkę. Kudłacz domyślił się natychmiast, do czego ma to służyć, wybiegł przed barak i wykopał na próbę kilka dołków, po czym wyruszył na poszukiwanie krewetek w trawie. Jack ruszył za nim z kamerą w ręce i nakręcił film o uśmiercaniu krewetek. Zabijanie przebiegało gładko i z należytą precyzją. Kudłacz nie musiał uczyć się tej rzeźniczej roboty przez tydzień.

Jack poszedł do szopy, aby poszukać przedmiotu, o którego wyglądzie miał tylko ogólne pojęcie. Leżał w tym samym miejscu, gdzie go Kudłacz zostawił, gdy znalazł dłuto stolarskie. Był to długi na ponad ćwierć metra kawałek twardego drewna, ostruganego i oszlifowanego do połysku, najwyraźniej za pomocą kamienia. Na jednym końcu znajdowało się spłaszczenie z krawędzią nadającą się do ścinania głowy krewetce, drugi koniec był obrobiony w ostry szpic. Zaniósł to do salonu i usiadł przy biurku, żeby dokładnie obejrzeć pod lupą. Do ostrego szpica przylgnęły ziarenka piasku — używano go do kopania w ziemi. Płaski koniec służył jako łopata, gilotyna i przyrząd do łupania skorup. Kudłacz wiedział dokładnie, czego chce, przystępując do pracy nad swoją bronią. Ciosał tak długo, aż stała się prawie idealna i przestał, zanim popsuł ją przez zbyt długie obrabianie.

Napatrzywszy się do syta, Jack schował przedmiot do górnej szuflady biurka. Zastanawiał się, co podać na lunch, kiedy Kudłacz wpadł do salonu, ściskając kurczowo swoją nową broń i ikając w podnieceniu.

— Co się stało, mały? Jakież kłopoty? — Wstał i podszedł do stojaka z bronią, sięgając po karabin i sprawdzając komorę ładunkową. — Pokaż Papciowi Jackowi, o co chodzi.

Gotów do błyskawicznej ucieczki w głąb mieszkania, jeśli zajdzie potrzeba, Kudłacz poszedł za Jackiem w stronę dużych drzwi dla istot typu ludzkiego. Kłopotem okazała się harpia — stworzenie wielkością i ogólną budową przypominające terrańskiego pterodaktyla z okresu jury, na tyle duże, że mogło połknąć Kudłaczka w jednym kęsie. Musiało już raz rzucić

się na niego i zawracało, aby spróbować po raz drugi. Trafione pociskiem kaliber sześć milimetrów zakreśliło się w kółko i runęło jak kamień.

Kudłacz zrobił zdziwioną minę, przez chwilę przyglądał się zabitej harpii, po czym zauważył wyrzuconą pustą łuskę. Chwycił ją i podniósł do góry, jakby chciał zapytać, czy może zatrzymać. Po otrzymaniu zgody pobiegł z powrotem do sypialni z łuską w dłoni. Kiedy wrócił, Papcio Jack wziął go na ręce i zaniósł do hangaru, a następnie umieścił w kabynie manipulatora.

Pulsowanie generatorów pola antygravitacyjnego i uczucie wznoszenia się z początku zaniepokoiło Kudłaczka, ale kiedy ujęli harpię chwytakami i wzniesli się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów, zaczął odczuwać przyjemność lotu. Rzucili harpię w głąb kanionu oznaczonego na najnowszych mapach jako Koryto Hollowaya, a w drodze powrotnej zatoczyli wielki krąg nad górami. Kudłaczek świetnie się bawił.

Po lunchu zapadł w drzemkę na łóżku Papcia Jacka. Jack poleciał manipulatorem na roboty ziemne, oddał kilka dodatkowych salw, odsłonił więcej krzemienia i znalazł nowy kamień słoneczny. Nieczęsto je znajdował dzień po dniu. Wróciwszy do obozu, zastał Kudłacza przy rozszarpywaniu następnej krewetki przed mieszkalnym barakiem.

Po obiedzie — Kudłacz pomagał w kuchni, jeśli dania nie były zbyt gorące — przeszli do salonu. Jack przypomniał sobie, że widział śrubę z nakrętką w szufladzie biurka, gdy chował drewniany przyrząd do uśmiercania krewetek. Znalazł ją i pokazał Kudłaczce. Ten przyglądał się przez chwilę, następnie wbiegł do sypialni i wrócił ze swoją butelką, która miała nakrętkę z gwintem. Odkręcił ją, przykręcił z powrotem, po czym odkręcił ze śruby nakrętkę i podniósł ją do góry.

— Widzisz, Papciu? — czy parę ików w tym sensie. — Łatwizna.

Potem obrócił pokrywkę kilka razy, usuwając ją z butelki, wrzucił do niej śrubę, do której wcześniej przykręcił nakrętkę i umocował pokrywkę na powrót.

— Ik — oznajmił z dumą.

Miał prawo być dumny. To, co zrobił, świadczyło o czymś znacznie ważniejszym. Nakrętki od butelek i nakrętki od śrub należały do ogólnej klasy przedmiotów przykręcanych do innych przedmiotów. Aby je zdjąć, kręciło się w lewo; aby założyć, z powrotem w prawo, po uprzednim sprawdzeniu, czy gwinty do siebie pasują. A skoro potrafi wyobrazić sobie prawoskrętność i lewoskrętność, może to znaczyć, że formułuje idee abstrakcyjne. Kto wie, czy nie były to zbyt pochopne wnioski, ale...

— Wiesz, Papcio Jack sprawił sobie bardzo bystrego Kudłacza. Czy ty jesteś dorosłym Kudłaczem, czy tylko szkrabem? Pfuj, założę się, że jesteś Profesorem Doktorem Kudłaczem.

Zastanawiał się, co nowego dać do roboty Profesorowi, jeśli nim jest, doszedł jednak do wniosku, że nie byłoby mądrze uczyć go zanadto rozbierania przedmiotów na części. Wróciwszy do domu, mógłby znaleźć jakąś ważną rzecz w kawałeczkach, albo, co gorsza, rozebraną i źle złożoną. W końcu udał się do komórki i grzebał w niej tak długo, dopóki nie odnalazł blaszanej puszeki. Zanim wrócił, Kudłacz zdążył już wdrapać się na krzesło i znaleźć fajkę w popielniczce. Puszczął dym i kasłał.

— Hola, hola, nie sądzę, aby to było dobre dla ciebie!

Jack odebrał mu fajkę, wytarł o rękaw i włożył sobie do ust, a następnie posadził Kudłacza na podłodze obok puszeki. Było w niej około pięciu kilogramów kamieni. Osiedliwszy się na tym terenie, Jack zebrał kolekcję miejscowych minerałów, a kiedy wiedział już, czego szuka, wyrzucił wszystkie okazy z wyjątkiem dwudziestu lub trzydziestu najładniejszych. Teraz był zadowolony, że je zostawił.

Kudłacz przyjrzał się puszcze, zdecydował, że pokrywka należała do zbioru przedmiotów przykręcanych do innych przedmiotów i zdjął ją. Druga strona pokrywki miała lustrzaną powierzchnię. Kudłaczowi wystarczyła jedna myśl do odkrycia faktu, że patrzy na własną twarz. Skomentował to iknięciem i zajrzał do środka. Zdecydował, że to z kolei

należy do przedmiotów, które można wysypywać, jak kosze ze śmieciami, toteż wysypał wszystko na podłogę. Następnie przystąpił do badania kamieni i sortowania ich według kolorów.

Prócz zainteresowania kolorowymi widokami na ekranie, był to pierwszy realny dowód na rozróżnianie barw przez Kudłaczy. Po chwili zaczął dawać nowy i bardziej godny podziwu dowód, układając kamienie w odpowiedniej kolejności spektralnej, od bryłki kwarcu przypominającego ametyst do ciemnoczerwonej. No cóż, być może widział tęczę. Być może mieszkał w pobliżu zamglonego wodospadu, gdzie zawsze w słoneczny dzień występuje tęcza. Albo może po prostu był to jego naturalny sposób widzenia kolorów.

Następnie, zorientowawszy się, z czym mu przyszło pracować, począł układać kamienie w rozmaite wzory, tworząc dziwne kołowe i spiralne kompozycje. Ilekroć jakąś ułożył, ikał z zadowoleniem dla przyciągnięcia uwagi i wpatrywał się w nią krótką chwilę, po czym rozrzucił kompozycję i zaczynał od początku. Kudłacz był zdolny także do osiągania satysfakcji artystycznej. Robił rzeczy bezużyteczne dla czystej przyjemności ich robienia i oglądania.

W końcu schował kamienie do puszek, przykręcił wieczko i wtoczył ją do sypialni, stawiając pionowo przy swym pościeliu obok reszty skarbów. Idąc spać, położył nową broń obok siebie na kocu.

Nazajutrz rano Jack odłamał duży kawałek Pezetera Trzy i położył na podłodze, napełnił miskę wodą i po upewnieniu się, że nie zostawił niczego, co Kudłacz mógłby zniszczyć lub czym mógłby się zranić, poleciał manipulatorem na roboty ziemne. Pracował cały ranek i chociaż przerzucił prawie półtorej tony krzemienia, nic nie znalazł. Odpalił kilka kolejnych salw, zwałił lawinę piaskowca i odsłonił jeszcze więcej krzemienia, po czym wylądował pod drzewem bilardowym, aby zjeść lunch.

Pół godziny później zabrał się z powrotem do pracy i trafił na skamielinę meduzy, która jadła niewłaściwe rzeczy w niewłaściwych proporcjach. Niedługo potem znalazł jednak cztery ziarenka, jedno po drugim; dwa z nich okazały się kamieniami słonecznymi. Po rozbiciu dalszych czterech czy pięciu bloków znalazł trzecie. Niech to licha, trafił na prawdziwy Cmentarz Meduz! Przed wieczorem, gdy uprzątnął cały pokruszony krzemień, miał już ich dziewięć, w tym jedno ciemnoczerwone monstrum o średnicy dwóch i pół centymetra. W starożytnym oceanie musiał występować jakiś prąd konwekcyjny, który zgarnął wszystkie meduzy w jedno miejsce. Zastanawiał się nad oddaniem jeszcze kilku salw, ale uznał, że jest zbyt późno i powrócił do obozu.

— Kudłaczku! — zawołał, otwierając drzwi do pokoju. — Gdzie jesteś, Kudłaczku? Papiro Jack jest bardzo bogaty; będziemy świętować!

Cisza. Zawołał znowu — nadal żadnej odpowiedzi ani tupotu stóp. Na pewno zrobił porządek ze wszystkimi krewetkami dookoła obozu i wybrał się na polowanie gdzieś dalej, do lasu, pomyślał Jack. Odpiął pistolet i rzuciwszy go na stół, poszedł do kuchni. Większość Pezetera Trzy zniknęła. W sypialni okazało się, że Kudłacz wysypał kamienie z puszek po herbatnikach i ułożył nową kompozycję, a dłuto umieścił gustownie w poprzek koca.

Po wstawieniu obiadu do piekarnika wyszedł przed barak i nawoływał przez chwilę, następnie zmieszał whisky z wodą sodową i zaniósł ją do salonu. Usiadł ze szklanką w ręce, by obejrzeć swoje znaleziska. Nie chciało mu się wierzyć, gdy uzmysłowił sobie, że nakopał dzisiaj kamieni o wartości co najmniej siedemdziesięciu pięciu tysięcy soli. Wsypał je do woreczka i siedział tak, sącząc whisky i snując przyjemne myśli, dopóki dzwonek przy kuchence nie dał znać, że obiad gotowy.

Jadł sam — i choć przez tyle lat robił to z zadowoleniem, nagle stało się to nie do zniesienia. Wieczorem grzebał w bibliotece, znajdując jedynie takie książki, które przeczytał po kilkanaście razy albo które trzymał jako

pomoce źródłowe do pracy. Kilka razy wydawało mu się, że słyszy otwieranie drzwiczek, ale za każdym razem się mylił. W końcu poszedł spać.

Gdy tylko się obudził, spojrzął na złożony koc, ale zobaczył tylko leżące na wierzchu dłuto. Przed wyjściem do pracy dołożył do wczorajszej porcji jeszcze trochę Pezetera Trzy i zmienił wodę w misce. Tego dnia znalazł trzy nowe kamienie słoneczne. Włożył je do torebki machinalnie i bez przyjemności. Skończył pracę wcześniej i zmarnował godzinę, krążąc wokół obozowiska, ale niczego nie zauważył. Pezeter Trzy leżał w kuchni nietknięty.

Być może ludzik napotkał coś zbyt dużego dla niego, nawet mimo posiadania nowej broni — dziobatego straszaka — chochlika stepowego czy inną harpię. Albo po prostu znudziło mu się przebywanie w jednym miejscu i wyprowadził się.

Nie, jemu się tutaj podobało. Dobrze się bawił i był szczęśliwy. Jack kiwał głową ze smutkiem. Sam też kiedyś mieszkał w przyjemnym miejscu, gdzie było mu dobrze i mógł zaznać szczęścia, gdyby nagle nie postanowił, że musi czegoś dokonać. Odszedł więc i pozostawił skrzywdzonych ludzi. Być może tak samo stało się z Kudłaczem. Być może nawet nie wie, że stworzył sobie prawdziwy dom i pozostawił po sobie pustkę, kiedy go opuścił.

Ruszył do kuchni nalać sobie drinka, ale zatrzymał się. Nalej sobie dobrego drinka z litości nad sobą, a potem ten drink pożałuje ciebie i wypije kolejnego; dwa dobre drinki się spotkają i będą wołać o nowe. Nie, wypije tylko jednego, może nieco większego niż zwykle, a później pójdzie spać.

3.

Zerwał się z łóżka rozbudzony, przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Minęła dwudziesta druga sto; teraz naprawdę była pora na drinka, a potem do łóżka. Podniósł się sztywno i poszedł do kuchni po whisky. Postawił ją na blacie biurka, po czym usiadł i wyciągnął dziennik. Już prawie kończył spisywanie wydarzeń dnia, kiedy za jego plecami otworzyły się małe drzwiczki i cichy głosik powiedział:

— Ik?

Odwrócił się pośpiesznie.

— Kudłaczek?

Głosik powtórzył się, słysząc w nim było zniecierpliwienie. Kudłacz przytrzymał otwarte drzwiczki, a odpowiedź nadeszła z zewnątrz. Pojawił się nowy Kudłacz, i jeszcze jeden; w sumie było ich czworo, któryś niósł na ręku maleńką, wijącą się kulkę białego futra. Każdy dźwigał przyrząd do zabijania krewetek, identyczny jak ten w szufladzie. Weszły do pokoju i zatrzymały się w wejściu, spoglądając na siebie z zakłopotaniem. Po chwili Kudłacz odłożył broń i podbiegł do Jacka. Jack pochylił się na krześle, chwycił małego i usiadł wraz z nim na podłodze.

— A więc dlatego uciekłeś i zmartwiłeś Papcia Jacka? Chciałeś sprowadzić rodzinę?

Goście ułożyli w stos swoje rzeczy, łącznie ze stalową bronią Kudłacza, i zaczęli zbliżać się bojaźliwie do Jacka. Nawiązał z nimi rozmowę, Kudłacz zresztą też, przynajmniej tak to brzmiało, aż w końcu któryś z przybyszy podszedł do niego i dotknął jego koszuli, a potem wyciągnął rączkę i pociągnął go za wąsy. Wkrótce wszystkie po nim łąziły, nawet samiczka z bobasem. Był za mały, by siedzieć na jego kolanach, lecz za chwilę wdrapał mu się po ramieniu na głowę i rozsiadł wygodnie.

— Chcecie obiad, moi drodzy? — zapytał.

Kudłacz iknął z emfazą — rozumiał to słowo. Jack zaprowadził je do kuchni i poczęstował pieczenią z trawożera, bulwą pychą i smażonymi owocami z drzewa bilardowego. Kiedy goście pożywiali się z kilku dużych rondli, wrócił do salonu, by obejrzeć ich rzeczy. Dwa z czterech przyrządów do zabijania krewetek były wykonane z drewna, identycznie jak broń, którą Kudłaczek zostawił w szopie. Trzecim był pięknie wypolerowany róg, a czwarty wyglądał tak, jakby go zrobiono z łopatki jakiegoś skoczka pręgowanego. Poza tym była tam siekierka *coup de poing*^[1], dość wczesny paleolit, oraz wyszczerbione narzędzie z krzemienia w kształcie cząstki pomarańczy, długości około piętnastu centymetrów, mierząc wzdłuż prostej krawędzi. Gdyby pasowała do jego ręki, nazwałby ją skrobaczką. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym spostrzegł, że ostrze jest ząbkowane i doszedł do wniosku, że to piła. Ponadto znajdował się tam bardzo dobry nóż do skrobania łusek i kilka muszli, najwyraźniej naczyń do picia.

W chwili gdy kończył oględziny, do salonu weszła Mama. Wydawała się podejrzliwa, póki się nie upewniła, że ani jeden przedmiot z rodzinnej kolekcji nie zniknął ani nie uległ zniszczeniu. Dzidzius trzymał się jedną ręką matczynej sierści, a w drugiej ścisnął kawałek owocu drzewa bilardowego, chrupiąc go ze smakiem. Wepchnął sobie do ust resztkę owocu, wdrapał się na Jacka i z powrotem rozsiadł na jego głowie. Trzeba coś zrobić, aby go tego oduczyć. Któregoś pięknego dnia będzie już na to za duży.

Po jakimś czasie do salonu weszła reszta rodzinki, goniąc się, okładając nawzajem pięściami i ikając radośnie. Mama zeskoczyła z kolan Jacka i dołączyła do ogólnej bijatyki, a potem Dzidzius dał susa z jego głowy i wylądował na plecach Mamy. Bał się, że utracił swego Kudłaczka, a teraz, przebóg, miał obok siebie piątkę Kudłaczy i Dzidziusia. Kiedy zmęczyły się dokazywaniem, przygotował im łóżka w salonie i przyniósł pośłanie

Kudłaczka wraz z jego skarbami. Towarzystwo jednego Kudłaczka w sypialni było miłe; pięcioro plus Dzidzius to trochę za dużo przyjemności.

Tłoczyły się na łóżku jedno przez drugie, Dzidzius i pozostałe, żeby go nazajutrz obudzić.

Następnego dnia sporządził każdemu stalowy tasak oraz kilka dodatkowych na wypadek, gdyby pojawiło się więcej Kudłaczy. Zrobił również miniaturową siekierkę o trzonku z twardego drewna, piłę ręczną z kawałka pękniętego ostrza elektrycznej piły i kilka nożyków wykutych z ćwierćcalowej stali sprężynowej. Miał mniej kłopotu z wyjednaniem starych narzędzi od Kudłaczy, niż się tego spodziewał. Miały silne poczucie własności, ale wiedziały co i jak, gdy złożyło się któremuś propozycję. Drewnianą pałkę, róg, kość oraz kamienne narzędzia schował do szuflady w biurku. Zaczątek Kolekcji Broni i Narzędzi Zaratustrańskich Kudłaczy Jacka Hollowaya. Być może zapisze ją Federacyjnemu Instytutowi Ksenotyki.

Oczywiście, rodzinka musiała wypróbować nowe tasaki na krewetkach, a on stąpał za nimi z kamerą w ręce. Tego ranka zabiły prawie dwadzieścia krewetek i lunch spotkał się z niewielkim zainteresowaniem, choć rozsiadły się dookoła i przegryzły to i owo chyba wyłącznie dlatego, aby go naśladować. Ledwie skończyły, ucięły sobie drzemkę na jego łóżku. Jack krzątał się przez całe popołudnie po obozie, wykonując różne dorywcze prace, które odkładał od miesięcy. Kudłacze pojawiły się przed wieczorem, żeby podokazywać w trawie poza domem.

Jack był w kuchni i przygotowywał obiad, kiedy wpadły jak bomba do salonu przez swoje drzwiczki, podnosząc straszny wrzask. Kudłaczek i jeden z pozostałych samców przyszli do kuchni. Kudłaczek przykucnął, położył jedną rączkę na dolnej szczęce, wyciągając kciuk i mały palec, a drugą na czole, prostując palec wskazujący. Nagle wyciągnął sztywno prawe ramię i wydał odgłos przypominający szczekanie, jakiego Jack nigdy

u niego nie słyszał. Musiał je powtórzyć, zanim Jack zrozumiał, o co chodzi.

Pojawił się ogromny i nieprzyjemny drapieżnik, zwany piekielniakiem — jeszcze jeden przykład nazewnictwa zoologicznego na niezamieszkanym planetach — który miał pojedynczy róg nad oczami i po jednym rogu z każdej strony dolnej szczęki. Na widok tej rzeczy z piekła nie tylko Kudłacze, ale nawet istoty ludzkie miały prawo się zdenerwować. Jack odłożył nóż do warzyw i bulwę pychę, którą właśnie oskrobywał, wytarł ręce i wszedł do salonu. Idąc do stojaka z bronią, policzył szybko główki i poczuł radość, że nie brak ani jednego członka rodziny.

Tym razem zamiast szóstki, którą zastosował na harpię, wziął duży dwulufowy karabin kalibru 12,7 mm, wyrzucający pociski z ogromną szybkością początkową i o płaskim torze lotu. Upewnił się, czy jest naładowany, i schował do kieszeni kilka dodatkowych nabojów. Kudłaczek wyszedł za nim na zewnątrz, pokazując na barak po lewej stronie. Reszta rodziny została w domu.

Jack zrobił kilka kroków przed siebie, a następnie wybrał się na obchód terenu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Na północy nie było widać żadnego piekielniaka. W chwili gdy miał skręcić na stronę wschodnią, śmignął obok niego Kudłaczek, wskazując za siebie. Jack obrócił się na pięcie i ujrzał szarżującą nań od tyłu bestię, z głową przy ziemi i opuszczonym środkowym rogiem. Powinien był to przewidzieć; piekielniaki potrafią kluczyć i polować na swoich prześladowców.

Instynktownie zgrał celowniki i pociągnął za spust. Wielki karabin huknął, uderzając go w ramię, a pocisk ugodził piekielniaka i odrzucił pół tony jego ciała. Druga kula weszła tuż pod grzybowatym uchem i bestia szarpnęła się ostro, po czym znieruchomiała. Przeładował machinalnie, ale nie było potrzeby oddawania trzeciego strzału. Piekielniak był martwy, tak jak byłby martwy on, gdyby nie ostrzeżenie Kudłaczka.

Powiedział o tym Kudłaczowi, zbierającemu spokojnie puste naboje. Następnie poszedł do domu i rozcierając bolące ramię w miejscu, gdzie go uderzyła strzelba, odstawił broń. Za pomocą manipulatora usunął truchło piekielniaka z obozu i wrzucił je na wierzchołek drzewa, gdzie stanie się bramą powitalną, a przynajmniej intrygującym poczęstunkiem dla harpii.

Wieczorem po obiedzie nastąpił kolejny alarm. Rodzinka wróciła ze swych popołudniowych igraszek i zebrała się w salonie, gdzie Kudłaczek demonstrował zasadę działania przedmiotów przykręcanych do innych przedmiotów na butelce o szerokim wylocie i śrubie z nakrętką, gdy raptem w górze rozległo się potężne wycie. Kudłacze zdrętwiały, podnosząc wzrok na sufit, a później rzuciły się biegiem pod stojak z bronią. To musi być czymś dużo groźniejszym od piekielniaka i sposób, w jaki Papcio Jack się z tym rozprawi, będzie graniczył z apokalipsą. Ze zdziwieniem obserwowały, że Papcio zbliża się spokojnie do drzwi, otwiera je i wychodzi na zewnątrz. Ostatecznie żaden nie słyszał wcześniej syreny kutra policyjnego.

Kuter osiadł na trawie przed obozowiskiem, zakołysał się lekko i wyłączył pole antygravitacyjne. Wyszło z niego dwóch mężczyzn w uniformach. Rozpoznał obu w świetle księżyca: porucznika George'a Lunta i jego pilota, Ahmeda Khadrę. Zawołał do nich na powitanie.

— Czy coś się stało? — zapytał.

— Nie, pomyśleliśmy tylko, że wpadniemy i zobaczymy, jak sobie radzisz — odparł Lunt. — Rzadko zapuszczamy się w te strony. Nie miałeś ostatnio żadnych kłopotów, co?

— Najmniejszych od tamtego razu. — Chodziło o parę leśnych włóczęgów, bezrobotnych pasterzy trawożerów z południa, którzy dowiedzieli się o małym woreczku na jego szyi. Policji zostało tylko uprzątnięcie ciał i spisanie raportu. — Wejdźcie, proszę, i odłóżcie na chwilę swoją broń. Chciałbym wam coś pokazać.

Kudłaczek zdążył już wyjść przed barak i ciągnął Jacka za nogawkę. Schylił się więc i podniósł go, sadzając sobie na ramieniu. Reszta rodzinki, dochodząc do wniosku, że nic im już nie grozi, podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

— Hej! Cóż to za stworzenia, u diabła! — spytał Lunt, zatrzymując się w pół drogi od statku.

— Kudłacze. Chcesz powiedzieć, że nigdy ich nie widziałeś?

— Nie, nie widziałem. Co to za jedne?

Funkcjonariusze policji podeszli bliżej, a Jack cofnął się do baraku, odpędzając Kudłacze z drogi. Lunt i Khadra zatrzymali się w drzwiach.

— Przecież wam powiedziałem. Nazywają się Kudłacze. To wszystko, co mogę o nich powiedzieć.

Dwa osobniki wyszły naprzód i spojrzały do góry na porucznika Lunta; jeden z nich zagadnął:

— Ik?

— Pytają, coście za jedni, a więc o to samo co wy.

Lunt zawahał się przez chwilę, po czym zdjął pas i kaburę. Zawiesił je na kołku po wewnętrznej stronie drzwi i przykrył beretem. Khadra natychmiast ruszył w jego ślady. Był to znak, że uważają się chwilowo za wolnych od służby i nie odmówią drinka, jeśli ktoś im go zaproponuje. Jeden z Kudłaczy szarpnął Ahmeda Khadrę za nogawkę, prosząc, by zwrócił nań uwagę. Mama uniosła Dzidziusia nad głowę, aby się nim pochwalić przed Luntem.

Khadra niepewnie wzięła na rękę Kudłacza, który go o to molestował.

— Nie widziałem nigdy podobnych stworzeń, Jack — powiedział. — Skąd one się wzięły?

— Ahmedzie, uważaj, przecież nic o nich nie wiesz — zwrócił mu uwagę Lunt.

— Nie zrobią mi krzywdy, poruczniku. Nie skrzywdziły przecież Jacka, prawda? — Usiadł na podłodze i kolejna grupka zbliżyła się do niego. —

Dlaczego nie zapozna się pan z nimi, poruczniku? Są śliczne.

George Lunt nie mógł pozwolić, by jego podwładny zrobił coś, czego on sam się bał zrobić. Usiadł także na podłodze, a Mama podała mu swojego Dzidziusia. Bobas niezwłocznie wskoczył na ramię Lunta i usiłował wejść na jego głowę.

— Więcej luzu, George — powiedział Jack. — To tylko Kudłacze, które chcą się z tobą zaprzyjaźnić.

— Zawsze czuję się nieswojo na widok obcych form życia— odparł Lunt. — Mieszkasz tutaj od tak dawna, że wiesz, co niektóre...

— To nie są obce formy życia, to zaratustrańskie ssaki. Identyczne jak te, które jesz codziennie na obiad, odkąd tutaj przyleciałeś. Ich fizjologia nie różni się od naszej. Boisz się, że możesz złapać od nich zarazę plamistą albo coś w tym rodzaju? — Odstawił Kudłaczka na podłogę obok pozostałych. — Badamy tę planetę od dwudziestu pięciu lat i nikt nie spotkał niczego podobnego.

— Sam pan powiedział, poruczniku — wtrącił się Khadra. — Jack jest tu tak długo, że wie.

— No, dobrze... Śliczne ludziki. — Lunt zdjął Dzidziusia z głowy i oddał Mamie. Bobas chwycił łańcuszek od gwizdka i usiłował sprawdzić, co jest po drugiej stronie. — Zapewne się przy nich nie nudzisz.

— Człowiek po prostu zaprzyjaźnia się z nimi. Rozgośćcie się, proszę, przygotuję coś dla ochłody.

Kiedy był w kuchni i napełniał syfon z wodą sodową oraz wyjmował lód z zamrażalnika, w salonie rozległ się przeraźliwy dźwięk policyjnego gwizdka. Gdy otwierał butelkę whisky, Kudłaczek przybiegł, gwizdząc i uciekając przed rodzinką, która starała się odebrać mu instrument. Jack otworzył im puszkę Pezetera Trzy. Ledwie to uczynił, z salonu doleciał świst drugiego gwizdka.

— Mamy ich całe pudełko na posterunku! — zawołał Lunt, przekrzykując hałas. — Wykreślimy po prostu te dwa jako zużyte.

— To naprawdę miło z twojej strony, George. Bądź pewny, że Kudłacze to doceniają. Ahmedzie, może byś się zakrzętnął koło bufetu, gdy będę dawał malcom słodką kolację?

Zanim Khadra wymieszał drinki, a Jack rozdał Pezeter Trzy, Lunt usadowił się w fotelu. Kudłacze siedziały przed nim na podłodze, nadal przyglądając mu się z ciekawością. Pezeter Trzy przynajmniej na chwilę odwrócił ich uwagę od gwizdków.

— Chciałbym wiedzieć, Jack, skąd się tu wzięły — powiedział Lunt, sięgając po drinka. — Jestem tu już pięć lat, a nigdy nie widziałem tych stworzeń.

— Ja jestem o pięć lat dłużej i także nie widziałem ich nigdy przedtem. Sądzę, że przybyły z północy, z terenów między Kordylierami a Masywem Zachodniego Wybrzeża. Poza badaniami w atmosferze na wysokości trzech i pół kilometra oraz kilkoma lokalnymi lądowaniami, połączenie te pozostają nieznane. Z tego co wiem, mogą być zamieszkane przez Kudłacze.

Zaczął od swego pierwszego spotkania z Kudłaczkiem, a kiedy doszedł do dłuta stolarskiego i zabijania krewetek, Lunt z Khadrą spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

— To jest to! — zawołał Khadra. — Wszędzie spotykam rozbite skorupy z wyjedzonym mięsem, dokładnie tak, jak to opisałeś. Byłem ciekaw, co jest tego przyczyną. Ale nie wszystkie mają dłuta. Czego twoim zdaniem używają na co dzień?

— Ach! — Jack wyciągnął szufladę i począł z niej wyjmować różne rzeczy. — Tu jest jedno, które Kudłaczek wyrzucił, zabrawszy moje dłuto. Resztę z tego przyniosła rodzinka.

Lunt i Khadra wstali i podeszli do niego, żeby to obejrzeć. Lunt powątpiewał, że Kudłacze mogły same sporządzić takie narzędzia. Jack nie potrafił przekonać nawet samego siebie. Po zjedzeniu Pezetera Trzy Kudłacze wlepiły wzrok w ekran, sprawiając wrażenie, jakby na coś czekały, a jemu przyszło na myśl, że żaden z nich, z wyjątkiem Kudłaczka,

nie widział dotąd obrazu telewizyjnego. Kudłaczek wskoczył na opuszczony przez niego fotel, sięgnął do konsoli i włączył monitor. Na ekranie pojawiła się pusta równina, zalana księżycowym światłem, ciągnąca się na południu, obserwowana z kamery umieszczonej na którejś ze stalowych wież stawianych przez hodowców trawożerów. To nie było zbyt ciekawe, manipulował więc selektorem, aż złapał mecz piłki nożnej rozgrywany przy sztucznym świetle w Mallorysport. To było znakomite; zeskoczył na podłogę i dołączył do pozostałych siedzących przed teleekranem.

— Widziałem już terrańskie małpy i freyańskie cholpy, które lubią oglądać telewizję, umieją ją włączyć i obsługiwać konsolę — powiedział Lunt. Zabrzmiało to jak ostatnie i symboliczne zastrzeżenie przed ostateczną kapitulacją.

— Cholpy są rozumne — przyznał Khadra. — Używają narzędzi.

— A czy je wytwarzają? Czy wytwarzają może narzędzia służące do produkowania innych narzędzi, jak tamta piła? — Nie padł przeciw temu żaden argument. — Nie. Nikt tego nie robi poza nami, ludźmi, oraz Kudłaczami.

Pierwszy raz wyskoczył z tym twierdzeniem, pierwszy raz świadomie o tym pomyślał. Uświadomił sobie, że przecież od początku nie miał co do tego wątpliwości. Porucznik i jego pilot byli zaskoczeni.

— Chcesz powiedzieć, że...? — zaczął Lunt.

— Nie mówią i nie znają ognia — odezwał się Ahmed Khadra, jakby to załatwiało sprawę.

— Ahmedzie, pleciesz głupstwa. Zasada *mowy i ognia* nie jest żadnym kryterium naukowym.

— Ale prawnym tak — Lunt poparł podwładnego.

— To jest tak zwane *prawo kciuka* ustalone po to, by osadnicy na nowych planetach mogli bezkarnie mordować i ujarzmić tubylców pod pretekstem, że polują jedynie na dzikie zwierzęta bądź starają się

je udomowić — stwierdził Jack. — Wszystkie stworzenia posługujące się mową i ogniem należą do sapientów, zgoda. Takie jest prawo, ale to wcale nie oznacza, że te, które tego nie robią, nie należą do nich. Nie widziałem ani jednego członka tej gromadki przy rozpalaniu ognia, a ponieważ nie chcę, aby mi puściły chatę z dymem, nie będę ich tego uczył. Lecz daję głowę, że porozumiewają się między sobą w jakiś sposób.

— Czy widział je już Ben Rainsford? — spytał Lunt.

— Wybrał się gdzieś. Próbowałem się z nim połączyć od razu, kiedy zjawił się Kudłaczek — o, tamten. Bena nie będzie do piątku.

— Więc, dobrze, nie wiedziałem o tym. — Lunt wciąż kręcił głowę z powątpiewaniem. — Chciałbym usłyszeć, co on o tym sądzi.

Gdyby Ben stwierdził, że nic im nie grozi, Lunt uwierzyłby mu na słowo. Ben był ekspertem, a Lunt szanował opinie ekspertów. Na razie jednak nie można być niczego pewnym. Jutro z samego rana zamówi chyba badania lekarskie dla siebie i Khadry, aby sprawdzić, czy czymś się nie zarazili.

4.

Następnego ranka Kudłacze zareagowały na manipulator zupełnie spokojnie. To nie był żaden straszny potwór, tylko coś, w czym Papcio Jack lubi latać. Przed południem znalazł jeden dość mizerny kamień słoneczny, a po południu dwa całkiem niezłe. Wrócił do domu wcześniej i zastał rodzinę w salonie — opróżniły kosz ze śmieci i akurat wkładały je z powrotem. Zdaje się, że kolejna krewetka dostała się do domu: ogryziona skorupa leżała w koszu wraz z innymi odpadkami. Szybko zjedli obiad, po czym Jack załadował Kudłacze na szalupę i wszyscy polecili na dłuższą wycieczkę na południe i zachód.

Następnego dnia zlokalizował żyłą krzemienia po drugiej stronie wąwozu i spędził niemal całe przedpołudnie na wysadzaniu w powietrze mas leżącego wyżej piaskowca. Postanowił, że gdy następnym razem wybierze się do Mallorysport, przejdzie się po sklepach i kupi dobrą koparkę.

Musiał wyrąbać kanał, żeby nie spiętrzyć małego potoku nad sobą. Kiedy wrócił, nad obozem krążyła kolejna harpia; pognał za nią manipulatorem i zestrzelił z działka. Kudłacze smakowały harpiom chyba tak samo jak krewetki Kudłaczom. Wchodząc do pokoju, zastał rodzinę siedzącą pod stojakiem z bronią.

Rano rozłupał krzemień i znalazł trzy nowe kamyki. Wyglądało na to, że rzeczywiście trafił na jakiś meduzi Plac Śmierci. Urwał się z pracy wczesnym popołudniem i kiedy w polu widzenia ukazało się obozowisko, zauważył na trawniku szalupę oraz drobnego człowieczka z rudą brodą w wypłowiałym mundurze khaki. Siedział na ławce przy drzwiach kuchennych w otoczeniu Kudłaczy. Kamera i jakiś sprzęt leżały wyżej, gdzie Kudłacze nie mogły ich dosięgnąć. Dzidzius rzecz jasna tkwił

na głowie mężczyzny. Ten spojrział do góry i pomachał do Jacka ręką, a potem oddał bobasa matce i podniósł się na nogi.

— No, co o nich myślisz, Ben? — zawołał doń Jack, lądując na ziemi.

— Mój Boże, tylko mnie nie prowokuj! — odparł ze śmiechem Rainsford. — W drodze powrotnej zatrzymałem się na posterunku policji. Myślałem, że George Lunt zamienił się w największego kłamcę w Galaktyce. W domu zastałem wiadomość od ciebie na rejestratorze, a więc jestem.

— Długo czekasz?

Kiedy w manipulatorze wyłączyła się antygravitacja, Kudłacze odstąpiły od Rainsforda i podeszły gromadnie do wjazdu. Jack zeskoczył pomiędzy malców, a one ruszyły za nim po trawie, łapiąc go za nogawki i ikając ze szczęścia.

— Niezbyt długo. — Rainsford spojrział na zegarek. — Wielkie nieba, minęły już trzy i pół godziny. Cóż, czas płynie szybko. Wiesz, te ludziki mają dobre ucho. Usłyszały, że lecisz dużo wcześniej ode mnie.

— Nie widziałeś, czy zabijały jakieś krewetki?

— Jeszcze się pytasz! Nakręciłem o tym wiele minut.

Kiwał powoli głową.

— Jack, to wprost niewiarygodne.

— Zostaniesz oczywiście na obiedzie?

— Tylko spróbuj mnie wypędzić! Chcę się wszystkiego dowiedzieć. Może byśmy nagrali film na ich temat, jeśli masz ochotę.

— Z przyjemnością. Zrobimy to po jedzeniu. — Usiadł na ławce. Kudłacze zaczęły wspinać się na Jacka i na stojącą obok ławkę. — Ten zjawił się pierwszy, Kudłaczek. Kilka dni później przyprowadził rodzinę. Mamę, Dwidziusia, Mike'a i Mitzi. Tamtego nazywam Ko-ko, bo z taką ceremonią odcina krewetkom głowy.

— George wspominał, że mówisz na nie Kudłacze. Chcesz, żeby tak się oficjalnie nazywały?

— Jasne. Przecież nimi są, prawda?

— No dobrze, rodzaj nazwiemy Hollowayanie — powiedział Rainsford.
— Rząd — Kudłacze. Gatunek — Kudłacze Hollowaya, Kudłacz kudłacz holloway. Jak to brzmi?

Wydawało się, że całkiem nieźle. Przynajmniej nie latynizowali już pozaziemskiej zoologii.

— Sądzę, że to nasz rekordowy urodzaj krewetek sprowadził je w ten rejon.

— Na pewno. George powiedział mi, że twoim zdaniem przyszły z północy, to zdaje się jedyne miejsce, skąd mogły przyjść. Te stanowią chyba przednią straż. Niedługo będziemy je tu mieli wszędzie. Ciekawe, jak szybko się mnożą.

— Niezbyt szybko. W tej gromadce mamy trzech samców, dwie samice i tylko jednego młodego. — Zdjął z kolan Mike'a i Mitzi, po czym wstał z ławki. — Zabiorę się do obiadu. Ty w tym czasie obejrzyj sobie przedmioty, które przyniosły ze sobą.

Kiedy umieścił obiad w piecyku i przyniósł do pokoju dwie szklaneczki whisky z wodą sodową, Rainsford siedział nadal przy biurku, przyglądając się rzeczom Kudłaczy. Wziął drinka i zaczął go saczyć go w roztargnieniu. Wreszcie podniósł wzrok.

— Jack, te narzędzia są absolutnie zdumiewające — powiedział.

— Łagodnie powiedziane. To są unikaty. Jedyna kolekcja broni i narzędzi autochtonów na Zaratustrze.

Rainsford spojrzał na Hollowaya przenikliwie.

— Chcesz powiedzieć, że domyślam się, o co ci chodzi? — zapytał. — Widzę, że tak. — Upił whisky, odstawił szklankę i wziął do ręki przyrząd z wypolerowanego rogu do zabijania krewetek. — Jeśli chodzi o mnie, to cokolwiek — przepraszam, ktokolwiek — wykonał tego rodzaju pracę, zasługuje na miano autochtona. — Wahał się przez chwilę: — Ale, ale, Jack! Co z tym filmem, który obiecałeś przygotować? Czy mógłbym

przetransmitować go do Juana Jimeneza? To główny znawca ssaków w sekcji badawczej Kompanii, wymieniamy między sobą informacje. W Kompanii mają jeszcze jednego specjalistę, który moim zdaniem powinien go obejrzyć, Gerda van Riebeeka. To ksenoprzyrodnik ogólny, tak jak ja, choć interesuje go przede wszystkim ewolucja ssaków.

— Dlaczego nie? Kudłacze stanowią odkrycie naukowe. Odkryciami należy się dzielić.

Z kuchni wmaszerowały Kudłaczek, Mike i Mitzi. Kudłaczek wskoczył na fotel i włączył teleekran. Pomajstrował chwilę przy konsolcie i złapał na monitorze obrazy wypalania lasów w okolicach Wielkiej Czarnej Wody. Mike i Mitzi wrzasnęły z zachwytu niczym dwoje dzieci oglądających horror w telewizji. Już wiedziały, że nic nie może się przedostać na drugą stronę ekranu, aby je skrzywdzić.

— Mogliby wpaść tutaj i przyjrzeć się Kudłaczom?

— No pewnie, szkraby się ucieszą. Uwielbiają towarzystwo.

Weszły Mama, Dzikus i Ko-ko i chyba spodobał im się widok na monitorze, bo rozsiadły się wygodnie, aby go obejrzyć. Kiedy rozległ się dzwonek przy piecyku, wszystkie wstały, a Ko-ko wskoczył na krzesło i trąciwszy przełącznik wyłączył teleekran. Ben Rainsford spojrzał na Jacka.

— Wiesz, Jack, mam znajomych, którzy przechodzą piekło, chcąc nauczyć swe ośmioletnie dzieci wyłączania telewizora, kiedy skończą oglądać program — powiedział.

Po obiedzie trzeba było całej godziny, aby zapisać na dysku pełną relację, począwszy od cichego iknięcia w łazience. Gdy Jack skończył, Ben poczynił kilka dodatkowych uwag, wyłączył rejestrator i zerknął na zegarek.

— Dwudziesta sto, w Mallorysport będę więc siedemnasta sto — powiedział. — Mógłbym jeszcze złapać Jimeneza w Centrum Naukowym, gdybym spróbował się teraz z nim połączyć. Na ogół pracuje po godzinach.

— Proszę bardzo. Chcesz mu pokazać Kudłacze? — Zdjął ze stołu pistolet oraz inne niepotrzebne przedmioty i usadowił na nim Kudłaczka, Mamę i Dzidziusia. Potem przysunął bliżej stołu krzesło, żeby znalazło się w polu widzenia modułu, i usiadł wraz z Mikiem, Mitzi i Ko-ko. Rainsford nastawił kombinację długości fal, następnie chwycił Dzidziusia i posadził sobie na głowie.

Chwilę później ekran zamigotał i rozjaśnił się. Wyjrzał z niego młody mężczyzna, który zerkał w górę, jakby chciał sprawdzić, czy jego wizerunek publiczny jest dość poważny. Była to łagodna i spokojna twarz człowieka pogodzonego z życiem i ludźmi — twarz powielana rokrocznie w tysiącach kopii przez instytucje wychowawcze na Terze.

— No, Bennett, jestem zaskoczony — przemówił. — Nigdy bym się nie spodziew... — raptem się zakrztusił, po czym wydał okrzyk zdziwienia. — Co to takiego, w imię Dai Butsu, co to za stworzenia trzymasz przed sobą na stole? — zapytał. — Jak żyję, nie widziałem... A cóż ty masz na głowie?

— Rodzinka Kudłaczy — odparł Rainsford. — Dorosły samiec, dorosła samica, młody samiec. — Opuścił Dzidziusia i ułożył go w ramionach Mamy. — Gatunek *Kudłacz kudłacz holloway Zaratustra*. Ten pan po mojej lewej stronie to Jack Holloway, poszukiwacz kamieni słonecznych, który pierwszy odkrył Kudłacze. Jack, przedstawiam ci Jima Jimeneza.

Uścisnęli sobie dłonie, każdy własną, w dawnym terrańsko-chińskim geście stosowanym podczas seansów łączności przy teleekranach, który zapewniał rozmówców — również pochłoniętego nowym widokiem Jimeneza — że bardzo im miło. Jimenez nie mógł oderwać wzroku od Kudłaczy.

— Skąd one się wzięły? — zapytał. — Jesteś przekonany, że to rodzima rasa autochtonów?

— Daleko im jeszcze do lotów kosmicznych, doktorze Jimenez. Raczej dolny paleolit, moim zdaniem — powiedział Holloway.

Jimenez sądząc, że Jack żartuje, wybuchł śmiechem. Takim, który daje się zapalać i gasić niczym światło. Rainsford zapewnił więc go, że Kudłacze są faktycznie rodzimą rasą.

— Nagraliśmy na filmie wszystkie dostępne informacje na ich temat — powiedział. — W sumie około godziny. Możesz zapisywać przy prędkości sześćdziesiąt? — Mówiąc to, nastawiał parametry odtwarzacza. — W porządku, wyreguluj wszystko i rozpoczniemy transmisję. Aha, czy możesz złapać Gerda van Riebeeka? Chciałbym, aby on też go obejrzał, ta sprawa również go zainteresuje.

Kiedy Jimenez był gotowy, Rainsford nacisnął klawisz transmisji i przez chwilę rejestrator wydawał ostry, wibrujący dźwięk. Kudłacze sprawiały wrażenie zaniepokojonych. Wreszcie ucichł.

— Myślę, że po obejrzeniu filmu zechcecie obaj z Gerdem przylecieć tutaj i przyjrzeć się naszym ludzikom. Jeśli możecie, to zabierzcie z sobą jakiegoś doświadczonego psychologa, który będzie w stanie ocenić ich poziom umysłowy. Jack nie żartował co do wczesnego paleolitu. Jeśli nie są rozumne, to dzieli ich od tego tylko średnica atomu.

Jimenez zaniepokoił się, tak jak przedtem Kudłacze.

— Oczywiście żartujecie? — Przenosił wzrok z Rainsforda na Jacka Hollowaya i z powrotem. — No dobrze, zgłoszę się, kiedy obaj obejrzymy film. Znajdujecie się o trzy strefy czasowe na zachód od nas, prawda? A więc spróbujemy wywołać was przed północą waszego czasu — około dwudziestej pierwszej sto.

Zgłosił się pół godziny wcześniej. Tym razem połączył się już ze swego mieszkania, zamiast z biura. W pokoju było widać odtwarzacz oraz niski stolik z przekąskami i drinkami. Jimenezowi towarzyszyły dwie osoby. Jedną z nich był mężczyzna mniej więcej w wieku Jimeneza, dobroduszny, ale bynajmniej nie pogodzony z życiem i ludźmi, być może o trochę zniszczonej twarzy. Drugą — kobieta o lśniących włosach i uśmiechu Mony Lizy. Kudłacze przysypiały już i musieli je przekupić Pezeterem

Trzy, by zostały z nimi nieco dłużej. Natychmiast przejawily zainteresowanie. To bylo ciekawsze niz monitoring.

Jimenez przedstawil swoich gości jako Gerda van Riebeeka i Ruth Ortheris.

— Ruth jest w sekcji doktora Mallina, pracuje w departamencie szkolnym i sadzie dla nieletnich. Poradzi sobie z waszymi Kudłaczami chyba rownie dobrze jak zwykly ksenopsycholog.

— No cóz, mialam juz do czynienia z nieziemcami — odparla kobieta. — Bylam na Loki, na Thorze i odwiedzilam Sheshę.

Jack skinal glowa.

— Ja tez odwiedzalem te planety. Wybieracie sie do nas?

— O, tak — odpowiedzial Riebeek. — Wylatujemy jutro przed poludniem. Zostaniemy przez kilka dni, ale nie sprawimy wam klopotow. Mam duzy prom, na ktorym smialo sie zmiescimy. Jak do was dotrzec?

Jack opisal droge i podal mu wspolrzędne kartograficzne. Van Riebeek wszystko zanotowal.

— Jeszcze jedno — dodal Jack. — To bardzo wazne i nie chialbym juz do tego wracac. Te stworzenia winno sie traktowac z pewnym szacunkiem, nie zas jak kroliki doswiadczone. Nie zrobicie im krzywdy, nie bedziecie ich niepokoić ani zmuszac do czegokolwiek wbrew ich woli.

— Rozumiemy. Nie bedziemy robic z Kudłaczami niczego bez panskiej zgody. Czy mamy cos przywiezc ze soba?

— Tak. Kilka rzeczy do obozu, ktore mi sie koncza, zaplace wam za nie, kiedy sie zjawicie. Oraz pare skrzynek Pezetera Trzy. I troche zabawek. Doktor Ortheris, obejrzała pani nagranie, prawda? No cóz, prosze pomyslec, co chialaby pani miec, gdyby byla pani Kudłaczem, i prosze to przywiezc.

5.

Victor Grego rozgniał niedopałek papierosa powoli i z namaszczeniem.

— Tak, Leonardzie — odparł cierpliwie. — To bardzo ciekawe i niewątpliwie ważne odkrycie, ale nie rozumiem, dlaczego robisz tyle hałasu. Czyżbyś bał się oskarżeń z mojej strony, że pozwoliłeś się wyprzedzić ludziom spoza Kompanii? A może po prostu podejrzewasz, że w cokolwiek zamieszany jest Bennett Rainsford, musi to zarazem stanowić diabelską intrygę przeciw Kompanii, a w rezultacie przeciw cywilizacji ludzkiej?

Leonard Kellogg zrobił urażoną minę.

— Chciałem tylko powiedzieć, Victorze, że zarówno Rainsford, jak i ten Holloway, wydawali się przekonani, iż owe stworzenia, zwane przez nich Kudłaczami, nie są wcale zwierzętami. Uważają je za sapientów.

— No, to jest... — Ugryzł się w język, pojmując raptem znaczenie słów Kellogga. — Mój Boże, Leonardzie! Strasznie cię przepraszam, nie mam pretensji, że wzięłeś to poważnie. Na Boga, Zaratustra mogłaby się stać zamieszkaną planetą kategorii IV.

— Kompania zaś posiada na nią koncesję jako na planetę klasy III — dodał Kellogg. — Niezamieszkaną. Koncesję, która będzie automatycznie cofnięta w razie odkrycia na Zaratustrze jakiegokolwiek rasy inteligentnej.

— Wiesz, co się stanie, jeśli to prawda?

— Cóż, trzeba będzie chyba jeszcze raz negocjować koncesję. Wiedząc, co to za planeta, być może Ministerstwo Kolonii okaże Kompanii niezwykłą wspaniałość...

— Nie będzie się niczego ponownie negocjować, Leonardzie. Rząd Federacji uzna po prostu, że Kompania wyciągnęła już dość pieniędzy z pierwotnych inwestycji i zwróci nam — mam nadzieję — za wszystko,

co uda nam się wykazać jako naszą faktyczną własność, a resztę wrzuci do publicznego worka — powiedział Grego. — Ogromne równiny na kontynentach Beta i Delta ze stadami trawożerów — niezmierzone pastwiska i każdego trawożera nieopatrzono znakiem Kompanii. Wszystkie niewyczerpane bogactwa mineralne i nieuprawiane ziemie orne; trzeba będzie lat procesowania się o uzyskanie przez Kompanię praw choćby do Wielkiej Czarnej Wody. Linie kosmiczne Terra Baldur Marduk utracą swą monopolistyczną pozycję i skończą w sądzie. W każdym razie monopol Kompanii na eksport i import pryśnie jak bańka mydlana. A potem fale osadników, które zaleją wszystko...

— No, nie wyjdziemy na tym lepiej niż Kompania Ygdrasil, która ugrzęzła w stercie guana na którymś kontynencie! — wybuchł. — Za pięć lat będą wyciągać więcej pieniędzy z odchodów nietoperzy niż my z całej planety! A dobry przyjaciel i poważny udziałowiec Kompanii Zaratustra, Nick Emmert, zniknie, i pojawi się generalny gubernator kolonii z regularną armią i skomplikowaną biurokracją, wyborami, ciałem przedstawicielskim i różnymi niechętnymi Kompanii Tomami, Johnami, czy Dickami, próbującymi ustanawiać prawa... No i oczywiście Komitet do Spraw Autochtonów, wtykający nos we wszystko.

— Przecież nie mogliby nas tak zostawić bez żadnej koncesji — upierał się Kellogg. Kogo on próbuje nabrać, prócz samego siebie? — To byłoby nieuczciwe! — Jakby ten argument miał decydować. — To nie nasza wina!

— Leonardzie... — Z trudem się opanowywał. — Zechciej, proszę, przyjąć do wiadomości, że rząd Federacji Terrańskiej gwizdże na to, czy to jest uczciwe, czy nie, oraz czyja to wina. Rząd Federacji nie może odżalować udzielenia nam koncesji, odkąd się przekonał, co wypuścił z rąk. No cóż, Zaratustra jest lepszym światem, niż była kiedykolwiek Terra, nawet przed wojnami atomowymi. A więc jeśli będą mieli okazję nam ją odebrać, to myślisz, że zmarnują swoją szansę? Co ich powstrzyma? Jeśli te stworzenia na kontynencie Beta okażą się istotami rozumnymi, nasza

koncesja nie będzie warta papieru, na którym ją spisano. To będzie koniec. — Milczał przez chwilę. — Czy widziałeś ten film, który Rainsford przesłał do Jimeneza? Czy on albo Holloway faktycznie stwierdzili, na sto procent, że mamy do czynienia z istotami rozumnymi?

— Mhm, niezupełnie. Holloway uparcie mówił o nich jak o ludziach, ale to tylko stary, prosty poszukiwacz. Rainsford nie chciał zdradzić swego stanowiska ani angażować się za lub przeciw, nie zamykał jednak drogi w żadną stronę.

— Czy, sądząc z opisu, Kudłacze mogą być sapientami?

— Sądząc z opisu, tak — odparł ze smutkiem Kellogg. — Mogą.

I prawdopodobnie będą, jeśli Leonard Kellogg nie potrafi obalić dowodów.

— Wobec tego, sprawią wrażenie sapientów na twoich ludziach, którzy udali się dziś rano na Betę, a ci potraktują to wyłącznie jako zagadnienie naukowe i nie wezmą wcale pod uwagę aspektu prawnego. Leonardzie, będziesz musiał osobiście pokierować dochodzeniem, zanim tamci przedłożą sprawozdanie, którego wszyscy będą żałować.

Kelloggowi nie podobał się pomysł Victora. Musiałby sprawować władzę i być twardym dla ludzi, a on tego nie znosił. Z niechęcią skinął głową.

— Tak. Chyba będę musiał. Chciałbym się nad tym przez chwilę zastanowić, Victorze.

Tak to jest z tym Leonarde: kiedy narzucić mu coś, czego nie może zwalić na innych albo uniknąć, to zabiera się do roboty. Może bez entuzjazmu, ale za to sumiennie.

— Wezmę Ernsta Mallina — powiedział w końcu. — Ten Rainsford nie ma nic do powiedzenia w żadnej dziedzinie psychologii. Może uda mu się nabrać Ruth Ortheris, ale nie Ernsta. Zwłaszcza po tym, jak szepnę mu parę słów. — Znowu się zamyślił. — Będziemy musieli odebrać te Kudłacze Hollowayowi. Potem napiszemy meldunek o odkryciu, nie omieszkawszy przypisać zasługi Rainsfordowi i Hollowayowi, akceptując nawet nazwę,

jaką im nadali, ale bardzo wyraźnie stwierdzimy, że mimo wysokiej inteligencji Kudłacze nie są sapientami. Jeśli Rainsford będzie się przy tym upierał, określimy to jako rozmyślne oszustwo naukowe.

— Myślisz, że wysłał już jakiś raport do Instytutu Ksenotyki?

Kellogg pokręcił przecząco głową.

— Wydaje mi się, że chce nakłonić niektórych naszych ludzi do poparcia jego twierdzeń, że mamy do czynienia z sapientami, a przynajmniej rzekomych obserwacji, jakie poczynili z Hollowayem. Dlatego właśnie muszę jak najszybciej udać się na Betę.

Na razie Kelloggowi udało się wmówić, że wyprawa na Betę to jego własny pomysł. Być może przekonywał się również do tego, że raport Rainsforda jest jedynie stekiem bzdur. No cóż, jeśli w ten sposób pracuje mu się lepiej, to jego sprawa.

— Wyśle, i to szybko, jeśli ktoś go nie powstrzyma. I za rok przyleci tu cała armia uczonych z Terry. Musisz do tego czasu ostatecznie zdyskredytować Rainsforda i Hollowaya. Leonardzie, odbierz mu Kudłacze, a gwarantuję ci osobiście, że nikt już ich nie znajdzie i nie będzie czego badać — Grego urwał i zamyślił się. — Zwierzęta futerkowe, o ile dobrze rozumiem?

— Holloway wspominał w nagraniu o ich miękkiej i jedwabistej sierści.

— To dobrze. Zaznacz to w swoim raporcie. Natychmiast po jego publikacji Kompania zaoferuje dwa tysiące soli od sztuki za skórki Kudłaczy. Nim meldunek Rainsforda ściągnie tu kogokolwiek z Terry, możemy je wytępić.

Kellogg przestraszył się.

— Ależ, Victorze, przecież to ludobójstwo!

— Nonsens! Ludobójstwem określa się eksterminację istot rozumnych. Te są zwierzętami futerkowymi. Macie to z Ernstem Mallinem udowodnić.

Kudłacze, bawiące się na trawniku przed obozowiskiem, znieruchomiały nagle i zwróciły pyszczki na zachód. Po chwili podbiegły do ławki przy

kuchennych drzwiach i wgramoliły się na nią.

— Co znowu? — zdziwił się Holloway.

— Słyszają prom — odparł Rainsford. — Tak samo zachowały się wczoraj, kiedy zbliżałeś się kutrem. — Popatrzył na stolik ogrodowy, który rozłożyli pod drzewem o pierzastych liściach. — Wszystko gotowe?

— Wszystko poza lunchem — będzie gotowy gdzieś za godzinę. Już ich widać.

— Masz lepsze oczy ode mnie, Jack. O, też już widzę. Mam nadzieję, że maluchy odwalą im niezłe przedstawienie — powiedział z niepokojem.

Denerwował się, odkąd tutaj przyleciał, niedługo po śniadaniu. Bynajmniej nie z powodu wielkiego znaczenia, jakie miała wizyta ludzi z Mallorysport, Ben bowiem liczył się w kręgach naukowych bardziej niż ktokolwiek w tym tłumie z Kompanii. Po prostu przejmował się Kudłaczami.

Statek wyrósł z ledwo widocznej plamki na niebie i zniżył lot po spirali do lądowania na polanie. Kiedy znieruchomiał na ziemi i pole antygravitacyjne zostało wyłączone, ruszyli ku niemu po trawie. Kudłacze skoczyły z ławki i pobiegły za nimi.

Trójka gości zeszła na ląd. Ruth Ortheris nosiła spodnie i sweter, ale spodnie miała wyłożone na buty z cholewami. Gerd van Riebeek najwyraźniej wykonywał dużo pracy terenowej: miał mocne, wysokie buty i nosił stare, wytarte spodnie w kolorze khaki oraz gotową do użytku broń, świadcząca o tym, że wiedział, czego można oczekiwać tutaj, w górach Piemontu. Juan Jimenez był w tym samym luźnym ubraniu sportowym, w którym pojawił się na ekranie poprzedniego wieczora. Każde z nich dźwigało sprzęt filmowy. Uścisnęli sobie wzajemnie dłonie i wymienili grzeczności na powitanie. Kudłacze podniosły wrzask, aby zwrócić na siebie uwagę. Wreszcie wszyscy, Kudłacze i inni, przenieśli się do stołu pod drzewem.

Ruth Ortheris usiadła na trawie razem z Mamą i Dzidziusiem. Bobas natychmiast zainteresował się srebrnym talizmanem, który nosiła na łańcuszku wokół szyi, podzwaniającym uroczo. Później próbował usiąść na jej głowie. Spędziła trochę czasu na łagodnym, choć stanowczym zniechęcaniu go do tego. Juan Jimenez siedział w kucki między Mikiem i Mitzi, przyglądając im się na zmianę i mówiąc coś do miniaturowego mikrofonu przy rejestratorze na piersiach, głównie po łacinie. Gerd van Riebeek opadł na składany fotel i posadził sobie na kolanach Kudłaczka.

— Wiecie, to dość dziwne — powiedział. — Żeby nie tylko znaleźć coś takiego, po dwudziestu pięciu latach, ale i coś tak wyjątkowego. Patrzcie, on nie ma nawet śladu ogona, a wszystkie ssaki na tej planecie posiadają ogony. W istocie nie łączy go z nimi żadne pokrewieństwo. Weźmy nas, należymy do bardzo dużej rodziny naczelnych, liczącej ponad pięćdziesiąt gatunków. Ale ten ludzik nie ma w ogóle żadnych krewniaków.

— Ik?

— I wcale się tym nie przejmuje, prawda? — Van Riebeek pogłaskał delikatnie Kudłaczka. — Jedno jest pewne, macie najmniejszego znanego humanoida, możecie się ubiegać o rekord w tej dziedzinie. Och, co się dzieje?

Ko-ko, który wdrapał się wcześniej na kolana Rainsforda, zeskoczył raptem na ziemię, chwycił tasak odłożony przez siebie obok krzesła i pomknął jak błyskawica na drugi koniec trawnika. Wszyscy zerwali się na nogi, a goście podnieśli kamery. Kudłacze wydawały się zdziwione całym podnieceniem. Przecież to tylko jeszcze jedna krewetka, prawda?

Ko-ko zaszedł ją od przodu, puknął w nos, żeby się zatrzymała, następnie przyjął dramatyczną pozę, wziął szeroki zamach i spuścił broń na jej kark. Później, po przewróceniu zwierzęcia na grzbiet, przyjrzał mu się niemal ze smutkiem i uderzył kilka razy płaską stroną. Na koniec zaczął je rozdzierać na kawałki i jeść.

— Rozumiem, dlaczego nazywacie go Ko-ko — powiedziała Ruth, kierując na niego kamerę. — Czyżby pozostałe robiły to inaczej?

— No cóż, Kudłaczek biegnie obok nich, odwraca się i zadaje im jeden szybki cios. Mike i Mitzi zaczynają od tego, że przekręcają je na grzbiet i dopiero w tej pozycji odrąbują im głowy. A Mama najpierw mierzy w nogi. Wszystkie jednak ucinają głowy i rozbijają skorupy.

— Mhm... to jest najważniejsze — odparła. — Instynktowne. Techniki albo się uczą, albo ją naśladują. Kiedy Dzidzius zacznie sam polować na krewetki, sprawdźcie, czy nie robi tego identycznie jak Mama!

— Hej, patrzcie! — zawołał Jimenez. — On robi sobie widelec do homarów!

W czasie lunchu rozmawiali wyłącznie o Kudłaczach. Przedmioty dyskusji ogryzały wszystko, co im się dało i ikały pomiędzy sobą. Gerd van Riebeek zasugerował, że właśnie toczą dyskusję o dziwnych obyczajach ludzi. Juan Jimenez spojrzał nań z lekkim niepokojem, jakby chciał spytać, czy mówi poważnie.

— Wiecie, co wywarło na mnie największe wrażenie w sprawozdaniu na filmie? Incydent z piekielniakiem — powiedziała Ruth. — Wszystkie zwierzęta towarzyszące człowiekowi starają się zwrócić jego uwagę w razie niebezpieczeństwa, ale nie słyszałam nigdy, by jakkolwiek, nawet freyański kholf czy terrański szympan, stosował ilustracyjną pantomimę. Kudłaczek odegrał właściwie symboliczne przedstawienie, ukazując charakterystyczne cechy piekielniaka.

— Myślisz, że ten gest wyprostowanej ręki i szczekanie mogły przedstawiać karabin? — spytał Hollowaya Gerd van Riebeek. — Widział cię już kiedyś, jak strzelasz, prawda?

— Nie sądzę, żeby to było coś innego. Dał mi znać: „Wielki, złośliwy piekielniak na dworze, zastrzel go jak harpię”. I gdyby nie przebiegł obok mnie i nie pokazał do tyłu, już by mnie nie było wśród żywych.

Jimenez rzekł z wahaniem:

— Wiem, że moje słowa będą wynikiem ignorancji. To ty jesteś ekspertem od Kudłaczy. Ale czy nie przesadzasz w antropomorfizacji? W przypisywaniu im ludzkich cech i walorów umysłowych?

— Juanie, nie odpowiem ci na razie na twoje pytanie. Nie sądzę, abym w ogóle na nie odpowiedział. Pobądź z Kudłaczami trochę dłużej i wtedy zapytaj o to ponownie, ale samego siebie.

— A więc rozumiesz, Ernst, w czym rzecz.

Leonard Kellogg położył te słowa jak przycisk do papieru na innych słowach, które wypowiedział wcześniej, i czekał. Ernst Mallin siedział nieruchomo z łokciami na biurku, opierając brodę na dłoni. W kącikach jego ust pojawiły się dwie drobne zmarszczki, przypominające nawiasy.

— Tak. Nie jestem prawnikiem, rzecz jasna, ale...

— To nie jest problem dla prawnika. Tylko dla psychologa.

Już wiedział, że nie wywarł tym wrażenia na Ernście Mallinie.

— Musiałbym je najpierw zobaczyć, aby wyrazić opinię. Masz przy sobie film Hollowaya? — Gdy Kellogg skinął głową, Mallin kontynuował: — Czy właściwie któryś z nich stwierdził jednoznacznie, że mamy do czynienia z sapientami?

Leonard odpowiedział to samo co Victorowi Grego, dodając:

— Sprawozdanie składa się niemal całkowicie z niepotwierdzonych oświadczeń Hollowaya dotyczących wydarzeń, których był, jak sam przyznaje, jedynym świadkiem.

— Aha. — Mallin pozwolił swym zaciśniętym ustom na lekki uśmiezek. — I nie jest fachowym obserwatorem. Nie jest nim również, jeśli o to chodzi, Rainsford. Mimo wysokiej pozycji ksenoprzyrodnika, jest on kompletnym laikiem w zakresie psychologii. Po prostu przyjął bezkrytycznie twierdzenia drugiego człowieka. A jeśli chodzi o własne obserwacje Rainsforda, kto wie, czy obok ubarwionych relacji nie zawierają też mnóstwa błędnych wniosków?

— Skąd wiemy, czy nie popełnia celowego oszustwa?

— Ależ Leonardzie, to bardzo poważne oskarżenie.

— Nie byłby to pierwszy wypadek. A ten facet, na przykład, który wyrzył inskrypcję *Dawnego Marsjanina z Gór* w grocie na terenie Kenii? Czy Hellermann, który twierdził, że udało mu się skrzyżować terrańską mysz z thorańską tilbrą. Albo rzekomy *Człowiek z Pittdown*, jeszcze z pierwszego wieku Przed Atomem?

Mallin skinął głową.

— Nikt z nas nie lubi takich historii, ale jak powiedziałeś, czasem się zdarzają. Wiesz, ten spryciarz Rainsford wygląda mi na człowieka, który również byłby zdolny do czegoś takiego. Przede wszystkim to typ egoisty, rodzaj nieprzystosowanej osobowości. Założmy, że chce dokonać jakiegoś sensacyjnego odkrycia, które da mu wysoką pozycję w świecie nauki, na jaką — jego zdaniem — zasługuje. Spotyka samotnego poszukiwacza, do którego odległego obozu zabłąkały się jakieś drobne zwierzęta. Stary je rozpieścił, wyuczył kilku sztuczek, ostatecznie rzutował na nie własne cechy osobowe, a potem wmówił sobie, że są takimi samymi ludźmi jak on. To wielka szansa dla Rainsforda — zaprezentować się jako odkrywca nowego gatunku istot rozumnych i rzucić uczony świat na kolana. — Przerwał i posłał Kelloggowi kolejny uśmiech. — Tak, Leonardzie, to wszystko jest zupełnie możliwe.

— A więc, trzeba to po prostu przyhamować, nim zrobi się z tego wielki skandal naukowy jak z hybrydami Hellermanna.

— Najpierw musimy zapoznać się z tym filmem i sprawdzić, z czym mamy do czynienia. Następnie przeprowadzić gruntowne, bezstronne badania zwierząt, pokazać Rainsfordowi i jego współnikowi, że nie uda im się bezkarnie podrzucić nauce swoich śmiesznych insynuacji. Jeśli nie zdołamy przekonać obu cwaniaków prywatnie, zostanie nam jedynie zdemaskować ich na forum publicznym.

— Oglądałem już to nagranie, ale zróbmy to jeszcze raz. Należy przeanalizować sztuczki, których ten drań Holloway nauczył swoich

ulubieńców i sprawdzić, co one pokazują — powiedział Kellogg.

— Tak, oczywiście. Musimy zabrać się do tego natychmiast — przyznał Mallin. — Później trzeba będzie się zastanowić, jakiego rodzaju oświadczenie musimy wydać i jakich dowodów będziemy potrzebować na jego poparcie.

Po obiedzie Kudłacze baraszkowały przez jakiś czas na trawniku, ale kiedy na równinie zapadł zmierzch, wszystkie weszły do domu, gdzie dostały jedną ze swych nowych zabawek z Mallorysport — wielkie pudło różnokolorowych piłek i krótkich laseczek z przezroczystego plastiku. Nie wiedziały, że to był zestaw do montażu modelu cząsteczki. Jednak niebawem odkryły, że laseczki pasują do otworów w piłkach i że można z nich budować konstrukcje przestrzenne.

Z tym było więcej zabawy niż z kolorowymi kamieniami. Ułożyły na próbę kilka modeli, po czym rozebrały je i wzięły się do budowy jednej, dużej konstrukcji. Kilka razy ją burzyły, całkowicie lub częściowo, i zaczynały wszystko od początku, zazwyczaj z głośnym ikaniem i gestykulacją.

— Mają poczucie piękna — powiedział van Riebeek. — Widziałem dużo abstrakcyjnych rzeźb, ale żadna nie była nawet w połowie tak dobra jak to.

— Świetna mechanika, na dodatek — stwierdził Jack. — Wiedzą, co to równowaga i środek ciężkości. Dobrze je łączą i nie przeciążają na górze.

— Jack, zastanawiam się nad sprawą, o którą winienem zapytać samego siebie — rzekł Jimenez. — Wiesz, przyleciałem tutaj pełen podejrzeń. Nie to, żebym wątpił w twoją uczciwość; po prostu obawiałem się, że wskutek zrozumiałego uczucia dla Kudłaczy przeceniłeś ich inteligencję. Widzę teraz, że odmalowałeś ją zbyt skromnie. Wyjąwszy faktyczną rozumność, nie spotkałem dotąd niczego podobnego.

— Dlaczego wyjąwszy? — spytał Riebeek. — Ruth, milczysz prawie cały wieczór. Jakie jest twoje zdanie?

Ruth Ortheris czuła się nieswojo.

— Gerd, za wcześnie na formułowanie takich opinii. Wiem, że sposób, w jakim pracują zespołowo, przypomina współdziałanie nad jednym projektem, ale po prostu nie mogę rozpoznać mowy w tym *ik ik ik*.

— Nie mieszajmy do tego zasady *mowy i ognia* — odparł van Riebeek.
— Skoro pracują zespołowo nad wspólnym projektem, to znaczy, że muszą się jakoś komunikować.

— To nie jest komunikacja tylko symbolizacja. Nie można myśleć jak człowiek, nie używając symboli werbalnych. Sam spróbuj. Tylko pomyśl o czymś innym niż o zmianie dysku czy inwersji połowej pistoletu — to są jedynie wyuczone sztuczki. Mnie chodzi o pojęcia.

— A co z Helen Keller^[2]? — pytał Rainsford. — Chcesz powiedzieć, że zaczęła myśleć jak człowiek dopiero wtedy, gdy Anne Sullivan zapoznała ją ze słowami?

— Nie, rzecz jasna, że nie. Ona rozumowała jak człowiek... Ale tylko świadomością obrazową ograniczającą się do treści emocjonalnych. — Patrzyła z wyrzutem na Rainsforda, który zrobił wyłom w jednym z jej podstawowych założeń. — Naturalnie, Helen Keller odziedziczyła mózgowo-nerwowe wyposażenie niezbędne dla ludzkiego myślenia. — Wystrzeliła z tą ideą, nim zdążyła spytać, skąd wie, że Kudłacze go nie posiadają.

— Proponuję, aby podyskutować o tym, czy mowa mogła zostać wynaleziona bez wcześniejszego pojawienia się rozumu, takiego jak u człowieka — włączył się Jack.

Ruth zaśmiała się.

— Teraz cofasz mnie z powrotem na uniwersytet. Był to jeden z najbardziej gorąco dyskutowanych problemów na seminariach dla studentów pierwszego roku psychologii. Zanim przeszliśmy na drugi, uświadomiliśmy sobie, że to tylko dyskusja w rodzaju jajko czy kura i daliśmy spokój.

— Szkoda — stwierdził Ben Rainsford. — To dobre pytanie.

— Tak, gdyby miała odpowiedź.

— Być może ma — rzucił Gerd. — Istnieje rozwiązanie tego problemu, tu na miejscu. Moim zdaniem Kudłacze znajdują się na progu rozumności i bałbym się postawić sola na to, po której stronie.

— Założę się o wszystkie kamienie słoneczne z mojego woreczka, że po drugiej.

— No cóż, może trochę są sapientami — zaproponował Jimenez.

— Do licha! — zachnęła się Ruth Ortheris. — To tak jakby ktoś był trochę martwy, albo trochę w ciąży. Jest się albo się nie jest.

— Kwestia rozumności — powiedział Gerd van Riebeek — jest równie istotna w mojej dziedzinie, jak w twojej, Ruth. Intelakt powstaje w wyniku doboru naturalnego, identycznie jak cechy fizyczne, i stanowi najwyższy etap ewolucji wszelkich gatunków, łącznie z nami.

— Chwileczkę, Gerd — powiedział Rainsford. — Ruth, co chciałaś przez to powiedzieć? Czyżby nie istniały stopnie rozumności?

— Nie. Są tylko poziomy rozwoju umysłowego — inteligencji, jeśli wolisz — podobne do stopni temperatury. Kiedy psychologia stanie się nauką równie ścisłą jak fizyka, będziemy mogli mierzyć rozumność w stopniach jak temperaturę. Lecz między posiadaniem a nieposiadaniem rozumu zachodzi różnica jakościowa. To jest coś więcej niż wyższa temperatura intelektu. Można to nazwać czymś w rodzaju umysłowego punktu wrzenia.

— Moim zdaniem, jest to diabelnie dobra analogia — powiedział Rainsford. — Ale co się dzieje, kiedy osiągnie się ów punkt wrzenia?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć — oznajmił van Riebeek. — Przecież o tym przed chwilą mówiłem. Nasza wiedza na temat zjawiska rozumności jest dzisiaj niewiele większa od tej, jaką mieliśmy w roku zerowym albo w 654 Przed Atomem, jeśli o to chodzi...

— Chwileczkę — przerwał mu Jack. — Nim pójdziemy dalej, uzgodnijmy najpierw definicję rozumności.

Van Riebeek roześmiał się.

— Oczekujesz definicji życia od biologa? — spytał. — Albo liczby od matematyka?

— Już prawie skończyły. — Ruth zerknęła na Kudłacze, które przyglądały się swojemu kolorowemu modelowi, jakby zastanawiając się, czy można jeszcze coś dodać, nie psując konstrukcji. — Powiedziałabym tak: poziom umysłu jakościowo odmienny od nierozumności przez to, że obejmuje zdolność do symbolizowania pojęć, przechowywania ich i przekazywania, zdolność do uogólniania oraz zdolność do formułowania pojęć abstrakcyjnych. Nie było tu słowa o *mowie i ogniu*, prawda?

— Kudłaczek posługuje się symbolami i uogólnia — odparł Jack. — Na przykład symbolizuje piekielniaka za pomocą trzech rogów oraz karabin za pomocą długiego przedmiotu, którym wskazuje na cel i robi hałas. Karabiny zabijają zwierzęta. Zarówno harpia, jaki i piekielniak, są zwierzętami. Skoro karabin może zabić harpię, może zabić również piekielniaka.

Juan Jimenez siedział zatopiony w myślach; podniósł wzrok i spytał:

— Jaki jest najmniej rozwinięty znany gatunek sapientów?

— Khooghry z Ygdrassilu — odparł natychmiast Gerd van Riebeek. — Czy ktoś z was był kiedykolwiek na Ygdrassilu?

— Widziałem na Mimirze, jak zastrzelono mężczyznę, który nazwał kogoś Khooghrysynem — powiedział Jack. — Facet, który go zastrzelił, przebywał na Ygdrassilu i wiedział, czym imieniem go nazwano.

— Spędziłem wśród nich kilka lat — rzekł Gerd. — Rozniecają ogień: muszą to przyznać. Opalają końce kijów i robią z nich dzidy. I mówią. Opanowałem ich język, wszystkie osiemdziesiąt dwa słowa. Nauczyłem grono inteligentnych osobników posługiwania się maczetą bez ranienia samych siebie. Spotkałem też jednego tytana umysłu, któremu mogłem zaufać na tyle, że dawałem mu do noszenia niektóre moje rzeczy, jeśli tylko

miałem go na oku. Nigdy jednak nie pozwoliłem mu tknąć strzelby ani kamery.

— Potrafią uogólniać? — spytała Ruth.

— Skarbie, one nie robią nic innego! — odparł Gerd. — Każde słowo w ich języku to wysokiej klasy uogólnienie. *Hrusza*, coś żywego, *Nusza*, coś złego, *Dhiszta*, coś do jedzenia. Chcecie, żebym dalej wyliczał? Zostało jeszcze tylko siedemdziesiąt dziewięć wyrazów.

Zanim komukolwiek udało się powstrzymać Gerda, zabręczał przeraźliwie moduł komunikacyjny. Kudłacze przybiegły natychmiast i rozsiadły się przed nim, a Jack włączył monitor. Na linii był mężczyzna w szarym urzędowym ubraniu. Miał falujące, siwe włosy i twarz Juana Jimeneza za dwadzieścia lat.

— Dobry wieczór. Tu Holloway.

— O, pan Holloway, dobry wieczór. — Człowiek na ekranie uściśnął sobie rękę, rozpluwając się w olśniewającym uśmiechu. — Jestem Leonard Kellogg, szef sekcji badawczej Kompanii. Właśnie obejrzałem film, który nagrał pan o tych Ku... Kudłaczach? — Spojrzał w dół. — Czy to te zwierzęta?

— To są Kudłacze. — Miał nadzieję, że zabrzmiało to jak sprostowanie, zgodnie zresztą z jego zamiarem. — Jest tu wraz ze mną doktor Bennett Rainsford, a także doktor Jimenez, doktor van Riebeek i doktor Ortheris. — Kątem oka zauważył, że Jimenez skręca się, jakby go oblażyły mrówki, van Riebeek nadyma swą pokerową twarz, a Rainsford zagryza wargi. — Niektórzy z nas są poza zasięgiem teleekranu, a z pewnością ma pan wiele pytań. Przepraszam na chwilę, już się przysuwamy.

Ignorował dobrotliwe protesty Kellogga, że to zbyteczne, dopóki krzesła nie znalazły się przed modułem. Po namyśle rozlokował też Kudłacze. Kudłaczek trafił do Bena, Ko-ko do Gerda, Mitzi do Ruth, Mike do Jimeneza. Mamę i Dwidziusia usadowił sobie na kolanach.

Bobas natychmiast począł wspinać się na jego głowę, zgodnie z oczekiwaniami. Kellogg wydawał się zbity z tropu tym faktem, również zgodnie z intencjami Jacka. Nauczył Dzidziusia grać na nosie po otrzymaniu pewnego dyskretnego sygnału. — A więc, chodzi panu o film, który nagrałem wczoraj wieczorem — podjął.

— Tak, panie Holloway. — Uśmiech Kellogga z każdą chwilą stawał się coraz bardziej sztuczny. Z trudnością oderwał wzrok od Dzidziusia. — Muszę przyznać, że byłem doprawdy zaszokowany wysokim poziomem inteligencji przypisywanym tym stworzeniom.

— I chciał się pan przekonać, jak wielki ze mnie kłamca. Nie mam do pana żalu, bo w pierwszej chwili sam nie mogłem w to uwierzyć.

Kellogg wybuchnął sztuczną wesołością, pokazując jeszcze więcej uzębienia.

— Och, nie, panie Holloway, proszę mnie źle nie zrozumieć. Nigdy nie pomyślałem niczego podobnego.

— Mam nadzieję — powiedział nieprzyjemnym głosem Ben Rainsford. — Pamiętaj, że ja potwierdziłem obserwacje pana Hollowaya.

— Oczywiście, Bennett, to się rozumie samo przez się. Pozwólcie sobie pogratulować wielkiego odkrycia naukowego. Zupełnie nowy gatunek ssaków...

— Który może być dziewiątym pozaukładowym gatunkiem sapientów — dodał Rainsford.

— Wielkie nieba, Bennett! — Kellogg zgasił uśmiech na twarzy, zamieniając go w wyraz gwałtownego zdziwienia. — Ty chyba żartujesz! — Znowu spojrzął na Kudłacze, zrobił wesołą minę i wyszczerzył zęby.

— Myślałem, że obejrzałeś nagranie — powiedział Rainsford.

— Ma się rozumieć, sprawozdanie było godne uwagi. Ale od razu sapienci? Bo wyuczyły się kilku sztuczek, używają kijów i kamieni jako broni? — Ponownie zgasił uśmiech, przybierając błyskawicznie surowy

wyraz twarzy. — Tak krańcowe wnioski można wyciągnąć tylko po przeprowadzeniu wszechstronnych badań.

— No cóż, ja się nie upieram przy ich rozumności — włączyła się Ruth. — Być może staną się sapientami pojutrze, nie wcześniej. Ale z łatwością mogłyby nimi już być. Uczą się, a zdolnością wnioskowania dorównują naszym ośmioletnim dzieciom na Terze, przewyższając dorosłych osobników kilku uznanych gatunków rozumnych. I nie nauczono ich żadnych sztuczek, uczą się same na podstawie obserwacji i wnioskowania.

— No cóż, doktorze Kellogg, stopnie rozwoju umysłowego to nie moja specjalność — podjął Jimenez. — Muszę jednak przyznać, że cechy fizyczne dzielą z innymi sapientami. Na przykład kończyny dolne, wyspecjalizowane jako narządy ruchu, i górne służące do manipulacji. Wyprostowana postawa, widzenie przestrzenne, postrzeganie barw, dłoń z przeciwstawnym kciukiem — wszystko, co traktujemy jako podstawowe warunki dla uznania gatunku za rozumny.

— Osobiście sądzę, że ten jest rozumny — powiedział Gerd van Riebeek. — Ale najważniejsze jest to, iż znajdują się na samym progu. Są pierwszym znanym gatunkiem znajdującym się w krytycznym momencie swego rozwoju umysłowego. Uważam, że badania nad Kudłaczami pozwolą znaleźć odpowiedź na pytanie, w jaki sposób dochodzi do powstania rozumności u wszelkich gatunków.

Kellogg od jakiegoś czasu mozolił się i pompował w siebie entuzjazm. Nadszedł moment otwarcia wentyli.

— Wspaniale! To przejdzie do historii! Zdajecie sobie chyba sprawę, jak bezcenne są Kudłacze. Należy je natychmiast dostarczyć do Mallorysport, gdzie będzie można poddać je badaniom w warunkach laboratoryjnych przez doświadczonych psychologów oraz...

— Nie.

Jack zdjął z głowy Dzidziusia i podał go Mamie, a następnie postawił oboje na podłodze. To był odruch, myśląca część jego rozumu wiedziała, że

nie musi oczyszczać przedpola, gdy czeka go spór z elektronicznym wizerunkiem człowieka odległego o cztery tysiące kilometrów.

— Nie ma mowy.

Kellogg udał, że nie słyszy.

— Gerd, masz przecież prom, zmajstruj więc kilka ładnych, wygodnych klatek...

— *Kellogg!*

Mężczyzna na ekranie zamilkł, wybałuszając oczy ze zdumienia i oburzenia. Pierwszy raz od wielu lat zwrócono się doń po nazwisku i chyba pierwszy raz w jego życiu ktoś na niego krzyknął.

— Nie słyszałeś, co mówiłem, Kellogg? Przestań głądzić o kłatkach. Kudłacze nigdzie nie polecą.

— Ależ panie Holloway! Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że te stworzonka trzeba poddać wszechstronnym badaniom? Nie chce pan, by zajęły należne im miejsce w hierarchii przyrody?

— Jeśli chce pan je zbadać, to niech pan przyleci tutaj. To znaczy pod warunkiem, że nie będzie pan niepokoić ani ich, ani też mnie. Co do badań, właśnie je przeprowadzamy. Zajmuje się tym doktor Rainsford i troje innych specjalistów. Ja sam też je badam, jeśli chodzi o ścisłość.

— A ja proszę, abyś zechciał wyjaśnić tę uwagę o doświadczonych psychologach — dodała Ruth Ortheris głosem sięgającym zera absolutnego.

— Chyba nie podajesz w wątpliwość moich kwalifikacji, prawda?

— Ach, Ruth, no wiesz, nie miałem niczego takiego na myśli. Proszę, nie zrozum mnie źle — prosił Kellogg. — Tylko że to jest wysoce specjalistyczna praca...

— Właśnie. Jak dużą liczbą specjalistów od Kudłaczy dysponujesz w swoim Centrum Naukowym, Leonardzie? — spytał Rainsford. — Jedyny, który mi przychodzi do głowy, to siedzący tutaj obok mnie Jack Holloway.

— Mhm, miałem na myśli doktora Mallina, głównego psychologa Kompanii.

— On też może przylecieć, jeśli przyjmie do wiadomości, że musi uzyskać moją zgodę na wszystko, co zamierza robić z Kudłaczami — oznajmił Jack. — Kiedy możemy się was spodziewać?

Kellogg zaproponował późne popołudnie następnego dnia. Nie musiał pytać o drogę do obozu. Jeszcze przez chwilę czynił starania, by rozmowa na powrót nabrała dawnych serdecznych tonów, ale w końcu dał za wygraną i wyłączył się. W salonie przez chwilę zalegała cisza. Przerwał ją Jimenez, mówiąc z wyrzutem:

— Rzeczywiście nie byłeś uprzejmy wobec doktora Kellogga, Jack. Może tego nie wiesz, ale to bardzo ważna figura.

— Nie dla mnie. I faktycznie byłem dla niego bardzo nieuprzejmy. Nie warto być uprzejmym dla takich ludzi. Obracają to przeciw tobie.

— Nie miałem pojęcia, że znasz Lena — powiedział van Riebeek.

— Nigdy drania nie widziałem. Wszędzie takich pełno. — Jack zwrócił się do Rainsforda. — Myślisz, że zjawi się jutro z tym Mallinem?

— Oczywiście. To zbyt poważna rzecz dla takich szaraczków jak my i ludzie spoza Kompanii, by pozwolić im się tym bawić. Słuchajcie, musimy mieć się na baczności, bo inaczej w przyszłym roku otrzymamy z Terry wiadomość o odkryciu rozumnego gatunku na Zaratustrze, *Kudłacz kudłacz kellogg*. Jak mówi Juan, doktor Kellogg to ważna figura. W taki właśnie sposób doszedł do znaczenia.

6.

Głos na filmie umilkł, przez chwilę z głośnika dochodził tylko szum. Fotokomórka włączyła się, głośno przerywając ciszę, trzasnęła dwa razy, otwierając jedno skrzydło ekranu słonecznego i zamykając drugie, po przeciwnej stronie kopuły. Komodor Sił Kosmicznych Alex Napier podniósł wzrok znad biurka i spojrzał na chropowaty, poszarpany krajobraz Kserksesa oraz czerń pozbawionej powietrza przestrzeni za niepokojąco bliskim horyzontem. Potem wziął do ręki fajkę, stuknął nią w popielniczkę i wysypał popiół. Nikt się nie odzywał. Począł napępniać cybuch tytoniem.

— No, panowie? — zachęcił do dyskusji.

— Pancho? — Kapitan Konrad Greibefeld, pierwszy zastępca, zwrócił się do porucznika Ybarra, głównego psychologa.

— Jak rzetelne są to dane? — spytał Ybarra.

— No cóż, Jacka Hollowaya poznałem trzydzieści lat temu, na Fenrisie, jeszcze jako podporucznik. Musi już być po siedemdziesiątce — odparł kapitan. — Jeśli twierdzi, że coś widział, to ja mu wierzę. Bennett Rainsford to również bezwzględnie solidny człowiek, rzecz jasna.

— A jeśli chodzi o agenta? — pytał Ybarra. Kapitan wymienił spojrzenia ze Stephenem Aelborgiem, oficerem wywiadu. Skinął głową, a Aelborg odparł:

— Jeden z najlepszych. Nasz własny podporucznik, z listy oficerów rezerwowych Floty. Nie musisz się martwić o wiarygodność, Pancho.

— Wydają mi się rozumne — powiedział Ybarra. — Wiecie, zawsze trochę się bałem, a trochę miałem nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

— Ma pan na myśli pretekst do interwencji w tym bagnie, jakie się zrobi na dole? — spytał Greibefeld.

Ybarra obrzucił go obojętnym wzrokiem.

— Nie. Nie, chodzi mi o linię graniczną rozumności, coś, czego nie przewiduje nasza uświęcona zasada *mowy i ognia*. W jaki sposób doszło to do naszej wiadomości, Stephen?

— No cóż, drogą radiową z centrali kontaktowej w Mallorysport w piątek późnym wieczorem. Odnoszę wrażenie, że krąży dużo kopii tego nagrania. Nasz agent przechwycił jedno i nadał do centrali — odparł Aelborg. — Przekazano je nam wraz z uwagami agenta. Centrala zarządziła rutynowy nadzór policyjny w siedzibie Kompanii oraz na wszelki wypadek w Rezydencji. Na razie nie było w zasadzie powodu do alarmu i wytaczania armat, ale w sobotę po południu — czasu Mallorysport — otrzymaliśmy meldunek, że mhm... że Leonard Kellogg zapoznał się z kopią nagrania, które Juan Jimenez zarejestrował dla celów archiwalnych, i natychmiast ostrzegł Victora Grego.

— No tak, Victor Grego od razu zorientował się, w czym rzecz. Wysłał Kellogga i głównego psychologa Kompanii, Ernsta Mallina, na kontynent Beta z zadaniem kompromitacji twierdzeń Hollowaya i Rainsforda jako rozmyślnego oszustwa naukowego. Potem Kompania będzie zachęcać do łapania Kudłaczy ze względu na ich futerka w nadziei, że cały gatunek zostanie wytępiony, nim ktokolwiek wyruszy z Terry, aby sprawdzić wersję Rainsforda.

— Nie znałem tego ostatniego szczegółu — powiedział Napier.

— Ale mamy na to dowody — zapewnił go Aelborg.

To było podobne do Victora Grego. Powoli zapalił fajkę. Do diabła, nie chciał interwencji. Nikt z dowództwa Sił Kosmicznych jej nie chciał. Uzasadnienie interwencji na planecie kolonialnej sprawiało masę kłopotu — za każdym razem komisja śledcza, często sąd wojenny. Poza tym rozpędzanie władz cywilnych pozostawało w całkowitej sprzeczności z Doktryną Służby. Rzecz jasna, istniały też inne, ważniejsze punkty Doktryny. Na przykład suwerenność Federacji Terrańskiej i nietykalność

Konstytucji Federacyjnej. A także prawa nieziemców. Konrad Greibenfeld zdawał się myśleć o tym samym.

— Jeśli Kudłacze są sapientami, to cały układ na dole jest nielegalny, Kompania, administracja Kolonii i reszta — powiedział. — Zaratustra jest planetą kategorii IV, i to wszystko.

— Nie będziemy ingerować, chyba że zostaniemy zmuszeni. Pancho, wydaje mi się, że decyzja w dużym stopniu zależy od ciebie.

Pancho Ybarra wpadł w przerażenie.

— Mój Boże, Alex! Ty chyba żartujesz. Kim ja jestem? Nikim. Mam tylko tytuł z medycyny i psychologii. No wiesz, najtęższe mózgi z zakresu psychologii w Federacji...

— Nie znajdują się na Zaratustrze, Pancho. Tylko na Terze, w odległości pięciuset lat świetlnych, o sześć miesięcy lotu w jedną stronę. Interwencja, rzecz jasna, należy do moich kompetencji, ale kwestia, czy są to istoty rozumne, czy nie — do twoich. Nie zazdroszczę ci, ale nie mogę cię w tym wyręczyć.

Propozycja Gerda van Riebeeka, aby wszyscy goście spali na pokładzie promu, nie została w ogóle wzięta pod uwagę. Gerd ulokował się w wolnym pokoju baraku mieszkalnego. Juan Jimenez poleciał na nocleg z Benem Rainsfordem do jego obozu. Ruth Ortheris miała kajutę na promie tylko dla siebie. Następnego dnia rano, kiedy Jack, Gerd, Ruth i Kudłacze siedzieli przy śniadaniu, przez teleekran zgłosił się Ben. Postanowili z Jimenezem wybrać się kutrem do źródeł Zimnej Wody, przypuszczali bowiem, że w tamtejszych lasach musi być więcej Kudłaczy.

Gerd i Ruth woleli spędzić ranek w obozie i poznać bliżej te Kudłacze, jakie były pod ręką. Rodzinka zjadła wystarczająco obfite śniadanie, by zobojętnieć na krewetki. Dostały nową zabawkę, wielką kolorową piłkę. Toczyły ją przez chwilę po trawie, ale postanowiły oszczędzić ją na wieczorne igraszki i odniosły do domu. Potem zaczęły bawić się bez określonego celu wśród rupieci w szopie za warsztatem. Od czasu do czasu

jeden z nich oddalał się na poszukiwanie krewetki, bardziej dla sportu niż dla zaspokojenia głodu.

Ruth, Gerd i Jack siedzieli na trawie obok zastawionego stołu, tocząc leniwe dysputy i szukając wymówek, by nie zmywać talerzy. Mama i Dzidziusь myszkowały w wysokiej trawie. Nagle Mama wrzasnęła przeraźliwie i rzuciła się w kierunku szopy, ponaglając przed sobą Dzidziusia klepaniem go w zadek płaską stroną tasaka.

Jack ruszył biegiem do domu. Gerd chwycił kamerę i wskoczył na stół. Tylko Ruth zauważyła przyczynę zakłócenia spokoju.

— Jack! Spójrz, tam! — wskazała na skraj polany. — Dwa nowe Kudłacze!

Jack biegł dalej, ale zamiast strzelby wziął kamerę, dwa zapasowe tasaki i trochę Pezetera Trzy. Kiedy wrócił na podwórze, oba Kudłacze wkroczyły już na polanę i stały obok siebie, rozglądając się dookoła. To były dwie samice i obie trzymały w rączkach drewnianą broń na krewetki.

— Masz dużo miejsca na dysku? — spytał Holloway Gerda. — Ruth, proszę, weź moją. — Podał jej kamerę. — Cofnij się o kilka kroków i filmuj wszystko, co będę robił i co będą robić one. Zamierzam z nimi pohandlować.

Ruszył przed siebie z dwiema sztukami stalowej broni w tylnej kieszeni spodni i Pezeterem Trzy w dłoni, przemawiając do przybyszek łagodnie i uspokajająco. Zatrzymał się w pewnej odległości, aby ich nie spłoszyć.

— Nasza gromadka idzie twoim śladem — poinformował go Gerd. — Regularną tyralierą, broń uniesiona w pogotowiu. Teraz przystanęły, około dziesięciu kroków za tobą.

Odłamał kawałek Pezetera, włożył sobie do ust i zjadł. Następnie odłamał dwa kolejne kawałki i pokazał im na wyciągniętej ręce. Czuły pokusę, ale nie aż do granic brawury. Rzucił trochę jedzenia o niecały metr od nich. Jedna z samic skoczyła naprzód, odrzuciła kawałek towarzysze,

po czym chwyciła drugi i błyskawicznie się cofnęła. Stały obok siebie, skubały Pezeter Trzy i wydawały delikatne odgłosy szczęścia.

Rodzinka Jacka zdawała się potępiać takie marnowanie delikatesów dla obcych. Ale nieznajome doszły do wniosku, że mogą bezpiecznie podejść bliżej i wkrótce kawałeczki żelaznej racji jadły mu z ręki. Wówczas wyjął z kieszeni dwa stalowe tasaki i dał do zrozumienia, że zamierza dokonać transakcji. Przybyszki wpadły w niezwykły zachwyt. Tego było już za wiele dla jego plemienia: podbiegły do niego, ikając ze złości.

Samice cofnęły się o kilka kroków, sięgając po nową broń. Wszyscy spodziewali się starcia i nikt nie chciał, aby do niego doszło. Pamiętał ze starych opowieści terrańskich, że była to sytuacja, która mogła doprowadzić do tragicznych następstw. Raptem Ko-ko postąpił o krok do przodu, ciągnąc za sobą po ziemi swój tasak, w najwyraźniej pokojowych zamiarach, i zbliżył się do samic, łkając z cicha, dotknął pierwszej, a potem drugiej. Następnie odłożył broń i przydeptał ją. Samice zaczęły go głaskać i tulić się do niego.

W jednej chwili kryzys się zakończył. Reszta rodziny podeszła bliżej, rzuciła broń na ziemię i zaczęła się przymilać do nieznajomych. Wkrótce wszystkie Kudłaczki siedziały w jednym kręgu, kołysząc się rytmicznie i wydając ciche dźwięki. Wreszcie Ko-ko i któraś z samic wstali z miejsca, wzięli swoją broń i ruszyli w stronę lasu.

— Jack, zatrzymaj je — zawołała Ruth. — Odchodzą.

— Skoro chcą odejść, to nie mam prawa ich zatrzymywać.

Zbliżywszy się do skraju lasu, Ko-ko przystanął, wbił szpic broni w ziemię i wrócił biegiem do Papcia Jacka, obejmując go za kolana i ikając. Jack schylił się i pogłaskał go, ale nie próbował podnosić. Druga samica wyciągnęła jego tasak z ziemi i obie wróciły powoli przed barak.

W tym samym czasie przybiegły Kudłaczki, Mama, Mike i Mitzi. Przez chwilę ścisnęły się wzajemnie, ikając ze szczęścia. Następnie ruszyły całą gromadą przez trawę i weszły do domu.

— Chwyciłeś wszystko, Gerd? — spytał Jack.

— Na filmie, tak. Choć tylko w tym sensie to chwyciłem. Co to było?

— Nakręciłeś właśnie pierwszy film o społecznych i matrymonialnych zwyczajach międzyplemiennych zaratustrańskiego Kudłacza. Tu jest ich dom rodzinny, nie życzą sobie w okolicy żadnych obcych. Miały zamiar przepędzić dziewczyny. Ale one przypadły do gustu Ko-ko i postanowił się do nich przyłączyć. Wtedy wszystko się zmieniło; rodzinka zasiadła do rozmowy, żeby je poinformować, jak świetny małżonek im się trafia, i aby pożegnać się z Ko-ko. Wówczas Ko-ko przypomniał sobie, że nie pożegnał się ze mną, więc wrócił. Widząc, jakim znakomitym gospodarzem jest Papcio Jack, rodzinka doszła do wniosku, że dwa nowe Kudłacze nie będą dla niej obciążeniem. Sądzę, że teraz pokazują pannom młodym rodzinne skarby. No wiesz, weszły do niezwykle zamożnej rodziny.

Dziewczęta otrzymały imiona Złotowłosa i Kopciuszek. Po przygotowaniu lunchu, wszyscy zajęli miejsca w salonie przy module. Potem gromadka udała się do sypialni, by uciąć sobie drzemkę na łóżku Papcia Jacka. Jack spędził popołudnie na edycji filmu, Gerd i Ruth opisywali wydarzenia, które zanotowali dzień wcześniej i opracowywali sprawozdanie. Pod wieczór, kiedy skończyli, Kudłacze baraszkowały na trawie i polowały na krewetki.

Usłyszały statek wcześniej niż ktokolwiek z ludzi. Wróciły biegiem i wdrapały się na ławkę przy drzwiach kuchennych. Zbliżał się kuter policyjny. Kiedy wylądował, wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy, mówiąc, że chcą obejrzeć Kudłacze. Zapytali, skąd się wzięły dwa nowe, a kiedy Jack im to wyjaśnił, wymienili spojrzenia.

— Gdy zjawi się jakaś nowa grupka, daj nam znać i zabawiaj je, póki nie przylecimy — powiedział jeden z policjantów. — Chcemy wziąć kilka sztuk na posterunek, chociażby przeciw krewetkom.

— Nie rozumiem George'a — zdziwił się Jack. — Wczoraj wieczorem, kiedy tutaj gościł, miałem wrażenie, że się ich trochę boi.

— Ach, już mu przeszło. Rozmawiał z Benem Rainsfordem, który go uspokoił, że są zupełnie niegroźne. Wiecie, Ben twierdzi, że to nie zwierzęta, ale ludzie.

Jack począł opowiadać im o pewnych rzeczach, które robiły Kudłacze. Jeszcze nie skończył, gdy Kudłacze usłyszały kolejny pojazd i skierowały uwagę na niego. Tym razem przybywali Ben Rainsford i Juan Jimenez. Po wyłączeniu antygravitacji wydostali się z kabiny, niosąc ze sobą kamery.

— Jack, tam jest zatrzęsienie Kudłaczy — oznajmił Rainsford. — Schodzą z gór, kierując się w tę stronę. Istna *Volkerwanderung*^[3]. Spotkaliśmy ponad pięćdziesiąt osobników, cztery rodziniki, pojedyncze sztuki i pary. Głowę daję, że jest ich dziesięć razy tyle, ile udało nam się zauważyć.

— Chyba skoczmy tam jutro naszym kutrem — odezwał się jeden z policjantów. — Ben, w jakiej okolicy byliście?

— Pokażę ci na mapie. — W tym momencie spostrzegł Złotowłosą i Kopciuszkę. — Hej! Skąd wyście się tu wzięły, moje panny? Nigdy was tu przedtem nie widziałem.

Na drugim brzegu strumienia znajdowała się jeszcze jedna polana, połączona z obozem drewnianą kładką i ścieżką. Jack naprowadził na nią wielki prom i postawił swą szalupę obok niego osłoną kabiny do góry. Na przednim pokładzie promu znajdowali się dwaj ludzie, Kellogg i drugi mężczyzna, którym musiał być Ernst Mallin. Kiedy antygravitacja została wyłączona, opuścił kabinę trzeci mężczyzna. Mallin nie spodobał się Jackowi. Miał sztywną, skrytą twarz, na której malowała się arogancja i zajadłość. Trzeci mężczyzna był młodszy. Jego twarz nie zdradzała zbyt dużo, za to pod lewą pachą marynarki widać było wybrzuszenie. Po przedstawieniu go przez Kellogga, Mallin zaprezentował nieznanego jako Kurta Borchę, swego asystenta.

W obozie Mallin przedstawił Borchę po raz drugi, nie tylko Benowi Rainsfordowi, ale także van Riebeekowi, Jimenezowi, a nawet Ruth Ortheris, co wydawało się trochę dziwne. Takie też było zdanie Ruth, więc Mallin pospieszył z wyjaśnieniem, że Borch należy do jego personelu i przeprowadza jakieś doświadczenia. To było jeszcze bardziej intrygujące. Żadnej z tych trzech osób nie podobało się również towarzystwo policji, wszyscy zatem odetchnęli z ulgą, kiedy kuter odleciał.

Kellogg natychmiast zainteresował się Kudłaczami, siadając w kucki, żeby im się przyjrzeć. Powiedział coś do Mallina, który zacisnął usta i potrząsnął głową, a następnie odparł:

— Nie możemy zakładać, że są sapientami, dopóki nie stwierdzimy w ich zachowaniu cech, których nie da się wyjaśnić w żaden inny sposób. O wiele bezpieczniej będzie przyjąć, że nimi nie są, i rozpocząć badania według tego założenia.

Myśl przewodnia została ustalona. Kellogg wyprostował się i wszczął z Mallinem dyskusję w stylu: ...oczywiście, zgadzam się, doktorze, ale z drugiej strony musi pan chyba przyznać... na temat różnicy między naukowym dowodem a naukowym świadectwem. Jimenez włączył się do niej do tego stopnia, że godził się z każdym słowem Kellogga i negował wszystkie twierdzenia Mallina, z którymi według niego nie zgodzi się Kellogg. Borch milczał; stał i patrzył na Kudłacze ze źle tajoną wrogością. Gerd i Ruth postanowili pomóc w przygotowaniach do obiadu.

Jedli na powietrzu przy stole ogrodowym, a Kudłacze obserwowały ich z ciekawością. Kellogg i Mallin przezornie unikali dyskusji na ich temat. Dopiero po zapadnięciu zmroku, kiedy odniosły do domu piłkę i wszyscy zasiedli w salonie, Kellogg z dyrektorską manierą skierował rozmowę w tę stronę. Przez pewien czas, nie dając nikomu dojść do głosu, rozplątywał się nad ważnym odkryciem, jakim były Kudłacze. One same zignorowały go i wzięły się do demontażu konstrukcji z laseczek i piłek. Złotowłosa

i Kopciuszek poświęciły mu chwilę uwagi, a następnie włączyły się do rozbiórki.

— Niestety — ciągnął Kellogg — większość danych, którymi dysponujemy, ma formę niczym nie popartych twierdzeń pana Hollowaya. Otóż, proszę nie zrozumieć mnie źle, osobiście nawet przez chwilę nie wątpiłem w słowa pana Hollowaya, które nagrał na swoim materiale, musicie jednak zrozumieć, że zawodowi uczeni z wielką niechęcią akceptują nieuzasadnione doniesienia osób uważanych, proszę mi wybaczyć, za niewykwalifikowanych obserwatorów.

— Ależ to nonsens, Leonardzie! — wtrącił się Rainsford, tracąc cierpliwość. — Jestem zawodowym uczonym, z o wiele dłuższym stażem niż ty, i akceptuję twierdzenia Jacka Hollowaya. Ludzie pogranicza, tacy jak Jack, są bardzo ważnymi i dokładnymi obserwatorami. W przeciwnym razie nie pożyliby długo na tych planetach.

— Proszę nie zrozumieć mnie źle — powtórzył Kellogg. — Nie wątpię w twierdzenia pana Hollowaya. Zastanawiam się tylko, jak będą odebrane na Terze.

— Nie martwiłbym się o to, Leonardzie. Instytut akceptuje moje doniesienia, a ja ręczę za rzetelność Jacka. Mogę potwierdzić większość jego twierdzeń na podstawie moich własnych obserwacji.

— Tak, i dysponujemy czymś więcej niż tylko ustnym świadectwem — włączył się Gerd van Riebeek. — Kamera nie jest niewykwalifikowanym obserwatorem. Mamy sporo filmów z Kudłaczami.

— A, właśnie, filmy — powiedział Mallin. — Macie ich dużo, co?

— Dość dużo. Wszystkie z wyjątkiem tego, który nakręciliśmy dziś po południu w lesie. Możemy je zaraz wyświetlić.

Gerd rozpiął ekran na stojaku z bronią i przygotował projektor. Kudłacze, które zaczęły budować nową konstrukcję z piłek i laseczek, zdenerwowały się, gdy zgasło światło, ale wpadły w szalony zachwyt, widząc Kudłaczka wykopującego sobie stolarskim dłutem ubikację w ziemi. Zwłaszcza

Kudłaczek był tym podekscytowany; jeśli nie rozpoznał siebie, to rozpoznał dłuto. Potem szła relacja z zabijania i jedzenia przez niego krewetek, odkręcania i przykręcania nakrętki oraz filmy o pozostałych Kudłaczach, o tym, jak się wprowadziły, o polowaniu i zabawie. Ostatnim był film o swatach ze Złotowłosą i Kopciuszkiem.

— Obawiam się, że to, co nakręciliśmy z Juanem po południu, w górskich lasach, nie jest tak dobre — stwierdził Rainsford, kiedy pokaz dobiegł końca i zapalono światło. — Najczęściej jest to widok Kudłaczy od tyłu, znikających w zaroślach. Bardzo trudno było zbliżyć się do nich w statku. Mają niezwykle czuły słuch. Jestem jednak przekonany, że nasz film pokaże narzędzia, które miały przy sobie — drewniane przyrządy do zabijania krewetek, identyczne jak te dwa, które Jack wyhandlował od samiczek w ostatnim filmie.

Mallin wymienił spojrzenie z Kelloggiem, ich wzrok zdradzał dziwną konsternację.

— Nie wspominaliście, że jest ich więcej — powiedział Mallin, jakby zarzucał im krzywoprzysięstwo. Zwrócił się do Kellogga: — To zmienia postać rzeczy.

— Tak, istotnie, Ernst — burknął Kellogg. — To wręcz cudownie. Panie Holloway, rozumiem, że cały teren stanowi pańską własność dzięki aktowi nadania. Zgadza się, prawda? No cóż, czy pozwoliliby nam pan rozbić obóz na polanie po drugiej stronie potoku, gdzie stoi nasz prom? Sprowadzimy prefabrykaty do budowy baraków — najbliższym miasteczkiem jest Czerwone Wzgórze, prawda? — i każemy zespołowi budowlanemu Kompanii wznieść je dla nas. Nie będziemy panu sprawiać żadnych kłopotów. Mieliśmy spędzić dzisiejszą noc na promie i wrócić rano do Mallorysport, ale skoro w tutejszych lasach roi się od Kudłaczy, to musimy chyba zostać. Nie zgłasza pan sprzeciwu, prawda?

Nie zgłaszał. Sytuacja stawała się dla niego coraz bardziej męcząca. Gdyby jednak nie pozwolił Kelloggowi biwakować za strumieniem, cała

trójka przeniosłaby się gdzie indziej, sto albo sto dwadzieścia kilometrów dalej i znalazła poza jego zasięgiem. Wiedział, co mogliby wówczas robić. Łapać Kudłacze w sidła bądź usypiać je gazem; wsadzać do klatek, a potem męczyć niekończącymi się eksperymentami w labiryntach i wstrząsami elektrycznymi; zabić kilka dla przeprowadzenia sekcji, a może nie zawahaliby się rozpocząć od zabijania? Gdyby zrobili coś podobnego na jego ziemi, miałyby szansę przeciwdziałać.

— Proszę bardzo. Ale muszę wam przypomnieć, że winniście traktować malców z życzliwością.

— Och, nie zrobimy nic złego pańskim Kudłaczom — odparł Mallin.

— Nie skrzywdzicie ani jednego. A gdyby, będzie to pierwszy raz i ostatni.

Nazajutrz rano, podczas śniadania, zjawili się Kellogg i Kurt Borch. Borch był ubrany w stare ubranie i buty terenowe, miał przy pasie pistolet. Przynieśli listę rzeczy potrzebnych do budowy baraków. Mieli dość mgliste pojęcie o stawianiu obozów. Jack poczynił kilka uwag, które obaj zaakceptowali. Na liście znajdowało się dużo aparatury naukowej, łącznie z urządzeniami do prześwietleń promieniami X. Jack natychmiast to skreślił.

— Czy wiecie, jaki jest dopuszczalny poziom radiacji dla Kudłaczy? Nie będziemy tego sprawdzać naświetlaniem ich zbyt dużą dawką.

Ku jego zdziwieniu ani Kellogg, ani Borch nie zaprotestowali. Gerd, Ruth i Kellogg pożyczyci od niego szalupę i wyruszyli na północ. Kiedy Rainsford i Jimenez przybyli po Mallina, Holloway i Borch udali się na drugą stronę potoku, żeby robić pomiary. Niebawem Borch odleciał promem do Czerwonego Wzgórza.

Pozostawiony samemu sobie Jack snuł się jakiś czas po obozie, a potem sprawdził resztę nagranych materiałów, sporządzając trzy kopie każdego ujęcia. Koło południa Borch przyprowadził prom z powrotem, wiodąc za sobą kilka kryp gospodarczych. Po paru godzinach budowniczy

Kompanii z Czerwonego Wzgórza postawili drugi obóz. Między innymi dostarczyli dwie nowe szalupy.

Obie wróciły późnym popołudniem z podekscytowanymi pasażerami. Każda z grup zauważyła łącznie blisko sto Kudłaczy i znalazła trzy siedliska, dwa wśród skał i jedno w wydrążonym pniu drzewa bilardowego. Wszystkie były upstrzone pasmami wypełnionych otworów na odchody. Dwa siedliska były opuszczone, jedno nadal zamieszkane. Kellogg nalegał, aby zabawić się w gospodarzy wobec Jacka i Rainsforda i przyrzadzić kolację w nowym obozie. Posiłek był świetny, bo przywiezione potrawy były już wstępnie przygotowane do spożycia i wymagały tylko podgrzania.

Wróciwszy z Rainsfordem do obozu, Jack zastał Kudłacze przy wieczornym posiłku w salonie, gdzie rozpoczynały nową konstrukcję — nie potrafił wymyślić dla niej żadnej nazwy — z kuli i laseczek. Złotowłosa zostawiła rodzinę i podeszła do Jacka, niosąc kilka związanych razem piłek. Uniosła je do góry jedną rączką, a drugą pociągnęła go za nogawkę.

— Tak, widzę. Bardzo piękne — powiedział do niej. Szarpnęła mocniej i pokazała na konstrukcję, którą stawiały pozostałe. W końcu zrozumiał.

— Chce, abym się włączył do pracy — powiedział. — Ben, wiesz gdzie stoi kawa. Nastaw wodę w imbryku. Będę trochę zajęty.

Usiadł na podłodze, a kiedy Ben przyniósł kawę, składał kulki i laseczki. Od dwóch dni nie bawił się tak dobrze. Powiedział to Benowi, gdy ten rozdawał Kudłaczom Pezeter Trzy.

— Tak, masz prawo mnie zrugać, że ściągnąłem ich tutaj — odparł Rainsford, nalewając kawę. — Mógłbym szukać usprawiedliwień, ale każde brzmiałoby tak, jakbym mówił: nie miałem pojęcia, że był nabity.

— Do diabła, ja też nie miałem pojęcia, że był nabity. — Jack wstał i wziął filiżankę z kawą, dmuchając na nią, żeby ostygła. — Jak myślisz, co właściwie knuje Kellogg? Jego zachowanie, odkąd się tu zjawił, jest fałszywe niczym banknot dziewięciosolowy.

— Już mówiłem przedwczoraj wieczorem — odparł Rainsford. — Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek spoza Kompanii dokonywał odkryć na Zaratustrze. Zwróciłeś uwagę, z jakim uporem starał się z Mallinem odradzić mi wysłanie raportu na Terę, zanim nie wyjaśni sprawy Kudłaczy? Chce najpierw wysłać własny raport. No trudno, niech go diabli! Wiesz, co zrobię? Polecę do domu i spędzę noc nad raportem. Jutro rano dam go George'owi Luntowi i niech go wyśle do Mallorysport w worku poczty policyjnej. Znajdzie się na statku na Terę, zanim ktoś z tej bandy zorientuje się, że go wysłałem. Czy masz jakieś zapasowe kopie filmów?

— Kilka. Robię kopie wszystkiego, nawet materiału zrobionego przez tamtych.

— Świetnie. To też wyślę. Niech za rok Kellogg przeczyta o tym w gazetach. — Zastanowił się przez chwilę i dodał: — Gerd, Ruth i Juan nocują w drugim obozie, może więc przeniósłbym się jutro do ciebie. Przypuszczam, że nie chcesz zostawiać Kudłaczy bez opieki, dopóki oni są w pobliżu. Pomogę ci mieć na nich oko.

— Ależ Ben, nie zamierzasz chyba rzucać roboty, którą się obecnie zajmujesz...

— Obecnie studiuję kudłaczologię i jedynie tu mogę to robić. Do zobaczenia jutro, po mojej wizycie na policji.

Mieszkańcy obozu po drugiej stronie potoku — Kellogg, Mallin i Borch, van Riebeek, Jimenez i Ruth Ortheris — byli jeszcze na nogach, kiedy Rainsford udał się do swojej szalupy. Widząc, że Ben wystartował, Jack wrócił do domu, przez chwilę pobawił się w salonie z rodzinką i poszedł spać. Nazajutrz rano obserwował, jak Kellogg, Ruth i Jimenez odlatują jedną szalupą, a wkrótce potem Mallin i Riebeek drugą. Kellogg sprawiał wrażenie, że nie chce, by którakolwiek z trzech osób przybyłych do obozu przed nim błąkała się bez asysty. Zaniepokoiło to Jacka.

Szalupa Bena Rainsforda przyleciała spoza gór z kierunku południowego późnym rankiem i wylądowała na trawniku. Jack pomógł mu wnieść

do domu bagaże, a potem usiedli pod wielkimi drzewami o pierzastych liściach, aby zapalić fajkę i obserwować bawiące się w trawie Kudłacze. Od czasu do czasu widzieli Kurta Borchę krzątającego się na terenie drugiego obozu.

— Wysłałem meldunek — powiedział Rainsford, zerkając na zegarek. — Powinien być już na łajbie pocztowej do Mallorysport; jutro o tej porze będzie w przestrzeni w drodze na Terrę. Nie piśniemy ani słowa, po prostu będziemy siedzieć i patrzeć, jak Leon Kellogg i Ernst Mallin starają się nam w pocie czoła odradzić jego wysłanie. — Roześmiał się. — Stwierdziłem jednoznacznie, że należą do sapientów. Nie miałem innego wyjścia, gdy przygotowywałem meldunek do rejestracji.

— Niech mnie diabli wezmą! Słyszycie, dzieciaki? — zagadnął Mike'a i Mitzi, które przyszły z nadzieją, że dostaną trochę łakoci. — Wujek Ben mówi, że jesteście rozumne.

— *Ik?*

— Pytają, czy to można zjeść. Co teraz się stanie?

— Nic, mniej więcej przez rok. Za sześć miesięcy, kiedy statek przyleci na Terrę, Instytut pozwoli na opublikowanie tego prasie, a potem wyślą do nas zespół dochodzeniowy. To samo zrobią inne zainteresowane uniwersytety i instytuty naukowe. Przypuszczam, że rząd również kogoś wyśle. W końcu nierozwinięte cywilizacje na skolonizowanych planetach to czuły punkt Federacji Terrańskiej..

Jack nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy nie. Im mniej ma do czynienia z rządem, tym lepiej, a Kudłacze są oczkiem w głowie Papcia Jacka Hollowaya. Tak też powiedział.

Rainsford uniósł Mitzi i pogłaskał ją.

— Ładne futerko — stwierdził. — Takie futerko może mieć dobrą cenę. I będzie miało, jeśli nie uzna się ich za sapientów.

Jack spojrzał na drugi brzeg strumienia i zastanowił się. Być może Kellogg również zwrócił uwagę na futerka i ujrzał w nich źródło zysków

dla Kompanii.

Szalupy wróciły wczesnym popołudniem, najpierw łajba Mallina, a później Kellogga. Wszyscy weszli do środka. Godzinę później przed obozem Kellogga wylądował kuter policyjny. George Lunt i Ahmed Khadra zeszli na ląd. Kellogg wyszedł im naprzeciw, porozmawiał z nimi przez chwilę, następnie zaprowadził obu do głównego baraku mieszkalnego. Pół godziny później porucznik i pilot wyszli na zewnątrz, podnieśli kuter i wylądowali na trawniku z drugiej strony potoku. Kudłacze wybiegły im naprzeciw, licząc być może na nowe gwizdki, i weszły za nimi do salonu. Lunt i Khadra zdjęli berety, ale nie wykonali najmniejszego ruchu, by odpiąć pasy.

— Wyekspediowaliśmy twoją przesyłkę bez przeszkód, Ben — oznajmił Lunt. Usiadł i wziął Złotowłosą na kolana. Kopciuszek również wspiął się tam natychmiast. — Jack, co właściwie kombinuje banda tych cwaniaków, do diabła?

— Też to zauważyłeś?

— Śmierdzą na kilometr, pod wiatr. Przede wszystkim ten Borch. Chciałbym mieć jego odciski palców. Założę się, że są u nas w kartotece. Ta banda próbuje coś ukryć i boi się tego niczym trupa w szafie. Kiedy byliśmy u nich, tylko Kellogg zabierał głos; natychmiast uciszał każdego, kto się odezwał. Nie podobasz się Kelloggowi, Jack, i Ben również mu się nie podoba. Nie lubi także Kudłaczy. Zwłaszcza Kudłaczy.

— No cóż, powiedziałem ci rano, co o tym myślę — odezwał się Rainsford. — Nie chcę, by ktokolwiek spoza Kompanii dokonał odkrycia na tej planecie. Mogłoby to zepsuć im opinię w macierzystym ministerstwie na Terze. Pamiętajcie, że kamienie słoneczne odkryli ludzie spoza Kompanii, jeszcze w czterdziestym ósmym.

George Lunt zamyślił się. Popatrzył na nich spode łba.

— Nie sądzę, żeby o to chodziło, Ben. W czasie rozmowy z nami zupełnie otwarcie przyznawał, że to ty i Jack jesteście odkrywcami

Kudłaczy. Sposób, w jaki to mówił, sugeruje, że nie uważa ich w ogóle za godne odkrycia. I zadał mi mnóstwo śmiesznych pytań na twój temat, Jack. Jakby sprawdzał twoje kwalifikacje umysłowe. — Kwaśna mina przeszła w gniewną. — Na Boga! Szkoda, że nie miałem pretekstu, żeby go przesłuchać aparatem do prawdometrii!

Kellogg nie chciał, aby Kudłacze były sapientami. Bo wówczas będą... zwierzętami futerkowymi. Jack zobaczył w wyobraźni tłuste matrony na Terze i Baldurze, otulające swe opasłe ciała futrem ze skórek Kudłaczka i Mamy, Mike'a i Mitzi, Ko-ko, Kopciuszka i Złotowłosej. Zrobiło mu się niedobrze.

7.

Wtorkowy poranek był gorący i bezwietrzny, na surowym mosiężnym niebie wschodziło szkarłatne słońce. Nie podobało się to Kudłaczom, które przyszły obudzić Papcia Jacka za pomocą gwizdków; były nerwowe i niesforne. Być może jednak dziś spadnie deszcz. Zjedli śniadanie na powietrzu przy stole ogrodowym, po czym Ben postanowił wrócić do swego obozu po kilka rzeczy, których zapomniał wziąć wcześniej, a które teraz okazały się niezbędne.

— Na przykład strzelba myśliwska — powiedział. — Zrobię też chyba kilka okrążeń na skraju puszczy i sprawdzę, czy nie uda mi się trafić skoczki pręgowanej. Powinniśmy zjeść trochę świeżego mięsa.

Tak więc po śniadaniu Rainsford wszedł do szalupy i odleciał. Kellogg i Mallin spacerowali tam i z powrotem po obozie za strumieniem, dyskutując gorączkowo. Kiedy z baraku wyszli Ruth Ortheris i Gerd van Riebeek, tamci zatrzymali się, przerwali dialog i zamienili z nimi parę słów. Następnie Gerd i Ruth przeszli po kładce i ruszyli ścieżką w kierunku obozu Jacka.

Kudłacze rozbiegły się już na poszukiwanie krewetek. Kudłaczek, Ko-ko i Złotowłosa wyszły idącym naprzeciw. Ruth podniosła Złotowłosą i wzięła ją na rękę. Ko-ko i Kudłaczek biegły przed Ruth i Gerdem. Przywitali się z Jackiem, odmawiając wypicia kawy. Ruth usadowiła się w fotelu ze Złotowłosą, Kudłaczek wdrapał się na stół i rozglądał za łakociami, a kiedy Gerd rozłożył się na wznak na trawie, Ko-ko usiadł mu na piersiach.

— Złotowłosa to moja ulubienica — oznajmiła Ruth. — Ona jest najśłodsza. Oczywiście, wszystkie są urocze. Nie mogę się nadziwić, jakie są przywiązane i ufne. Tamte w górach były bardzo bojaźliwe.

— No cóż, nie mają Papcia Jacka, który by się o nie troszczył — odparł Gerd. — Myślę, że są bardzo przywiązane do siebie, ale jest tyle rzeczy, których mogą się obawiać. Wiecie, jest jeszcze jeden warunek powstania rozumności. Rozwija się on u pewnego niewielkiego, stosunkowo bezbronного gatunku, otoczonego przez dużych i niebezpiecznych wrogów, przed którymi nie potrafi uciec ani się obronić. A więc, by przeżyć, musi nauczyć się przewyższać ich intelektem. Jak nasi dalecy przodkowie, Kudłacze stanęły przed wyborem stać się sapientami lub zginąć.

Ruth wydawała się zakłopotana.

— Gerd, doktor Mallin nie stwierdził w nich absolutnie niczego, co mogłoby potwierdzić fakt, że są prawdziwymi sapientami.

— Och, Mallin, niech go diabli! On nie zna się lepiej niż ja na tym, co to znaczy być sapientem. I powiedziałbym, że o wiele gorzej niż ty. Moim zdaniem, Mallin pragnie dowieść, że to są zwykłe zwierzęta.

— Dlaczego tak mówisz? — zdziwiła się.

— Przecież to jasne od chwili, kiedy tu się zjawił. Jesteś psychologiem, więc nie wmawiaj mi, że tego nie dostrzegasz. Jeśli zostanie dowiedzione, że Kudłacze należą do sapientów, być może obali to jakąś teorię, którą Mallin zna z książek, i będzie musiał myśleć samodzielnie, a to mu nie odpowiada. Musisz jednak przyznać, że zwalcza tę tezę, intelektualnie i emocjonalnie, od samego początku. No cóż, moglibyśmy wziąć do ręki ołówki i suwaki, puścić w ruch rachunek różniczkowy, a *i tak* nie zdołalibyśmy go przekonać.

— Doktor Mallin chce... — zaczęła gniewnie, po czym urwała. — Jack, wybacz nam. Naprawdę nie przyszliśmy tu po to, żeby się kłócić. Chcieliśmy odwiedzić Kudłacze. Prawda, Złotowłosa?

Złotowłosa bawiła się srebrnym talizmanem na łańcuszku, który wisiał na szyi Ruth, trzymając go przy uchu i potrząsając, aby dzwonił i wydawał delikatne, śliczne dźwięki. Wreszcie uniosła go i spytała:

— Ik?

— Tak, kochanie, możesz go zatrzymać. — Ruth zdjęła łańcuszek z szyi i włożyła na kark Złotowłosej; musiała zrobić trzy pętle, żeby się dobrze trzymał. — No, teraz należy do ciebie.

— Och, nie powinnaś dawać jej takich rzeczy — powiedział Jack.

— Dlaczego? To tania błyskotka. Byłeś na Loki, Jack. Wiesz, co to jest. — Wiedział, sam sprzedawał tubylcom podobne rzeczy. — Dziewczęta z tamtejszego szpitala dały mi go dla zabawy. Nosiałam go tylko dlatego, że go miałam. Złotowłosej podoba się o wiele bardziej.

W drugim obozie oderwała się od ziemi szalupa i przeleciała nad strumieniem. Pilotował ją Juan Jimenez. Ernst Mallin wystawił głowę za okno z prawej strony i zapytał, czy Ruth jest gotowa do drogi a następnie oznajmił Gerdowi, że Kellogg przyleci po niego za kilka minut. Kiedy Ruth weszła do kabiny i szalupa odleciała, Gerd zdjął Ko-ko ze swojej piersi i usiadł prosto, wyjmując papierosy z kieszeni koszuli.

— Nie wiem, co za diabeł w nią wstąpił — powiedział, spoglądając za znikającą szalupą. — Ach, tak! Już wiem. Szepnięto jej słówko z góry. Jako rzecz Kellogg. Kudłaczce to tylko głupiutkie, drobne zwierzęta — dodał z goryczą.

— Ty też pracujesz dla Kellogga, prawda?

— Tak. Ale on nie narzuca mi zawodowej opinii. Wiesz, pomyślałem, w złej godzinie, kiedy wziąłem tę robotę... — Podniósł się na nogi, szarpnąwszy za pas, aby zrównoważyć ciężar pistoletu po prawej stronie za pomocą kamery stereoskopowej po lewej. Raptem zmienił temat. — Jack, czy Ben Rainsford wysłał już do Instytutu meldunek w sprawie Kudłaczy?

— Dlaczego pytasz?

— Jeśli jeszcze nie wysłał, to każ mu się pośpieszyć.

Brakowało czasu, żeby się w to zagłębiać. Od strony drugiego obozu nadlatywała szalupa Kellogga, podchodząc do lądowania, żeby zabrać Gerda.

Jack postanowił na razie nie zmywać brudnych naczyń po śniadaniu i zrobić to dopiero po lunchu. W obozie Kellogga został Kurt Borch, miał więc Kudłacze na oku i przyprowadził je z powrotem, gdy podeszły za blisko kładki. Ben Rainsford nie wrócił przed lunchem, ale polowanie na skoczki pręgowane, nawet prowadzone z powietrza, zabierało trochę czasu. W czasie gdy jadł na dworze, jedna z wynajętych szalup wróciła w pośpiechu od strony północno-wschodniej. Wsiedli z niej Ernst Mallin, Juan Jimenez i Ruth Ortheris. Kurt Borch podbiegł do nich. Rozmawiali kilka minut, a potem wszyscy zniknęli w baraku. Chwilę później nadleciała druga łajba, z jeszcze większą prędkością. Kellogg i van Riebeek wbiegli do środka. Nie było już na co patrzeć.

Odniósł naczynia do kuchni i pozmywał. Kudłacze natomiast poszły do sypialni, by zdrzemnąć się jak zwykle na jego łóżku. Siedział przy stole w salonie, kiedy do otwartych drzwi zapukał Gerd van Riebeek.

— Jack, masz chwilę czasu?

— Pewnie. Wchodź.

Van Riebeek wszedł do pokoju, odpinając pas z bronią. Przesunął krzesło tak, żeby móc widzieć drzwi, i siadając, położył kaburę na podłodze obok swoich nóg. Następnie zaczął złorzeczyć na Kellogga w czterech bądź pięciu różnych językach.

— No cóż, przyznaję ci rację, ogólnie rzecz biorąc. Ale o co konkretnie chodzi?

— Wiesz, co ten Khooghrysyn robi? — spytał Gerd. — On i ten... — Użył kilku słów sheshańskich, dużo gorszych od tych, jakie zna Lingua Terra. — On i ten psychoanalityk od siedmiu boleści, Mallin, smaży raport, zarzucając tobie i Benowi popełnienie rozmyślnego, naukowego oszustwa. Nauczyliście Kudłaczy kilku sztuczek, ty i Rainsford — pospołu — sporządziliście sami te narzędzia i spiskujecie, by przypisać Kudłaczom rozumność. Jack, gdyby to nie była taka cholerna i śmierdząca podłość, określiłbym to dowcipem stulecia!

— Domyślam się, że również tobie kazali to podpisać?

— Tak, i powiedziałem Kelloggowi, że może... — To, co Kellogg mógł zrobić, wydawało się zarówno pociągające, jak i fizjologicznie niemożliwe. Gerd jeszcze raz zaklął, następnie zapalił papierosa i powoli się opanował. — Posłuchaj, co się stało. Kellogg i ja poleciliśmy w górę tego potoku, około trzydziestu kilometrów poniżej Zimnej Wody, tej samej, przy której szukasz kamieni, a potem na wysoki płaskowyż do źródeł i strumienia, co wypływa po drugiej stronie. Wiesz, gdzie to jest? No i znaleźliśmy miejsce, gdzie mieszkają Kudłacze, wśród zwaliska drzew. Znaleźliśmy też mały grób, w którym pochowały jednego osobnika.

Powinien się tego spodziewać, a jednak był zaskoczony.

— Czy to znaczy, że grzebią swoich zmarłych? Jak wyglądał grób?

— Mały kamienny kopiec, jakieś pół metra na metr, wysokości około jednej trzeciej metra. Kellogg stwierdził, że to tylko wielki dół na odchody, ale ja domyśliłem się, co to jest i otworzyłem go. Pod kopczykiem były kamienie, dalej ziemia, a pod nią martwy Kudłacz owinięty w trawę. Samica była potwornie zniekształcona, chyba przez leśnego chochlika. Pomyśl tylko, Jack — włożyli jej do grobu pałkę na krewetki.

— Grzebią zmarłych! Co robił Kellogg, gdy otwierałeś grób?

— Trząśł się ze złości, robił istne piekło. Ja filmowałem mogiłkę i rozwodziłem się nad tym, jakie to ważne odkrycie i niezbity dowód, że Kudłacze są sapientami, ale ten uparł się, aby natychmiast wracać. Połączył się z drugą szalupą i kazał Mallinowi lecieć prosto do obozu. Kiedy wylądowaliśmy, Mallin, Ruth i Juan już tam byli. Ledwie Kellogg poinformował ich, cośmy znaleźli, Mallin zbladł jak kreda i spytał, w jaki sposób zamierzamy to zatuszować. Odpowiedziałem, że chyba oszalał, i wówczas Kellogg się zdradził. Nie będą ryzykować uznania Kudłaczy za sapientów.

— Bo Kompania zamierza sprzedawać ich futerka?

Van Riebeek spojrział na niego ze zdumieniem.

— Nie pomyślałem o tym. I wątpię, czy oni pomyśleli. Nie, powód jest inny. Bo jeśli Kudłacze są rozumne, to koncesja Kompanii zostanie unieważniona.

Tym razem zaklął Jack, zły, ale nie na Kellogga, tylko na siebie.

— Co za głupi, stary dureń ze mnie! Mój Boże, przecież znam prawo kolonialne, ocierałem się o nie na większej liczbie planet, niż ty masz lat. A w ogóle nie przyszło mi to do głowy. No jasne, że zostanie unieważniona. Nawiasem mówiąc, gdzie obecnie pracujesz, w Kompanii?

— Jestem niezależny, ale wcale tego nie żałuję. Mam w banku dość pieniędzy na powrót na Terrę, nie licząc tego, co mogę zarobić na statku i przy kilku innych rzeczach. Ksenoprzyrodnicy nie muszą się martwić o pracę. Na przykład zespół Bena. Bracie, gdy wrócę na Terrę, już ja naopowiadam o tej historii!

— Jeśli wrócisz. I nie ulegniesz wypadkowi, zanim twoja noga przestąpi próg statku. — Urwał i zamyślił się. — Znasz się trochę na geologii?

— Mhm, tyle o ile, muszę sobie radzić ze skamielinami. Jestem w takim samym stopniu paleontologiem, co zoologiem. Czemu pytasz?

— Nie chciałbyś zostać ze mną i szukać przez jakiś czas skamieniałych meduz? Nie zarobimy razem dwa razy więcej od tego, ile wyciągam teraz, ale będziesz mógł patrzeć w lewo, gdy ja spojrzę w prawo, i kto wie, czy dzięki temu nie uda nam się obu pożyć nieco dłużej.

— Naprawdę, Jack?

— Przecież powiedziałem, czyż nie?

Van Riebeek wstał od stołu i wyciągnął rękę; Jack okrążył pokój i uścisnął mu dłoń. Następnie sięgnął do tyłu, podniósł ze stołu pas i założył.

— Ty też lepiej weź broń, współniku. Potrzebujemy jej chyba tylko ze względu na Borchę, ale...

Van Riebeek zapiął pas, po czym wyciągnął pistolet i zarepetował.

— Co teraz? — zapytał.

— Spróbujemy działać zgodnie z prawem. Szczerze mówiąc, zamierzam nawet wezwać gliny.

Wybrał kombinację fal na monitorze łączności. Ekran zajaśniał i pokazał się na nim komisariat policji. Sierżant, który wyjrzał z ekranu, rozpoznał Hollowaya i uśmiechnął się szeroko.

— Cześć, Jack. Jak tam rodzinka? — spytał. — Wpadnę któregoś wieczora, żeby je odwiedzić.

— Kilka możesz zobaczyć już teraz. — Ko-ko, Złotowłosa i Kopciuszek wychodziły akurat z korytarza od strony sypialni; zebrał je i postawił na stole. Sierżant był oczarowany. Musiał jednak zauważyć, że Jack i Gerd noszą w domu broń. Jego oczy zwężyły się nieco.

— Jakieś kłopoty, Jack?

— Drobne, ale mogą być większe. Jest tu kilka osób, które nadużywają gościnności. Mówiąc oficjalnie, powiedzmy, że mam dzikich lokatorów i chcę ich wyeksmitować. Gdyby po okolicy kręciło się kilka błękitnych mundurów, mogłoby mi to zaoszczędzić wydatków na naboje.

— Rozumiem. George wspominał, że możesz żałować zaproszenia tej szajki do swego obozu. — Podniósł słuchawkę. — Calderon do Kutra Trzy — powiedział. — Słyszysz mnie, Trzeci? Słuchaj, Jack Holloway ma drobne kłopoty z lokatorami. Tak, zgadza się. Każe im się wynosić ze swego terenu i sądzi, że mogą próbować stawiać opór. Tak, pewnie, miłujący pokój Jack Holloway, ten sam. Dobra, leć i pogoń mu tych lokatorów, a jeśli zaczną stawiać opór i pyskować, że są grubymi rybami z Kompanii, to mamy to gdzieś i niech spływają. — Odłożył słuchawkę. — Poszuka ich za jakąś godzinę, Jack.

— No cóż, dzięki, Phil. Wpadnij któregoś wieczora, gdy uda ci się powiesić broń na kołku.

Jack wyłączył teleekran i zaczął wybierać na nowo. Tym razem pojawiła się dziewczyna, a potem szef sekcji budowlanej Kompanii w Czerwonym Wzgórzu.

— Och, cześć, Jack. Czy doktor Kellogg jest zadowolony?

— Niezbyt. Wyprowadza się dziś po południu. Chciałbym, żebyś wysłał ludzi na tych waszych krypach i zabrał wszystkie graty z mego podwórka.

— Ale nam powiedział, że pobędzie kilka tygodni.

— Zmiana planów. Ma się wynieść z mojej ziemi przed zachodem słońca.

Pracownik Kompanii zaniepokoił się.

— Jack, nie masz chyba kłopotów z doktorem Kelloggiem, co? — spytał.

— To ważna figura w Kompanii.

— Ciągłe mi to powtarza. Mimo to musisz się tu zjawić i zabrać cały kram — oznajmił Holloway, wyłączając moduł.

— Wiesz, Gerd — powiedział — chyba będzie uczciwie, jeśli poinformuję o wszystkim Kellogga. Jaką mają kombinację?

Gerd podał mu dane i Jack zastukał w klawisze. Jedna z tych chytrych, wyjątkowych kombinacji Kompanii. Natychmiast na ekranie pojawił się Kurt Borch.

— Chcę rozmawiać z Kelloggiem.

— Doktor Kellogg jest bardzo zajęty.

— Będzie jeszcze bardziej zajęty, do diabła; dzisiaj jest dzień przeprowadzek. Przed osiemnastą sto cała wasza banda ma zniknąć z mojego terenu.

Odepchnięto Borchę na bok i pokazał się Kellogg.

— *Co to za bzdura?* — rzucił ze złością.

— Masz polecenie się wynosić. Chcesz wiedzieć dlaczego? Może wolisz, żeby Gerd ci to powiedział? Myślę, że jest kilka wyzwisk, którymi zapomniał cię obrzucić.

— Nie możesz nas tak wypędzać. Jakżeż to, przecież dałeś nam pozwolenie...

— Pozwolenie cofnięte. Dzwoniłem do Mike'a Hennena w Czerwonym Wzgórzu, żeby wysłał z powrotem swoje krypy po graty, które

tu przywiózł. Porucznik Lunt również wydeleguje kilku ludzi. Oczekuję, że kiedy się zjawią, będziesz siedział na walizkach wewnątrz swojego promu.

Zaciemnił teleekran w chwili, gdy Kellogg usiłował powiedzieć, że musiało zajść nieporozumienie.

— Myślę, że to wszystko. Do zachodu słońca jeszcze daleko — dodał — ale apeluję o zawieszenie przepisów i urządzenie małej popijawy dla obłania naszej nowej spółki. Potem możemy wyjść na zewnątrz i poobserwować działania nieprzyjaciela.

Kiedy wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce przy drzwiach kuchennych, nie było dających się zaobserwować działań nieprzyjaciela. Być może Kellogg rozmawiał z Hennenem i posterunkiem policji, żeby sprawdzić słowa Jacka. Poza tym czekało ich mnóstwo roboty przy zbieraniu rzeczy i pakowaniu. W końcu pojawił się Kurt Borch z podnośnikiem antygrawitacyjnym zapełnionym pudłami i bagażem. Obok niego szedł Jimenez, przytrzymując pakunki. Wskoczył na prom, a Borch podniósł ładunek i wrócił do baraków. Powtórzyło się to kilka razy. Tymczasem Kellogg i Mallin sprawiali wrażenie, jakby obrzucali się nawzajem oskarżeniami. Ruth Ortheris wyszła z teczką w ręku i usiadła pod daszkiem na brzegu stołu.

Nikt nie zwracał uwagi na Kudłacze, dopóki nie zauważyli, że któryś z malców zbiega ścieżką w kierunku kładki; blask srebra w okolicach szyi wskazywał, że to Złotowłosa.

— Spójrz na tego głuptaska. Zostań, Gerd, ja po nią pójde.

Wkroczył na ścieżkę. Zanim dotarł do pomostu, Złotowłosa była już po drugiej stronie i znikła za jedną z szalup zaparkowanych przed barakami Kellogga. Ledwie Jack przeszedł przez mostek i znalazł się w odległości sześciu metrów od pojazdu, dobiegł do jego uszu dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszał — ostry, przenikliwy pisk, niczym gwoźdźcia uderzonego zębem piły tarczowej. W tym samym czasie Ruth zawołała:

— Nie! Leonardzie, przestań!

Kiedy wybiegł z za szalupy na polanę, pisk nagle ucichł. Złotowłosa leżała na ziemi, a na jej futerku widać było czerwone plamy. Kellogg stał nad nią z uniesioną nogą. Nosił białe buty; oba były poplamione krwią. Kiedy Jack podbiegł do niego, deptał jeszcze po małym, krwawiącym ciałku. Grzmotnął Kellogga w twarz i poczuł, że coś mu chrupnęło pod pięścią. Kellogg zatoczył się, próbując zasłonić twarz rękami. Wydał zduszony jęk, a Jackowi błysnęła idiotyczna myśl, że Kellogg chce powiedzieć *proszę nie zrozumieć mnie źle*. Złapał go za koszulę i grzmotnął pięścią jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Nie miał pojęcia, ile ciosów mu zadał, gdy usłyszał głos Ruth:

— Jack! Uważaj! Za tobą!

Puścił Kellogga i odskoczył na bok, odwracając się i sięgając po broń. Dziesięć kroków przed nim stał Kurt Borch. Trzymał pistolet w dłoni i mierzył do niego.

Pierwszy strzał Jacka padł w momencie, gdy tylko wysunął pistolet z kabury. Pociągnął za spust po raz drugi, nim jeszcze skończył się odrzut broni; na koszuli Borchy pokazała się czerwona plama, stanowiąc świetny cel dla oddania trzeciego strzału. Borch wypuścił pistolet, z którego już nie był w stanie strzelić, i zaczął łamać się w pół. Opadł na kolana, na bok, a potem zwałił się twarzą do ziemi.

Jack usłyszał za plecami głos Gerda van Riebeeka.

— Stać, nie ruszać się! Wszyscy! Ręce do góry! Ty też, Kellogg.

Kellogg, który tymczasem upadł, dźwignął się z wysiłkiem na nogi. Ciekła mu krew z nosa i próbował ją tamować rękawem marynarki. Ruszył, zataczając się, w stronę swego kompana i wpadł na Ruth Ortheris, która odepchnęła go ze złością i podeszła do małego, zmiażdżonego ciałka. Uklękła obok niego i zaczęła je głaskać. Srebrny dzwoneczek talizmanu na łańcuszku dźwięczał delikatnie. Ruth rozplakała się.

Juan Jimenez opuścił prom i spojrzął z przerażeniem na zwłoki Kurta Borchy.

— Zabiłeś go! — oskarżył Jacka. Chwilę później zmienił to na: — *Zamordowałeś!* — i rzucił się biegiem w kierunku baraku.

Wystrzelony przez Gerda van Riebeeka pocisk trafił w ziemię tuż przed Jimenezem, zatrzymując go w pół kroku.

— Następny trafi w ciebie, Juanie — ostrzegł go Gerd. — Idź i pomóż doktorowi Kelloggowi, bo skaleczył się w nos.

— Wezwij policję — powiedział Mallin. — Ruth, ty idź, do ciebie nie będą strzelać.

— Nie martw się. Wezwałam. Nie pamiętasz?

Jimenez wyjął z kieszeni kilka chusteczek do nosa i usiłował powstrzymać nimi krwawienie swego szefa. W tym czasie Kellogg próbował wyjaśnić Mallinowi, że nic nie mógł na to poradzić.

— Ta mała bestia mnie zaatakowała, skaleczyła mnie tą dzidą, którą nosiła przy sobie.

Ruth Ortheris podniosła wzrok. Pozostałe Kudłacze stały obok niej przy ciele Złotowłosej; widocznie przybiegły zaraz po usłyszeniu pisku.

— Zbliżyła się do niego i pociągnęła go za nogawkę, tak jak zwykle to robią, gdy chcą zwrócić na siebie uwagę — powiedziała Ruth. — Chciała się pochwalić swoim nowym dzwoneczkiem. — Głos się jej załamał i upłynęła dłuższa chwila, nim zdołała się opanować. — A on ją kopnął, a potem zdeptał na śmierć.

— Ruth, zamknij się! — warknął Mallin. — To stworzenie zaatakowało Leonarda, mogło go poważnie zranić.

— I zraniło! — Wciąż przyciskając jedną ręką tampon do nosa, Kellogg drugą podciągnął nogawkę spodni i pokazał bliznę na skórze. Przypominała zadrapanie kolcem róży. — Sama zobacz.

— Tak, widziałam. Widziałam, jak ją kopiesz i depczesz po niej. A ona tylko chciała ci pokazać swój nowy dzwoneczek.

Jack zaczynał żałować, że nie zastrzelił Kellogga od razu, kiedy się zorientował, co jest grane. Kudłacze próbowały podnieść Złotowłosą na nogi. Kiedy doszły do wniosku, że nic z tego nie będzie, położyły ciało na ziemi i skuliły się dookoła niego wydając ciche, żalosne dźwięki.

— Kiedy przyleci policja, macie milczeć — powiedział Mallin. — Ja będę z nimi rozmawiał.

— Niewygodni świadkowie, co, Mallin? — spytał Gerd. — Nie wiesz, że wszyscy będą musieli zeznawać na policji pod prawdomierzem? Ty też czerpiesz forszę z uprawiania psychologii, prawda? — Nagle spostrzegł, że niektóre Kudłacze podnoszą głowę i spoglądają w kierunku południowo-wschodniego horyzontu. — Już lecą gliny.

Była to jednak tylko szalupa Bena Rainsforda z upolowanym skoczkiem, przytwierdzonym z boku kadłuba. Okrążyła obóz Kellogga i wylądowała szybko. Rainsford natychmiast zeskoczył na ziemię i wyciągnął broń.

— Co się stało, Jack? — spytał, po czym rozejrzał się dookoła, tocząc wzrokiem od Złotowłosej i Kellogga do Borchy i pistoletu obok jego zwłok. — Już rozumiem. Ostatnim razem, kiedy sięgnięto po broń przeciw tobie, określono to jako samobójstwo.

— Tak to mniej więcej wyglądało. Masz kamerę w szalupie? Świetnie, sfilmuj Borchę i Złotowłosą. Potem bądź w pogotowiu i jeśli Kudłacze zaczną robić coś nietypowego, filmuj wszystko. Nie sądzę, abyś się rozczarował.

Rainsford zrobił zdziwioną minę, ale schował pistolet do kabury i poszedł z powrotem do statku, po czym wrócił z kamerą. Mallin uparł się, że jako licencjonowany lekarz ma prawo opatrzyć Kelloggowi rany. Gerd van Riebeek udał się za nim do baraku po zestaw pierwszej pomocy medycznej. Akurat wychodzili na zewnątrz z automatem Riebeeka wymierzonym w plecy Mallina, gdy obok szalupy Rainsforda wylądował statek policyjny. To nie był Kuter Trzy. Na ziemię zeskoczył George Lunt, odpinając klapę kabury. Ahmed Khadra siedział przy radiu.

— Co się stało, Jack? Dlaczego na nas nie zaczekałeś?

— Ten maniak napadł na mnie i zamordował tamtego człowieka! — zaczął gardłować Kellogg.

— Pan też ma na imię Jack? — spytał Lunt.

— Nazywam się Leonard Kellogg i jestem szefem sekcji w Kompanii...

— To bądź pan cicho, dopóki nie zadam panu pytania. Ahmed, wywołaj komisariat, ściągnij Knabbera i Yorimitsu z wyposażeniem dochodzeniowym i dowiedz się, co zatrzymuje Kuter Trzy.

Mallin otworzył już zestaw medyczny, na widok policji Gerd schował pistolet do kabury. Kellogg, ciągle przyciskając do nosa wilgotne chusteczki, zdziwił się, co może być przedmiotem dochodzenia.

— Przecież macie mordercę, złapaliście go na gorącym uczynku. Dlaczego go nie aresztujecie?

— Jack, chodźmy trochę dalej, gdzie będziemy mieli ich na oku, nie musząc ich słuchać — powiedział Lunt. Spojrzał na ciało Złotowłosej. — To się stało najpierw?

— Proszę uważać, poruczniku! On wciąż ma pistolet! — krzyknął ostrzegawczo Mallin.

Podeszli do jednej z wynajętych szalup i usiedli na pokrywie generatora pola antygravitacyjnego. Jack zaczął opowiadanie od wizyty Gerda van Riebeeka w południe.

— Tak, ja również się tego spodziewałem — oznajmił Lunt z oburzeniem. — Ale zdałem sobie sprawę z tego dopiero dzisiejszego ranka i do głowy mi nie przyszło, że wszystko potoczy się tak błyskawicznie. Do licha, że też o tym nie pomyślałem! No trudno, mów dalej.

Przerwał mu nieco później i spytał:

— Kellogg znęcał się nad Złotowłosą w chwili, kiedy go uderzyłeś. Chciałeś go powstrzymać?

— Tak. Możesz to sprawdzić prawdomierzem, jeśli chcesz.

— Dobrze. I sprawdzę jeszcze tę całą cholerną bandę. Borch miał w ręku spluwę, kiedy się odwróciłeś? Nie martw się, Jack. Będziemy musieli odbyć coś w rodzaju przesłuchania. Po prostu w obronie własnej. Jak myślisz, czy ktokolwiek z tej szajki powie prawdę tutaj, bez zabierania na posterunek i podłączania do prawdomierza?

— Ruth Ortheris, jak sądzę.

— Przyślij ją, dobrze?

Ruth wciąż przebywała w otoczeniu Kudłaczy, a Ben Rainsford stał obok niej z przygotowaną kamerą. Kudłacze kołysały się nieustannie, ikając żałośnie. Skinęła głową i wstała bez słowa, odchodząc w stronę Lunta.

— Co się właściwie stało, Jack? — spytał Rainsford. — I po czyjej stronie jest van Riebeek? — Kiwnął głową w stronę Gerda, stojącego z ręką na kaburze pistoletu, pilnującego Kellogga i Mallina.

— Po naszej. Rzucił pracę w Kompanii.

Kiedy kończył opowiadać, nadleciał Kuter Trzy, musiał więc powtórzyć tę samą historię jeszcze raz. W obozie Kellogga panował już tłok. Jack miał nadzieję, że zespół roboczy Mike'a Hennena będzie się trzymał z dala przez jakiś czas. Po rozmowie z Ruth Lunt przesłuchał van Riebeeka, a potem Jimeneza, Mallina i Kellogga. Następnie podszedł do Jacka i Rainsforda z funkcjonariuszem, który przyleciał Kutrem Trzy. Gerd van Riebeek dołączył do nich w momencie, gdy Lunt mówił:

— Jack, Kellogg oskarżył cię o morderstwo. Powiedziałem mu, że działałeś w obronie własnej, ale nie chciał słuchać. Zgodnie z prawem muszę cię aresztować.

— W porządku. — Holloway odpiął pistolet i podał Luntowi. — A teraz, George, niniejszym oskarżam Kellogga o bezprawne i nieusprawiedliwione zamordowanie sapienta, a mianowicie rodzimego mieszkańca planety Zaratustra, powszechnie znanego jako Złotowłosa.

Lunt popatrzył na małe, zmiażdżone ciało i sześcioro żałobników zebranych dookoła niego.

— Ależ, Jack, one nie są sapientami z punktu widzenia prawa.

— Nie istnieje nic takiego. Sapient to istota o rozwoju umysłowym dorównującym człowiekowi, nie zaś ta, którą uznano za sapienta.

— Kudłacze są istotami rozumnymi — dodał Rainsford. — Jest to opinia doświadczonego ksenoprzyrodnika.

— Dwóch ksenoprzyrodników — powiedział Gerd van Riebeek. — Tu leżą zwłoki sapienta. Tam stoi człowiek, który go zabił. Na co pan czeka, poruczniku, niech pan wyciąga bransoletki.

— Hej! Zaczekajcie!

Kudłacze wstawały, kładąc tasaki pod ciało Złotowłosej i podnosząc je na stalowych uchwytych. Ben Rainsford wycelował kamerą w Kopciuszkę, który sięgnął po leżącą na ziemi broń swej siostry i poszedł za innymi. Kudłacze niosły zabitą w kierunku przeciwległego rogu polany, z dala od obozu. Rainsford szedł tuż za nimi. Zatrzymywał się, aby sfilmować scenę, a potem biegł dalej, by dotrzymać im kroku.

Położyły zwłoki na ziemi. Mike, Mitzi i Kopciuszek przystąpiły do kopania, a pozostałe rozbiegły się na poszukiwanie kamieni. George Lunt podszedł do nich i przystanął z tyłu, zdjął z głowy beret i znieruchomiał. Gdy owinięte w trawę ciało zostało złożone do małego grobu i przykryte kamieniami, pochylił głowę.

Kiedy budowa kopczyka dobiegła końca, włożył na głowę beret, wyciągnął pistolet i sprawdził komorę nabożową.

— To mi wystarczy, Jack — powiedział. — Teraz aresztuję Leonarda Kellogga za zamordowanie istoty rozumnej.

8.

Jack Holloway nieraz już wychodził na wolność za kaucją, lecz nigdy za tak wysoką. Aczkolwiek warto było zobaczyć, jak Leslie Coombes wybałusza oczy, a Mohammedowi Ali O'Brienowi opada szczęka, gdy na służbową ławkę George'a Lunta wysypał kamienie słoneczne, jarzące się ciepłem dnia i jego ciała, i poprosił George'a, by wybrał klejnoty za dwadzieścia pięć tysięcy soli. Zwłaszcza po widowisku, jakie urządził Coombes, który złożył kaucję za Kellogga jednym z czeków *in blanco* Kompanii.

Spojrzał na butelkę whisky, którą trzymał w dłoni, po czym sięgnął do szafki po drugą. Jedna dla Gusa Brannharda i jedna dla pozostałych. Panowało ogólne przekonanie, że whisky jest jedyną rzeczą, dla której Gustavus Adolphus Brannhard wykonuje czasem praktykę adwokacką w tej dziurze, na tej prowincjonalnej planecie, broniąc bandziorów i kłusowników. Ale tak nie było. Nikt na Zaratustrze nie znał prawdziwych powodów. Whisky była jedynie bronią, za pomocą której Gus Brannhard walczył ze wspomnieniami.

Siedział w największym fotelu w salonie, który bynajmniej nie był dla niego zbyt obszerny: zwalisty mężczyzna o rozczochranych, siwobrazowych włosach i szerokiej twarzy, ukrytej za plątaniną siwobrazowej brody. Nosił wypłowiałą i brudną kurtkę połową z zaczepami do nabojów. Nie miał koszuli, tylko podarty podkoszulek na owłosionej piersi. W miejscu, gdzie kończyły się nogawki spodni, a jeszcze nie zaczynały wystrzępione cholewki butów, widać było owłosione nogi. Na jego głowie siedział Kudłaczek, Mama usadowiła się na brzuchu. Mike i Mitzi tkwiły na lewym i prawym kolanie. Kudłaczce natychmiast upodobały sobie Gusa. Zapewne uważały go za Bardzo Dużego Kudłacza.

— Noo! — huknął, kiedy zobaczył obok siebie butelkę i szklanę. — Nie mogłem się już doczekać.

— Tylko nie pozwól, żeby któryś z malców jej dopadł. Wystarczy, że Kudłaczek nauczył się palić fajkę. Nie chcę żadnego pijaństwa w rodzinie.

Gus napełnił szklanę. Na wszelki wypadek od razu wlał ją w siebie.

— Masz sympatyczną rodzinę, Jack. Zrobią wspaniałe wrażenie w sądzie — o ile Dwidzius nie będzie wchodził sędziemu na głowę. Każda ława przysięgłych, która je zobaczy i wysłucha opowieści Ruth Ortheris, uniewinni ciebie. Dadzą ci tylko naganę za to, że nie zastrzeleś Kellogga na miejscu.

— Nie przejmuję się tym. Marzę jedynie, żeby Kellogg poniósł karę.

— Lepiej zrobisz, jak zaczniesz się przejmować, Jack — odezwał się Rainsford. — Widziałeś tę koalicję przeciwko nam na przesłuchaniu.

Leslie Coombes, czołowy prawnik Kompanii, opuścił Mallorysport jachtem z prędkością szacowaną na sześć machów i przez całą drogę wciskał gaz do dechy. Wraz z nim jak na smyczy pędził Mohammed Ali O'Brien, prokurator generalny Kolonii, który pełnił również rolę głównego oskarżyciela. Jeden i drugi starali się ukreślić łeb sprawie — działanie w obronie własnej dla Hollowaya i zabicie bezbronno zwierzęcia dla Kellogga. Kiedy im się to nie udało, zawiązali istny spisek, by odeprzeć wszelkie dowody w sprawie rozumności Kudłaczy. Ostatecznie był to tylko sąd zażaleń; porucznik Lunt, jako urzędnik policji, miał bardzo małą władzę.

— Widziałeś, do czego się posunęli, prawda?

— Mam nadzieję, że nie chcemy, aby im się udało — powiedział ponuro Rainsford.

— Do czego zmierzasz, Ben? — spytał Brannhard. — Co zrobią, twoim zdaniem?

— Nie wiem. To mnie właśnie męczy. Stanowimy zagrożenie dla Kompanii Zaratustra, a Kompania jest za duża, by móc jej bezkarnie

zagrozić — odparł Rainsford. — Będą się starali zrobić Jacka.

— Za pomocą prawdomierza? To śmieszne, Ben.

— Waszym zdaniem nie możemy dowieść, że Kudłacze należą do sapientów? — rzucił Gerd van Riebeek.

— Kto zdefiniuje sapienta? I jak? — zapytał Rainsford. — Cóż, Coombes i O'Brien mogą nawet zaakceptować przyjęcie zasady *mowy i ognia*.

— Ha, ha! — Brannhard był pewny siebie. — Było już orzeczenie sądowe na ten temat, jakieś czterdzieści lat temu, na Wisznu. Przypadek dzieciobójstwa, kobieta oskarżona o zamordowanie swego nowo narodzonego dziecka. Jej obrońca wystąpił o uniewinnienie, argumentując, że morderstwo definiuje się jako zabicie sapienta, sapient umie mówić i rozniecać ogień, a noworodek nie umie ani tego, ani tego. Wniosek przepadł, a sąd orzekł, że chociaż zdolność do mówienia i rozniecania ognia jest pozytywnym dowodem na rozumność, to brak zdolności do jednego i drugiego nie stanowi prawnego dowodu, że nie jest się sapientem. Jeśli O'Brien nie zna tego orzeczenia, a wątpię, czy zna, to zna je Coombes.

Nalał sobie drugą szklanę i szybko wypił, zanim sięgnął po nią któryś z sapientów zgromadzonych wokół niego.

— Wiecie co? — ciągnął. — Mogę się założyć, i nawet dam fory, że pierwszą czynnością Hama O'Briena po powrocie do Mallorysport będzie złożenie wniosku o *nolle prosequi* [4] obu powództw. Może sobie wycofywać oskarżenie przeciw Kelloggowi, ale wolę, by podtrzymał zarzuty wobec Jacka. Jest na tyle głupi, że może to zrobić, ale Leslie Coombes mu nie pozwoli.

— Lecz jeśli wycofa sprawę Kellogga, to koniec — powiedział Gerd van Riebeek. — Kiedy Jack stanie przed sądem, nikt nie szepnie marnego słowa w sprawie statusu Kudłaczy.

— Ja to zrobię, i nie zamierzam szeptać. Znacie prawo kolonialne odnośnie zabójstwa. W przypadku zabicia człowieka będącego w trakcie

popęłniania morderstwa, nie można przeciw zabójcy wnosić oskarżenia jakiegokolwiek stopnia. Zamierzam dowieść, że Leonard mordował sapienta, że Jack Holloway działał zgodnie z prawem, próbując temu przeciwdziałać, i że Kurt Borch, usiłując udzielić Kelloggowi pomocy, sam stał się winny morderstwa. W związku z tym wszelkie oskarżenia wobec Jacka są bezprawne. Dla poparcia moich twierdzeń będę musiał wypowiedzieć dużo słów i dać mocne świadectwo temu, że Kudłacze należą do sapientów.

— To musi być opinia biegłych — powiedział Rainsford. — Biegłych psychologów. Chyba wiesz, że jedyni psychologowie na tej planecie są pracownikami Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra. — Dopił szkocką, przyjrzał się kawałkom lodu na dnie szklanki, po czym wstał i dolał do pełna. — Postąpiłbym tak samo jak ty, Jack, ale ciągle żałuję, że to się stało.

— Ha! — Zaskoczona okrzykiem Brannharda Mama podniosła wzrok. — Czego żałuje teraz Victor Grego, twoim zdaniem?

Victor Grego odłożył słuchawkę.

— Leslie zgłosił się z jachtu — oznajmił. — Właśnie lądują. Zatrzymają się w szpitalu, by podrzucić Kellogga, a potem przyjdą tutaj.

Nick Emmert ugryzł kanapkę. Miał rudawe włosy, blade oczy i szeroką, byczą twarz.

— Holloway musiał mu nieźle dołożyć — powiedział.

— Szkoda, że go nie zabił! — wybuchł Grego i spostrzegł zaszokowaną minę gubernatora generalnego.

— Chyba żartujesz, Victorze?

— Nie żartuję, do diabła! — Pokazał na rejestrator, który właśnie skończył odtwarzanie nagrania z przesłuchania nadanego z kutra na prędkości sześćdziesiąt. — To drobiazg wobec tego, co wypłynie na procesie. Wiesz, jaka będzie treść epitafium dla Kompanii? *Skopana na śmierć wraz z Kudłaczem przez Leonarda Kellogga.*

Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Kellogg nie stracił głowy i uniknął starcia z Hollowayem. Cóż, nawet fakty zabicia Kudłacza i zastrzelenia Borchy, niewybaczalne jako takie, można jakoś znieść, gdyby nie to idiotyczne oskarżenie o morderstwo. To ono spowodowało kontroskarżenie ze strony Hollowaya, które narobiło szkód.

Teraz, kiedy o tym myślał, uzmysłowił sobie, że to właśnie człowiek Kellogga, van Riebeek, podłożył minę. Nie znał Riebeeka osobiście, lecz Kellogg powinien go znać, a posłużył się nim nieumiejętnie. Powinien był przewidzieć, do czego facet jest zdolny, a do czego nie.

— Ależ Victorze, Kellogg nie będzie skazany za morderstwo — powiedział Emmert. — Za spowodowanie śmierci jednego z tych stworzonek?

— Morderstwo polega na umyślnym i nieusprawiedliwionym spowodowaniu śmierci jakiegokolwiek sapienta, jakiegokolwiek rasy — zacytował z pamięci. — Tak stanowi prawo. Jeśli zdołają wykazać w sądzie, że Kudłacze należą do sapientów...

Wówczas któregoś ranka dwaj zastępcy szeryfa wyprowadzą Leonarda Kellogga na podwórze więzienne i strzelą mu kulę w tył głowy, co samo w sobie nie będzie stratą. Kłopot w tym, że przy okazji zrobią niedający się naprawić wyłom w koncesji Kompanii Zaratustra.

Być może uda się zapobiec również procesowi Kellogga. Żaden odlatujący z Dariusza statek nie mógł się obyć bez kilku pijanych astronautów, zapędzanych w ostatniej chwili na pokład; po ciosach Hollowaya Kellogg powinien znakomicie zagrać rolę pijanego astronauty. Dwadzieścia pięć tysięcy soli kaucji można spisać na straty; dla Kompanii to były grosze. Nie, przyszpilał ich mimo wszystko przed procesem Hollowaya.

— Chcesz, żebym się wyniósł, kiedy przyjdą tamci, Victorze? — spytał Emmert, wpychając sobie do ust kolejną kanapkę.

— Nie, nie, siedź spokojnie. To nasza ostatnia okazja na zebranie ich razem. Potem będziemy musieli unikać wszystkiego, co mogłoby wyglądać na znowę.

— Mhm, zrobię, co się da, aby pomóc, wiesz przecież, Victorze — powiedział Emmert.

Tak, wiedział. Jeśli dojdzie do najgorszego i koncesja Kompanii zostanie unieważniona, Emmert może się utrzymać i zrobić, co się da, aby ocalić coś z ruin — jeżeli nie dla Kompanii, to dla Victora Grego. Lecz jeśli Zaratustra dostanie nową kategorię, Nick będzie skończony. Jego tytuł, pozycja społeczna, synekury, zyski z nielegalnych źródeł i dochody na boku, jego tajne konto w Kompanii na osobiste wydatki — wszystko to pryśnie niczym bańka mydlana. Można liczyć na Nicka Emmerta, że zrobi, co się da — choćby nie wiadomo ile trzeba było zrobić.

Spojrzał w drugi koniec pokoju na lewitujący globus, obracający się w sposób nieuchwytny dla oka w pomarańczowym świetle. Kontynent Beta pokrywał się już mrokiem w miejscu, gdzie Leonard Kellogg zabił Kudłacza zwanego Złotowłosą, a Jack Holloway zabił łobuza zwanego Kurtem Borchem. Na myśl o tym znowu wpadł w złość. Cholerny dureń! Z łatwością mógł strzelić w szerokie plecy faceta, a jednak dał się zabić. Borch nie był ani trochę lepszy od Kellogga. Co mu się stało, nie potrafi już dobierać ludzi? A Ham O'Brien? Nie, nie musi obwiniać siebie także za O'Briena. To jeden z chłopców Nicka Emmerta. A przecież wybór Nicka również nie zależał od niego.

Pudełko na biurku zapiało ostrzegawczo i żeński głos poinformował Victora, że przybyli mecenas Coombes i jego zespół.

— Dobrze, wprowadź ich.

Coombes wszedł jako pierwszy, wysoki, dyskretnie elegancki, o łagodnym, niezmaconym obliczu. Leslie Coombes nie straciłby pogodnego wyrazu twarzy nawet podczas bombardowania czy trzęsienia ziemi. Grego osobiście wyznaczył go na głównego oskarżyciela i myśląc

o tym, poczuł się o wiele lepiej. Mohammed Ali O'Brien nie był ani wysoki, ani elegancki, ani spokojny. Skórę miał niemal czarną — urodził się na Agni, pod gorącym słońcem B3. Jego łyśa głowa lśniła, a z kryjówek krzaczastych, białych wąsów wyzierał długi nos. Co się o nim mówi? Jedyny facet na Zaratustrze, który nawet siadając, potrafi unosić się pychą. Za nimi dwoma weszły pozostałości wyprawy na kontynent Beta — Ernst Mallin, Juan Jimenez i Ruth Ortheris. Mallin wyraził żal, iż nie ma wśród nich doktora Kellogga.

— Czyżby? No cóż, siadajcie, proszę. Obawiam się, że mamy dużo do omówienia.

Najwyższy sędzia Frederic Pendarvis przesunął popielniczkę o kilka centymetrów w prawo, a smukły wazon z gałązką gwiazdników o kilka centymetrów w lewo. Na wprost siebie postawił oprawioną w ramkę fotografię kobiety o miłej twarzy i białych włosach. Następnie ze srebrnego pudełka wyjął cienkie cygaro, dokładnie odciął koniuszek i zapalił. Po czym, nie potrafiąc wymyślić niczego, co mogłoby odwlec robotę, przyciągnął ku sobie wielkie segregatory i otworzył czerwony rejestr spraw kryminalnych do osądzenia.

Trzeba coś z tym zrobić, zawsze mówił to do siebie o tej porze. Przerzucenie tego kramu na sądy centralne było w porządku, kiedy Mallorysport liczył niecałe pięć tysięcy mieszkańców i żadna miejscowość na planecie nie miała ich więcej niż pięćset, ale to było dziesięć lat temu. Najwyższy sędzia kolonii planetarnej nie powinien się babrać w takim śmietniku i sprawdzać, komu zarzucono odciśnięcie znamienia na łydce cielaka trawożera, albo kto do kogo strzelił w barze. No cóż, udało mu się przynajmniej założyć kilka sądów do rozpatrywania wykroczeń i drobnych spraw; to już było coś.

Na pierwszy ogień szło oczywiście zabójstwo. Jak zwykle. Z Bety, Komisariat Piętnasty, porucznik George Lunt. Jack Holloway — a więc stary Jack zrobił kolejne nacięcie na swojej spluwie — Dolina Zimnej

Wody, obywatel Federacji, rasa: człowiek terrański; rozmyślne pozbawienie życia sapienta, a mianowicie Kurta Borchy, Mallorysport, obywatela Federacji, rasa: człowiek terrański. Powód, Leonard Kellogg, to samo. obrońca z urzędu dla oskarżonego, mecenas Gustavus Adolphus Brannhard. Ostatnim razem Jack Holloway zabił dwóch rzezimieszków, którzy próbowali ukraść mu kamienie słoneczne; sprawa nie dotarła nawet do sądu drobnych spraw. Tym razem Jack może mieć kłopoty. Kellogg był członkiem zarządu Kompanii. Doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli osobiście zajmie się tym zabójstwem. Kompania może próbować nacisków.

Następną sprawą również było zabójstwo, z Komisariatu Beta Piętnaście. Zapoznał się z nią i zamrugął oczyma. Leonard Kellogg, rozmyślne pozbawienie życia sapienta, niejkiej Złotowłosej, autochtonki, rasa: Kudłacz zaratustrański. Powód, Jack Holloway; obrońca z urzędu dla oskarżonego, mecenas Leslie Coombes. Pomimo oburzającej błahości oskarżenia, sędzia parsknął śmiechem. To była, rzecz jasna, próba wykpienia skargi Kellogga, mająca go skłonić do wycofania powództwa. Każdy wymiar sprawiedliwości powinien mieć w swych szeregach choć jednego Gusa Brannharda, człowieka umiającego wnieść do spraw trochę życia.

Nagle przestał się śmiać i śmiertelnie spoważniał, niczym saper, który spostrzegł wokół siebie ładunki kataklyzmitu, uzbrojone i podłączone do zapalnika. Sięgnął do konsoly teleekranu i zaczął wystukiwać kombinację. Pojawił się młody mężczyzna w okularach i przywitał go z szacunkiem.

— Dzień dobry, panie Wilkins — odpowiedział. — Dwa zabójstwa na początku dzisiejszej listy — Holloway i Kellogg, oba z Bety Piętnaście. Co wiadomo na ten temat?

Młody mężczyzna roześmiał się.

— Och, panie sędzio, jedno i drugie zabójstwo to wielkie bzdury. Doktor Kellogg zabił jakiegoś zwierzaka należącego do starego Jacka Hollowaya,

kopacza kamieni słonecznych, i wynikła z tego duża nieprzyjemność — Holloway umie być nieprzyjemny, kiedy chce — bo ten Borch, to chyba goryl Kellogga, popełnił samobójczy błąd, próbując wymierzyć broń w Hollowaya. Dziwię się, że porucznik Lunt dopuścił do tego, by choć jedno z tych oskarżeń wyszło poza wstępne przesłuchanie. Pan O'Brien wystąpił o *nolle prosequi* obu spraw, więc można je sobie darować.

Mohammed O'Brien również rozpoznał ładunek kataklyzmitu, kiedy go zobaczył. Sędzia czuł pokusę, by włączyć zapalnik. No cóż, może trzeba odpalić ładunek i przekonać się, co zburzy.

— Jeszcze nie zatwierdziłem *nolle prosequi*, panie Wilkins — przypomniał mu delikatnie. — Proszę mi nadać oba nagrania z przesłuchań na prędkości sześćdziesiąt. Odbiorę je na rejestratorze tego monitora. Dziękuję.

Wyciągnął rękę i poczynił niezbędne regulacje. Sekretarz sądowy Wilkins zniknął z ekranu, a po chwili wrócił. Migotanie i gwizdy ciągnęły się przez półtorej minuty. Potrwa dłużej, niż się tego spodziewał. Cóż...

W szklance zabrakło lodu i Leonard Kellogg wrzucił jeszcze parę kostek. Teraz było go zbyt dużo, dolał więc trochę brandy. Nie należało brać się do picia o tak wczesnej porze i upijać przed obiadem, gdyby utrzymał tempo, ale co innego miał do roboty? Nie mógł wyjść, nie z taką twarzą. W każdym razie nie był pewny, czy chce wychodzić.

Wszyscy byli przeciw niemu. Ernst Mallin, Ruth Ortheris i nawet Juan Jimenez. Na policji Coombes i O'Brien potraktowali go jak stukniętego smarkacza, którego trzeba uciszać na oczach ludzi, a w drodze powrotnej do Mallorysport zupełnie go ignorowali.

Pił szybko, więc w szklance znowu pojawił się lód. Victor Grego doradził mu, żeby wziął urlop na czas procesu, a kierowanie wydziałem powierzył Mallinowi. Lepiej niech nim sam nie kieruje w okresie, gdy personel przygotowuje dowody obrony. No cóż, kto wie, to wygląda na pierwszy krok w kierunku całkowitego pozbycia się go z Kompanii.

Opadł na fotel i zapalił papierosa. Nie smakował mu, więc zaciągnął się kilka razy i zgniótł go w popielniczce. Ale czy mógł postąpić inaczej? Po znalezieniu tego grobu musiał dać Gerdowi do zrozumienia, co to oznacza dla Kompanii. Juan i Ruth byli w porządku, ale Gerd... Te wyzwiska, którymi go obrzucił, te obelgi wobec Kompanii. A potem ta wiadomość od Jacka Hollowaya i upokorzenie, że musi się wynosić jak włóczęga.

A później to dzikie zwierzątko zaczęło go szarpać za nogawkę, więc je odepchnął — no, dobrze, kopnął — a ono zamierzyło się na niego małą włócznią, którą nosiło przy sobie. Właściwie tylko szalenciec mógłby dać zwierzęciu coś takiego. Kopnął je ponownie, aż zaczęło piszczeć...

W sąsiednim pokoju zabrzączał teleekran. Może zgłasza się Victor. Dopił brandy i pobiegł do drzwi.

Zgłosił się Leslie Coombes, jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

— Och, cześć, Leslie.

— Dzień dobry, doktorze Kellogg. — Formalny charakter powitania równał się prztyczkowi w nos. — Właśnie rozmawiałem z prokuratorem generalnym. Sędzia Pendarvis odrzucił jego wniosek o umorzenie pańskiej sprawy i sprawy Jacka Hollowaya. Zarządził rozpatrzenie przez sąd zarówno jednej, jak i drugiej.

— Oni to traktują aż tak poważnie?

— Bo to jest poważny problem. Jeśli pan przegra, to koncesja Kompanii będzie niemal automatycznie unieważniona. I choć to ma znaczenie wyłącznie dla pana, może pan dostać, co jest bardzo prawdopodobne, karę śmierci przez rozstrzelanie. — Wyrzucił to z siebie i kontynuował: — A więc, chcę porozmawiać na temat pańskiej obrony, za którą odpowiadam. Powiedzmy jutro, dziesiąta trzydzieści, w moim biurze. Do tej pory powinienem już wiedzieć, jakiego rodzaju dowody zostaną użyte przeciw panu. Oczekuję pana, doktorze Kellogg.

Coombes musiał chyba powiedzieć więcej, ale tylko tyle się nagrało. Leonard nie zdawał sobie sprawy, że wrócił do drugiego pokoju, dopóki nie zorientował się, że siedzi w fotelu i nalewa whisky do szklanki. Było w niej bardzo mało lodu, ale nie dbał o to.

Chcą go postawić przed sądem, za morderstwo, za zabicie tego małego stworzenia, a Ham O'Brien obiecał, że tego nie zrobią. Obiecał, że nie dopuści do procesu, a dopuścił. Tak czy owak, będą go sądzić i jeśli zostanie skazany, wyprowadzą go i zastrzelą niczym głupie małe zwierzę, jakie sam zabił, kopnął je i deptał po nim, póki nie usłyszał pisku i nie poczuł tego straszliwego, miękkiego chrzęstu pod nogami...

Dopił whisky ze szklanki, dolał jeszcze i znowu wypił. Wstał z trudem i zataczając się powlókł do kanapy. Rzucił się na poduszki i wtulił w nie twarz.

Leslie Coombes wkroczył do gabinetu Victora Grego i zastał w nim również Nicka Emmerta. Obaj mężczyźni wstali, aby się z nim przywitać.

— Słyszałeś już?

— Tak. O'Brien natychmiast dał mi cynk. Połączyłem się z moim klientem — klientem z urzędu — i przekazałem wiadomość. Obawiam się, że była ona dla niego dosyć szokująca.

— Dla mnie nie — odparł Grego, kiedy usiedli. — Ilekroć Ham O'Brien jest o czymś święcie przekonany, a tak jak w tym wypadku, to oczekuję najgorszego.

— Pendarvis zamierza osobiście poprowadzić sprawę — powiedział Emmert. — Sądziłem, że to rozsądny człowiek, ale o co mu chodzi tym razem? Chce poderżnąć gardło Kompanii?

— Pendarvis nie jest przeciw Kompanii — odparł Coombes. — Nie jest również za Kompanią. Po prostu jest za prawem. Prawo stwierdza, że glob zamieszkały przez tubylczą rasę inteligentną jest planetą klasy IV i musi mieć rząd kolonialny klasy IV. Jeśli Zaratustra jest planetą klasy IV, to on chce ustanowienia tego rządu i stosowania właściwych przepisów. Jeśli jest

planetą kategorii IV, to koncesja Kompanii Zaratustra jest bezprawna. Jego rolą jest położyć kres bezprawiu. Religią Frederica Pendarvisa jest prawo, a on czuje się jej kapłanem. Nie można osiągnąć niczego kłótnią z kapłanem na tematy religijne.

Kiedy skończył, przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu. Grego spoglądał na globus, uświadamiając sobie, że choć jest z niego dumny, to przypomina on świetność sztucznego klejnotu, udającego prawdziwy w skarbcu. Obawiał się, że skradną mu prawdziwy klejnot. Nick Emmert był równie przestraszony.

— Miałeś wczoraj rację, Victorze — powiedział. — Szkoda, że Holloway nie zabił tego Khooghrysyna. Może nie jest jeszcze za późno...

— Niestety jest, Nick. Za późno na robienie podobnych rzeczy. Za późno na cokolwiek prócz wygrania sprawy w sądzie. — Odwrócił się do Grego. — Co robią twoi ludzie?

Grego oderwał wzrok od globusa.

— Ernst Mallin studiuje cały sfilmowany materiał dowodowy, jaki posiadamy, i wszelkie opisy zachowań Kudłaczy. Stara się wykazać, że ani jedno nie jest efektem działania rozumu. Ruth Ortheris robi to samo, tyle że zajmuje się instynktem i odruchami warunkowymi, by wykazać zwierzęcość i myślenie jednoetapowe. Ruth ma dużo szczurów, kilka psów i małą oraz mnóstwo aparatury. Pomaga jej jakiś technik z pracowni instrumentów Henry'ego Stensona. Juan Jimenez bada procesy myślowe terrańskich psów, kotów i naczelnych, oraz freyańskich kholpów i czarnych pełzaków z Mimiru.

— Nie znalazł u małą bądź u psów jakichś analogii tego pochówku, co?

Gregg nie odpowiedział, ograniczył się do potrząśnięcia głową. Emmert wymamrotał jakieś niesłyszalne i zapewne ordynarne słowo.

— Nie sądzę. Mam jedynie nadzieję, że Kudłacze nie pojawią się w sądzie, aby rozpaścić ognisko i wygłosić mowę w żargonie terrańskim.

Nick Emmert wykrzyknął z przestraszeniem:

— Ty sam wierzysz w to, że należą do sapientów!

— No jasne. A ty nie?

Grego uśmiechnął się kwaśno.

— Nick myśli, że trzeba w coś wierzyć, by móc tego dowieść. To pomaga, ale nie jest niezbędne. Przyjmijmy, że jesteśmy grupą dyskusyjną. Dano nam do rozwiązania problem odwrotny. Ustalono: Kudłacze należą do sapientów. Osobiście sędzę, że możemy przegrać, a to oznacza, że musimy bardziej nad tym popracować.

— Wiecie, brałem udział w grupie dyskusyjnej na uczelni — rzekł pogodnie Emmert. Kiedy tamci zbyli to milczeniem, dodał: — Jeśli dobrze pamiętam, pierwsza rzecz to uzgodnienie terminologii.

Grego natychmiast podniósł wzrok.

— Leslie, Nick chyba coś znalazł. Jak brzmi prawna definicja sapienta?

— O ile wiem, nie ma żadnej definicji. To się przyjmuje jako rzecz oczywistą — odparł Coombes.

— A co z mową i ogniem?

Coombes pokiwał przecząco głową.

— Społeczeństwo Kolonii Wisznu kontra Emily Morrosh, 612 Ery Atomowej. — Opowiedział im o przypadku dzieciobójstwa. — Szukałem wyroków dotyczących rozumności, przekazałem to orzeczenie dalej, do Hama O'Briena. Wiesz, twoi ludzie muszą przedstawić definicję rozumności możliwą do przyjęcia przez sąd, która będzie obejmować wszystkie znane rasy inteligentne, a przy tym wykluczać Kudłacze. Nie zazdroszczę im pracy.

— Musimy wytrzasnąć kilka Kudłaczy i sami je zbadać — stwierdził Grego.

— Szkoda, że nie możemy ich wziąć od Hollowaya — powiedział Emmert. — Możemy spróbować mu je zabrać, kiedy zostawi je w obozie bez opieki.

— Nie. Nie możemy ryzykować. — Grego zastanawiał się przez chwilę.
— Zaczekajcie. Sądzę, że uda nam się to załatwić. Zgodnie z prawem.

9.

Jack zobaczył, że Kudłaczek wpatruje się w leżącą na popielniczce fajkę. Sięgnął po nią ręką i włożył do ust. Kudłaczek spojrział na niego z wyrzutem i zaczął schodzić na podłogę. Skąpiec z Papcia Jacka; nie przyszło mu do głowy, że Kudłacze też mogą chcieć palić fajkę? Cóż, nie musi im to wcale wyrządzić krzywdy.

Holloway chwycił Kudłaczka i z powrotem posadził go sobie na kolanach, wskazując ręką na fajkę. Kudłaczek pociągnął parę razy. Nie zakrztusił się dymem; najwyraźniej wiedział już, jak tego uniknąć.

— Jako pierwszą wyznaczyli sprawę Kellogga — odezwał się Gus Brannhard. — W żaden sposób nie mogłem temu zapobiec. Rozumiecie, w jakim kierunku to zmierza? Wpierw osądzą Kellogga, a Leslie Coombes będzie zarówno oskarżycielem, jak i obrońcą. Jeśli uda im się Kellogga uniewinnić, oddalą tym dowody na rozumność, które chcemy przedstawić na naszym procesie.

Mama próbowała po raz kolejny przechwycić szklanekę, którą podnosił do ust, ale zdołał temu zapobiec. Dzidzius zaniechał prób usadowienia się na jego głowie i bawił się w chowanego za jego baczkami.

— Przede wszystkim będą najpierw próbowali wykluczyć tyle dowodów na rozumność Kudłaczy, ile się da — ciągnął Brannhard. — Nie będzie ich dużo, czeka nas jednak walka o zachowanie każdego. Pozostałe, których nie uda im się wykluczyć, będą atakować. Zaatakują wiarygodność. Oczywiście, po prawdometrii nie mogą zarzucić nikomu kłamstwa, mogą jednak zarzucić oszukiwanie samych siebie. Mówicie to, w co wierzycie, czy to prawda czy nie, a prawdomierz tylko was w tym wspiera. Podważą kwalifikacje do składania ekspertyz sądowych. Będą się uciekać do kruczków prawnych wobec każdego pojedynczego faktu i każdej

pojedynczej opinii. Czego nie uda im się wykluczyć lub zaatakować, przyjmą do wiadomości, a potem zaprzeczą, że to stanowiło dowód na rozumność.

— Czego chcą na dowód, u diabła? — spytał Gerd. — Energii atomowej, antygravitacji, napędu podprzestrzennego?

— Opracują ładną, gustowną i precyzyjną definicję sapienta, przykrojoną w taki sposób, by nie obejmowała Kudłaczy. Przedstawią ją w sądzie i uczynią wszystko, by została przyjęta. Od nas zależy, czy odgadniemy ją zawczasu, czy będziemy dysponować gotowym kontrargumentem i naszą własną definicją.

— Ich definicja będzie musiała obejmować Khooghry. Gerd, czy Khooghry grzebią swoich zmarłych?

— Do diabła, nie. Jedzą. Ale trzeba im to oddać, najpierw je smażą.

— Słuchajcie, niczego nie osiągniemy, wyklócając się o to, co robią Kudłacze, a czego nie robią Khooghry — przemówił Rainsford. — Musimy ustalić definicję rozumności. Pamiętajcie, co powiedziała Ruth w sobotę wieczorem?

Gerd van Riebeek zrobił taką minę, jakby nie chciał pamiętać, co mówiła Ruth Ortheris, a nawet samej Ruth. Jack skinął głową i przytoczył jej słowa:

— „Inteligencję istot nierozumnych widzę jako zawężające się spektrum funkcji rosnących, łączących się w ostrą linię, odkąd zaczyna się już wznosić krzywa rozumu. Być może o innej barwie lub faliście zamiast po liniach prostych”.

— To dobre odwzorowanie graficzne — powiedział Gerd. — Wiecie, ta linia jest tak ostra, że chętnie uznałbym powstanie rozumu za skutek mutacji, lecz nie mogę absolutnie w to uwierzyć, aby na tylu rozmaitych planetach podobne mutacje zachodziły w identyczny sposób.

Ben Rainsford zaczął coś mówić, ale nagle urwał, gdyż nad obozem zawyła syrena policyjna. Kudłacze z ciekawością podniosły wzrok.

Wiedziały, co to jest. Przyjaciele Papcia Jacka w niebieskich ubraniach. Jack podszedł do drzwi i otworzył, zapalając światło przed barakiem.

Kuter wylądował. Wysiedli z niego George Lunt, jego dwaj podwładni i dwaj nieznanymi mężczyźni ubrani po cywilnemu. Obcy nosili broń, jeden z nich miał jakąś paczkę pod pachą.

— Cześć, George, wejdźcie do środka.

— Chcemy z tobą porozmawiać, Jack. — Lunt powiedział to z napięciem w głosie, pozbawionym wszelkiego ciepła i przyjaźni. — Przynajmniej chcą tego ci panowie.

— Cóż, zgoda. Nie ma sprawy.

Cofnął się do pokoju, robiąc im przejście. Coś się musiało stać i to coś złego. Jako pierwszy wszedł Khadra i stanął tuż za Hollowayem. Za Khadrą pojawił się Lunt, obrzucając wzrokiem pomieszczenie. Porucznik stanął między Hollowayem a regałem na broń oraz pistoletami w kaburach, które leżały na stole. Trzeci funkcjonariusz puścił cywilów przodem, po czym wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Hollowayowi przyszło do głowy, że być może sąd anulował jego zwolnienie za kaucją i kazał osadzić go w areszcie. Dwaj nieznanymi — mocno zbudowany mężczyzna o szczeciniastych, czarnych wąsach i drobniejszy, z chudą, posępną twarzą — spoglądali wyczekująco na Lunta. Rainsford i van Riebeek podnieśli się z krzeseł. Gus Brannhard pochylił się, żeby napełnić pustą szklanę, ale nie wstał od stołu.

— Proszę o dokumenty — powiedział Lunt do mocno zbudowanego cywila.

Ten wyjął złożone papiery i podał mu.

— Jack, to nie jest mój pomysł — zwrócił się porucznik do Hollowaya. — Nie chcę tego robić, chociaż muszę. Nie chciałbym również strzelać do ciebie, lecz w razie najmniejszego oporu nie zawaham się tego uczynić. Nie jestem Kurtem Borchem, znam cię i nie będę ryzykował.

— Skoro masz doręczyć papiery, to je doręcz — odezwał się roślejszy cywil. — Będziesz tak stał i ględził do rana?

— Jack, oto sekwestr z sądu na twoje Kudłacze jako dowody w sprawie Kellogga. Ci panowie to zastępcy szeryfa z sądów centralnych, kazano im dostarczyć Kudłacze do Mallorysport.

— Chciałbym obejrzeć ten sekwestr, Jack — powiedział Brannhard, nie podnosząc się z krzesła.

Lunt wręczył papiery Hollowayowi, a ten przekazał je Brannhardowi. Gus pił regularnie przez cały wieczór; być może dlatego nie wstawał. Rzucił okiem na dokumenty i skinął głową.

— Nakaz sądowy, w porządku, podpisany przez najwyższego sędziego. — Oddał je Jackowi. — Mają zabrać Kudłacze i nic poza tym. Ale zatrzymaj ten dokument i niech ci zostawią pokwitowanie z podpisami i odciskami kciuków. Jack, napisz im to od razu.

Brannhard chciał czymś zająć Hollowaya, aby nie patrzył na to, co się będzie działo. Niższy zastępca szeryfa rzucił paczkę na podłogę. Kilka płóciennych worków. Holloway usiadł przy maszynie, zamykając uszy na hałas w pokoju, i zaczął wystukiwać pokwitowanie. Wyliczył imiennie wszystkie Kudłacze, dodając, że znajdują się w dobrym zdrowiu i nie są pokaleczone. Któryś z nich próbował wdrapać mu się na kolana, ikając jak szalony, uczeplił się jego koszuli, ale ktoś go oderwał. Jack skończył swoją pracę, zanim intruzi skończyli swoją. Mieli już w workach trzy Kudłacze. Khadra chwycił Kopciuszką. Ko-ko i Kudłaczek uciekały do drzwiczek w ścianie, ale Lunt przytrzymał je nogą i nie pozwolił otworzyć. Widząc to, oba Kudłacze zagrzebały się w pościeli. Trzeci policjant i niższy wiceszeryf wyciągnęli je stamtąd i wepchnęli do worków.

Holloway wstał z krzesła, nadal był oszołomiony i półprzytomny. Wyjął wydruk pokwitowania. Odbyła się w tej sprawie mała sprzeczka. Lunt kazał zastępcom złożyć podpis albo wynosić się do diabła bez Kudłaczy. Podpisali, umoczyli kciuki w tuszu i zostawili odciski obok podpisów. Jack

podał dokumenty Gusowi, starając się nie patrzeć na sześć wypchanych, podrygujących worków, ani nie słyszeć przerażonych pisków.

— George, pozwolisz im zabrać trochę rzeczy, prawda? — spytał porucznika.

— No pewnie. Które?

— Pościel. Kilka zabawek.

— Te śmiecie? — Niższy zastępca szeryfa kopnął konstrukcję z piłek i laseczek. — Mamy nakaz tylko na Kudłacze.

— Znalazł się dżentelmen. — Powiedział Lunt i zabrzmiało to gorzej, niż gdyby nazwał go Khooghrysynem. — No, już je zgarnęliście, na co czekacie? — warknął do przedstawicieli szeryfa.

Jack, stojąc w drzwiach patrzył, jak wkładają worki do promu, zajmują miejsca w kabinie i odlatują. Następnie wrócił do pokoju i usiadł przy stole.

— Nie mają pojęcia o nakazach sądowych — powiedział. — Dziwią się, że ich nie bronilem. Myślą, że Papcio Jack opuścił je w potrzebie.

— Polecieli, Jack? — spytał Brannhard. — Na pewno? — Mówiąc to, wstał i sięgnawszy ręką za siebie wyjął kulkę białego futra. Dzidzius chwycił go za brodę obiema maleńkimi rączkami, ikając radośnie.

— Dzidzius! Nie wzięli Dzidziusia!

Brannhard uwolnił się od pazurków w brodzie i przekazał bobasa dalej.

— Nie, i na dodatek pokwitowali go. — Brannhard dopił resztę drinka, wyjął z kieszeni cygaro i zapalił. — No, a teraz udajemy się do Mallorysport i odbierzemy pozostałe.

— Przecież... Przecież najwyższy sędzia podpisał nakaz. Nie zwróci ich tylko dlatego, że go o to poprosimy.

Brannhard wydał niekulturalny odgłos.

— Założę się o wszystko, co posiadam, że Pendarvis w ogóle nie widział tego sekwestru. Mają stosy podobnych świstków, podpisanych *in blanco*, w sekretariacie prezesa sądu. Gdyby musieli szukać sędziego, aby podpisał im dokument, ilekroć zechcą doręczyć wezwanie świadkowi albo

zabezpieczyć dowody, to byliby bezsilni. Jeśli to nie jest pomysł Hama O'Briena, to wymyślił to za niego Leslie Coombes.

— Skorzystamy z mojego promu — powiedział Gerd van Riebeek. — Lecisz z nami, Ben? No to w drogę.

Nic z tego nie rozumiał. Duzi w niebieskich ubraniach byli przyjaciółmi, podarowali gwizdki i okazali smutek, kiedy składano zabitą w ziemi. I dlaczego Papcio Jack nie wyciągnął wielkiej strzelby i ich nie powstrzymał? Niemożliwe, żeby się bał, Papcio Jack nie bał się niczego.

Pozostali byli blisko, w identycznych torbach jak ta, do jakiej włożono jego; słyszał ich i wołał do nich. Raptem namacał ostrze nożyka zrobionego przez Papcia Jacka. Może wyciąć sobie wyjście z tego worka i uwolnić pozostałych, ale to nie zda się na nic. Znajdowali się w jednej z tych maszyn, którymi Duzi wlatywali w niebo, i gdyby teraz się wydostał, nie byłoby gdzie uciekać i natychmiast zostaliby schwytani.

Jedna rzecz martwiła go naprawdę — nie wiedział, dokąd ich zabierają. W jaki sposób odnajdą Papcia Jacka, kiedy w końcu uciekną?

Ku zmartwieniu Hollowaya Gus Brannhard denerwował się, objawiając to nadmierną gadatliwością. Dwa razy zatrzymał się na korytarzu przy lustrze, aby się upewnić, czy szary, przetykany złotą nicią krawat jest prawidłowo zawiązany, a czarna kurtka zapięta na suwak wystarczająco wysoko, ale nie nazbyt wysoko. Teraz, przed drzwiami z napisem NAJWYŻSZY SĘDZIA, zanim nacisnął klawisz znieruchomiał na chwilę, aby przeczesać świeżo umytą brodę.

W prywatnych pomieszczeniach najwyższego sędziego znajdowali się dwaj mężczyźni. Pendarvisa widział już parę razy, ale ich drogi nigdy się nie przecięły. Miał miłą twarz, chudą i ascetyczną, oblicze człowieka żyjącego w pokoju z sobą samym. Był u niego Mohammed Ali O'Brien, który zrazu wydawał się zaskoczony wizytą, a później przestraszony. Nie wymieniono uścisków dłoni. Najwyższy sędzia uklonił się lekko i poprosił, aby usiedli.

— A więc — powiedział, kiedy goście znaleźli krzesła — panna Ugatori twierdzi, że składacie panowie zażalenie na działania obecnego tu pana O'Briena.

— W samej rzeczy, składamy, panie sędzio. — Brannhard otworzył aktówkę i wyjął dwa dokumenty — sekwestr oraz pokwitowanie na Kudłacze, przekazując je na drugi koniec biurka. — Mój klient i ja chcielibyśmy wiedzieć, na jakiej podstawie prawnej zaaprobował pan te działania i z jakiego tytułu prokurator O'Brien wysłał swoich urzędników do obozu pana Hollowaya, aby oderwać małe, biedne stworzenia od ich przyjaciela i opiekuna, pana Hollowaya?

Sędzia spojrział na papiery.

— Jak panowie wiecie, panna Ugatori sporządziła odbitki tych dokumentów po nadejściu od was wiadomości, że chcecie się umówić na spotkanie. Zapoznałem się z nimi. Ale proszę mi wierzyć, mecenasie Brannhard, pierwszy raz widzę oryginał tego nakazu. Przecież wiecie, że dokumenty takie podpisuje się *in blanco*. Dzięki temu oszczędzamy dużo czasu i energii. Dotąd korzystało się z nich w sytuacji, gdy nie ulegało wątpliwości, że spotka się to z aprobatą moją czy innego sędziego. W tym przypadku jednak wątpliwość taka powinna się była zrodzić, bo gdybym widział ów sekwestr, nigdy bym go nie podpisał. — Obrócił się do podenerwowanego już prokuratora generalnego. — Panie O'Brien — powiedział. — Nie sekwestruje się istot rozumnych jako dowodów rzeczowych, tak jak się to robi, powiedzmy, w przypadku zajęcia cielaka trawożera w sprawie o przeznakovanie. Zagadnienie rozumności Kudłaczy jest nadal *sub iudice*^[5] i należy brać pod uwagę obie ewentualności. Wie pan doskonale, że wymiarowi sprawiedliwości nie wolno podejmować działań w sytuacji, gdy można skrzywdzić kogoś niewinnego.

— Właśnie, panie sędzio... — Brannhard wpadł mu w słowo. — Nie da się zaprzeczyć, że Kudłacze zostały okrutnie skrzywdzone! Proszę to sobie wyobrazić... Nie, proszę sobie wyobrazić niewinne i łatwowieczne

dzieci — bo tylko tak można je określić, jako szczęśliwe, ufne dzieci, które znały dotychczas tylko dobroć i serdeczność — uprowadzone siłą, wepchnięte do worków przez brutalnych i nieczułych ludzi...

— Panie sędzio! — Twarz O'Briena szerniała jeszcze bardziej niż od gorącego słońca Agni. — Nie mogę słuchać tego rodzaju opinii na temat urzędników sądowych i nie krzyknąć w proteście!

— Pan O'Brien chyba zapomina, że mówi w obecności dwóch naocznych świadków tego brutalnego porwania — ciągnął Brannhard.

— Jeśli urzędnikom sądowym będzie potrzebna obrona, panie O'Brien, to sąd im jej nie odmówi. Mam wrażenie, że powinien pan wkrótce rozważyć obronę swych własnych działań — rzekł Pendarvis.

— Panie sędzio, powtarzam z naciskiem, że kierowałem się wyłącznie poczuciem obowiązku — odparł O'Brien. — Kudłacze stanowią kluczowy dowód rzeczowy w sprawie społeczeństwo kontra Kellogg, gdyż tylko poprzez demonstrację ich rozumności można popierać oskarżenie przeciw pozwanemu.

— Dlaczego więc wystawił je pan na zgubę w tak zbrodniczo lekkomyślny sposób? — zapytał Brannhard.

— Na zgubę? — O'Brien przeraził się. — Panie sędzio, ograniczyłem moje działanie tylko do tego, aby zapewnić im bezpieczeństwo i obecność w sądzie.

— A więc wyrwał je pan spod opieki jedyne go człowieka na tej planecie, który wie wszystko na temat właściwej opieki nad nimi, który je kocha tak samo, jak kochałby własne ludzkie dzieci, i naraził je pan na nieprzyjemności, które, jak pan świetnie wiedział, mogły skończyć się dla nich tragicznie.

Pendarvis pokiwał głową.

— Nie sądzę, żeby pan przesadzał, mecenasie Brannhard. Panie O'Brien, zapatruję się bardzo negatywnie na pańskie poczynania. Nie miał pan prawa obchodzić się w taki sposób z istotami przynajmniej hipotetycznie

rozumnymi, a traktując je nawet jako czysto rzeczowy dowód muszę się zgodzić z opinią mecenasa Brannharda, że pańskie postępowanie cechowała zbrodnicza lekkomyślność. A zatem, mówiąc językiem prawniczym, nakazuję panu natychmiastowe okazanie Kudłaczy i wydanie ich pod nadzór pana Hollowaya.

— No cóż, oczywiście, panie sędzio. — O'Briena powoli ogarniał szłał i jego twarz nabrała już szarobrazowego odcienia drewnianej kolby pistoletu, który całą dobę przeleżał na deszczu. — Potrzebuję godziny na to, by posłać po nie i dostarczyć je tutaj.

— To znaczy, że nie przebywają w tym gmachu? — spytał Pendarvis.

— O, nie, panie sędzio, tutaj nie ma żadnej aparatury. Zabrałem je do centrum naukowego.

— Co takiego?

Holloway postanowił dotąd się nie odzywać i pozwolić Gusowi na prowadzenie rozmowy. Okrzyk dosłownie sam wyrwał mu się z gardła. Nikt nie zwrócił na to uwagi; identyczne okrzyki wyrwały się z gardeł Gusa Brannharda i sędziego Pendarvisa. Sędzia pochylił się ku przodowi i zapytał groźnie łagodnym tonem:

— Czy ma pan na myśli laboratoria Sekcji Badań i Rozwoju Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra, panie O'Brien?

— No, tak. Tam są pomieszczenia dla różnych żywych zwierząt, przecież prowadzą całość badań naukowych dla...

Pendarvis zaklął szpetnie. Brannhard był tak zaskoczony, jakby jego własna aktówka skoczyła mu do gardła i chciała go ugryźć. Nie wyglądał w połowie na tak zdumionego, jak Ham O'Brien.

— A więc uważa pan — ciągnął sędzia, opanowując się z widocznym wysiłkiem — że w sprawie o morderstwo logiczne miejsce przechowywania dowodów rzeczowych znajduje się u pozwanego? Panie O'Brien, pan po prostu wzbogaca moje poglądy na to, ile człowiek może wytrzymać!

— Kompania Zaratustra nie jest stroną pozwaną — sprzeciwił się ponuro O'Brien.

— Formalnie nie, nie jest — przyznał Brannhard. — Ale czy niejaki Leonard Kellogg nie jest przypadkiem szefem sekcji badawczej Kompanii Zaratustra?

— Doktor Kellogg został zwolniony ze swych obowiązków do czasu wyroku. Kierownictwo sekcji objął doktor Ernst Mallin.

— Główny świadek naukowy obrony — nie widzę większej różnicy.

— No cóż, pan Emmert stwierdził, że tak będzie dobrze — wymamrotał O'Brien.

— Jack, słyszałeś? — spytał Brannhard. — Wyryj to sobie w pamięci. Może któregoś dnia będziesz musiał w tej sprawie zeznawać w sądzie. — Zwrócił się do najwyższego sędziego. — Panie sędzio, czy mogę zaproponować, aby odzyskanie Kudłaczy powierzyć szeryfowi kolonialnemu Fane'owi, i czy mogę ponadto zaproponować, by nie dopuścić pana O'Briena do jakichkolwiek urzędzeń nadawczych, dopóki Kudłacze nie wrócą pod nadzór pana Hollowaya?

— Zdaje się, że to roztropna propozycja, mecenasie Brannhard. A zatem, dam panu sekwestr na zwrot Kudłaczy i nakaz rewizji, by działać na pewniaka. Oraz chyba blankiet sądu rodzinnego, wyznaczający pana Hollowaya na opiekuna tych domniemanych sapientów. Jakie noszą imiona? Aha, mam je tu na pokwitowaniu. — Uśmiechnął się łagodnie. — Widzi pan, panie O'Brien, oszczędzamy panu wielu kłopotów.

O'Brien był na tyle głupi, że zaprotestował.

— Przecież ci ludzie to podejrzany i jego obrońca w innej sprawie o morderstwo, w której jestem oskarżycielem... — zaczął.

Pendarvis zgasił uśmiech.

— Panie O'Brien, wątpię, czy będzie pan mógł tu jeszcze oskarżać cokolwiek bądź kogokolwiek, zwłaszcza, że uwalniam pana od wszelkich obowiązków łączących się z procesami Kellogga i Hollowaya, i jeśli

usłyszę pański sprzeciw w tej sprawie, każę pana aresztować za nadużycie władzy.

10.

Szeryf kolonialny Max Fane był równie masywny jak Gus Brannhard, ale znacznie niższy. Wciśnięty między nich na tylnym siedzeniu kutra Fane'a Jack Holloway kontemplował plecy dwóch umundurowanych zastępców szeryfa, siedzących z przodu, i czuł ogarniającą go falę radości. Wkrótce odbierze Kudłacze. Małego i Ko-ko, Mike'a i Mamę, Mitzi i Kopciuszka; powtarzał sobie ich imiona i widział oczyma wyobraźni, jak otaczają go ze wszystkich stron, szczęśliwe, że znowu mogą być razem z Papciem Jackiem.

Statek usiadł na górnym pomoście centrum naukowego Kompanii i natychmiast podbiegł doń agent ochrony. Gus otworzył drzwi kabiny, a za nim wysiadł Jack.

— Hej, nie możecie tu lądować! — wołał agent. — Ten pomost jest przeznaczony dla zarządu Kompanii!

Max Fane pojawił się za Jackiem i Gusem i wystąpił naprzód. Zastępcy wypadli z kutra i stanęli obok szeryfa.

— Co ty powiesz, u diabła! — odparł Fane. — Nakaz sądowy ląduje wszędzie. Odprowadźcie go, chłopcy. Nie chcemy, żeby poszedł i wyrznął gdzieś głową w teleekran.

Agent Kompanii zaczął protestować, następnie uspokoił się i stanął między zastępcami szeryfa. Być może przyszła mu do głowy myśl, że mimo wszystko sądy Federacji są ważniejsze od Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra. Albo że wybuchła właśnie rewolucja.

Gabinet Leonarda Kellogga, tymczasowo Ernsta Mallina, znajdował się na pierwszym piętrze tarasu, licząc od górnego pomostu. Kiedy zeszli z ruchomych schodów, korytarz był zatłoczony pracownikami biura, trajkoczącymi z zapalem w grupkach. Wszyscy zamilkli, domyślając się,

co będzie. W gabinecie szefa sekcji trójka lub czwórka dziewcząt skoczyła na równe nogi; jedna z nich wpadła na cielsko Fane'a, który zdążył się już wcisnąć między nią a teleekran. Wszystkie zostały przepędzone na korytarz. Jeden z zastępców szeryfa wparował do środka razem z zatrzymanym strażnikiem. Sekretariat był pusty. Fane wziął odznakę do lewej ręki i przecisnął się przez drzwi do gabinetu.

Sekretarka Kellogga — tymczasowo Mallina — wyprzedziła ich chyba o kilka sekund. Stała przed biurkiem, mamrocząc coś bez związku. Mallin, który akurat zrywał się z fotela, zamarł i zawisł nad blatem. Stojący na środku pokoju Juan Jimenez musiał ich pierwszy zauważyć, rozglądał się z obłędem w oczach, jak gdyby szukał drogi ucieczki.

Fane przecisnął się obok sekretarki i stanął przed biurkiem, pokazując Mallinowi swą odznakę, po czym wyciągnął dokumenty.

Mallin spoglądał nań w oszołomieniu.

— Przecież trzymamy Kudłacze dla pana O'Briena, prokuratora generalnego — powiedział. — Nie możemy ich wydać bez jego upoważnienia.

— To jest nakaz sądowy — odparł spokojnie Fane — wystawiony przez najwyższego sędziego Pendarvisa. A co się tyczy pana O'Briena, wątpię, czy jest jeszcze prokuratorem. Mówiąc prawdę, siedzi chyba w więzieniu. I sam cię tam wpakuję osobiście... — krzyknął, pochyliwszy się do przodu tak daleko, jak pozwalała mu na to jego tusza, i rąbnął pięścią w biurko — jeśli zaraz nie przyrowadzisz tu Kudłaczy i ich nie wydasz!

Nawet gdyby Fane przeistoczył się raptem w piekielniaka, Mallin nie doznałby większego szoku. Odruchowo skulił się ze strachu przed szeryfem i to go zgubiło.

— Ależ ja nie mogę — zaoponował. — Nawet nie wiemy dokładnie, gdzie teraz są.

— Nie wiecie. — Głos Fane'a przeszedł niemal w szept. — Przyznajecie, że trzymacie je tutaj, ale... nie... wiecie... gdzie. A więc,

mów od początku, tylko nie łżyj!

W tym samym momencie rozległ się jazgot modułu telekomunikacyjnego. Na ekranie pojawiła się Ruth Ortheris w jasnoniebieskim kostiumie.

— Doktorze Mallin, co tu się dzieje? — zapytała. — Wracam z lunchu, a gromada ludzi przewraca mi biuro. Jeszcze pan nie odnalazł Kudłaczy?

— Co takiego? — ryknął Jack, a Mallin niemal równocześnie zawył: — Ruth! Nic nie mów! Wyłącz się i uciekaj z budynku!

Z zadziwiającą szybkością, jak na mężczyznę o takich rozmiarach, Fane obrócił się twarzą do monitora, trzymając w wyciągniętej ręce odznakę.

— Szeryf kolonialny Fane. A teraz, młoda damo, chcę tu panią natychmiast widzieć. Proszę mnie nie zmuszać, abym wysyłał kogoś po panią, bo ani mnie się to nie spodoba, ani pani.

— Już się robi, szeryfie. — Wyłączyła ekran.

Fane odwrócił się do Mallina.

— No... — Nie zawracał już sobie głowy sztuczkami słownymi. — Powiesz mi prawdę, czy mam cię przymknąć i podłączyć do prawdomierza? Gdzie Kudłacze?

— Ależ ja nie wiem — jęknął Mallin. — Juan, ty mu powiedz, ty się nimi zajmowałeś. Ja ich nawet nie widziałem od chwili, gdy się tu znalazły.

Jackowi udało się przezwyciężyć strach, który chwycił go za gardło, i odzyskał panowanie nad głosem.

— Jeśli coś się stało Kudłaczom, będziecie obaj zazdrościć Kurtowi Borchowi, zanim z wami skończę — powiedział.

— I bardzo dobrze, co ty na to? — spytał szeryf Jimeneza. — Zaczynij od momentu, kiedy wczoraj wieczorem, razem z Hamem O'Brienem zabraliście Kudłacze z gmachu sądów centralnych.

— No, przywieźliśmy je tutaj. Zrobiłem im kilka klatek i...

Weszła Ruth Ortheris. Nie unikała wzroku Jacka, nie próbowała też nadrabiać bezczelnością. Po prostu kiwnęła mu zdawkowo głową, jak

gdyby poznali się kiedyś na statku, i usiadła.

— Co się stało, szeryfie? — spytała. — Dlaczego jest pan tutaj z tymi ludźmi?

— Sąd nakazał zwrot Kudłaczy panu Hollowayowi. — Mallin był roztrzęsiony. — Ma jakiś sekwestr czy coś w tym rodzaju, a nie wiemy, gdzie ich szukać.

— To niemożliwe! — Przez chwilę twarz Ruth była samym przerażeniem. — Nie teraz, kiedy... — Urwała w pół zdania.

— Wszedłem mniej więcej sto po siódmej — mówił Jimenez — żeby podać im jedzenie i wodę, a one już uciekły z klatek. Jedna miała rozerwaną metalową siatkę. Kudłacz, który był w niej zamknięty, wydostał się na zewnątrz i uwolnił pozostałe. Przeszły przez mój gabinet, obracając go w perzynę — a potem przez drzwi na korytarz i nie wiemy, gdzie są. Pojęcia nie mam, jak tego wszystkiego dokonały.

Klatki zbudowano dla stworzeń nie posiadających rąk i prawie bezmózgowych. Odkąd Kellogg i Mallin pojawili się w obozie, Mallin wmawiał w siebie, że to tylko głupie zwierzątka. Chyba robił to skutecznie, bo ubiegłego wieczora działał dokładnie według tego schematu.

— Chcemy zobaczyć klatki — powiedział Jack.

— Dobrze. — Fane podszedł do wyjścia na korytarz. — Miguel!

Wszedł jego zastępca, popychając przed sobą zatrzymanego agenta ochrony Kompanii.

— Słyszałeś, co się stało? — spytał szeryf.

— No jasne. Wielka ucieczka Kudłaczy. Co one zrobiły, wystrugały sobie pistolety z drewna i sterroryzowały wartowników?

— Na Boga, nie wykluczałbym tego. Do roboty. Weź ze sobą Chumiego, zna zakamarki tego gmaszyska lepiej od nas. Piet, zgłoś się. Potrzebujemy jeszcze sześciu ludzi. Każ Changowi wziąć ludzi z policji, jeśli trzeba.

— Chwileczkę — powiedział Jack i zwrócił się do Ruth. — Co pani wie w tej sprawie?

— No cóż, niewiele. Byłam u doktora Mallina, kiedy pan Grego, to znaczy, pan O'Brien zgłosił się z informacją, że Kudłacze mają być tutaj trzymane do rozprawy. Zamierzaliśmy urządzić im pokój, ale na razie wsadziliśmy je do klatek, które zbudował Juan. To wszystko, co wiedziałam w tej sprawie do dziewiątej trzydzieści rano. Bo gdy przysłam do pracy, wszędzie się kotłowało i powiedziano mi, że Kudłacze w nocy uciekły. Wiedziałam, że nie mogły opuścić budynku, więc udałam się do mego gabinetu i laboratorium, aby naprawić sprzęt do badań nad Kudłaczami. Około dziesiątej sto stwierdziłam, że nie będę w stanie tego zrobić. Przy pomocy mojego asystenta załadowałam aparaturę na lawetę i odstawiłam do warsztatu Henry'ego Stensona. W tym czasie zjadłam lunch, a potem wróciłam tutaj.

Jack zastanawiał się przez chwilę, jak na niektóre z jej twierdzeń zareagowałby poliencfalograficzny prawdomierz; to może być dobry pomysł, o ile Max Fane na niego wpadnie.

— Zostanę tutaj — oznajmił Gus Brannhard — i spróbuję wyciągnąć nieco więcej prawdy z tych ludzi.

— A może połącz się z hotelem i daj znać Gerdowi i Benowi, co się stało? — zaproponował Jack. — Gerd kiedyś tu pracował; może przydałby się w poszukiwaniach?

— Niezła myśl. Piet, każ naszym ludziom zatrzymać się po drodze w hotelu Mallory i zabrać van Riebeeka. — Szeryf zwrócił się do Jimeneza. — No, jazda. Pokaż, gdzie trzymaliście te Kudłacze i jak się wydostały.

— Twierdzisz, że jeden wyłamał klatkę, a potem uwolnił pozostałe — powiedział Holloway do Jimeneza, kiedy zjeżdżali ruchomymi schodami.

— Czy wiesz, który to był?

Jimenez pokręcił przecząco głową.

— Po prostu wyjęliśmy je z worków i umieściliśmy w klatkach.

Na pewno Kudłaczek — on był mózgiem rodziny. Pod jego przywództwem mogli mieć szansę. Problem w tym, że w budynku na każdym kroku czaiły się niebezpieczeństwa, których Kudłacze nie znały — promieniowanie, trucizny, przewody elektryczne i temu podobne rzeczy. Jeśli faktycznie uciekły. Ta ewentualność zaczęła Jacka niepokoić.

Mijając piętra, widział w przelocie korytarze wypełnione pracownikami Kompanii, uzbrojonymi w sieci, koce i inne przybory do łapania. Po zejściu ze schodów Jimenez poprowadził ich przez wielkie pomieszczenie ze szklanymi gablotami — wypreparowane okazy i szkielety zaratustrańskich ssaków. Tutaj było jeszcze więcej ludzi, którzy rozglądali się wokół, zaglądali za gabloty, a nawet do środka. Jack począł wierzyć, iż ucieczka jest faktem, a nie kamuflażem dla zamordowania Kudłaczy.

Jimenez poprowadził ich w stronę otwartych drzwi na drugim końcu wąskiego korytarza. Palące się wewnątrz nieustannie nocne światło dawało biało-niebieską łunę, przy samym wejściu stało obrotowe krzesło. Jimenez zwrócił na to uwagę.

— Na pewno weszły na to krzesło, żeby nacisnąć klamkę i otworzyć drzwi.

Przypominały drzwi w obozie Jacka, klamka sprężynowa, z rączką zamiast gałki. Nauczyły się nią posługiwać, obserwując jego zachowanie. Fane manipulował klamką.

— Niezbyt sztywna — stwierdził. — Czy twoi malcy mają tyle siły, aby ją nacisnąć?

Jack sprawdził i odpowiedział twierdząco.

— Pewnie. I są na tyle mądre, że mogły to zrobić. Nawet Dzidzius, którego nie zabrali wasi ludzie, mógł się tego domyślić.

— Spójrzcie, co zrobili z moim gabinetem — powiedział Jimenez, zapalając światło.

Przewróciły pokój do góry nogami. Nie zajęło im to dużo czasu, po prostu rozrzuciły wszystko dookoła. Biurko miało pusty blat. Opróżniły

kosz na śmieci. Na ten widok Jack uśmiechnął się szeroko. One naprawdę uciekły.

— Na pewno szukały przedmiotów, z których mogłyby sporządzić broń, a przy okazji trochę nabroiły. — Najwyraźniej w usposobieniu Kudłaczy była dość spora domieszka mściwości. — Mam do nich inny stosunek niż ty, Juanie.

— Nie miałbym do nich pretensji — powiedział szeryf. — Przyjrzyjmy się teraz, jakimi sztuczkami popisały się przy klatkach.

Klatki stały w pomieszczeniu — archiwum, magazynie, graciarni — za gabinetem Jimeneza. Drzwi były również wyposażone w sprężynowe zamknięcie, Kudłacze przysunęły klatkę i weszły na nią, aby pociągnąć za klamkę. Same klatki miały około metra wysokości i półtora szerokości, spód ze sklejki, drewnianą ramę i półcentymetrową kratkę na ścianach bocznych i górze. Części górne były umocowane na zawiasach oraz zamknięte na skoble i zasuwki, trzymające się na śrubkach. Przy pięciu klatkach śrubki były odkręcone i skoble odpadły, szósta klatka była wyłamana od wewnątrz, kratka została odcięta od ramy w jednym rogu i wygięta w kształcie trójkąta na tyle dużego, że Kudłacz mógł się przecisnąć.

— Nie rozumiem — powiedział Jimenez. — Dlaczego drut wygląda tak, jakby go przecięto?

— Bo to prawda — powiedział Jack. — Na pańskim miejscu, szeryfie, spuściłbym komuś lanie. Pańscy ludzie nie zadbali o zrewidowanie więźniów. Jednemu z Kudłaczy udało się schować nóż. — Przypomniał sobie, jak Kudłaczek i Ko-ko zagrzebały się w pościeli, co wyglądało na nieuzasadniony wybuch paniki, i opowiedział im o zrobionych przez siebie nożykach ze stali narzędziowej. — Przypuszczam, że kiedy wkładali Kudłaczka do worka, ukrył ostrze w dłoni, zwinął się w kłębek i udawał, że jest nieprzytomny ze strachu.

— Na dodatek zaczekał z użyciem noża, aż nabrał pewności, że nie zostanie schwytyany. Ten drut jest dość miękki i można łatwo go przeciąć — powiedział szeryf, po czym zwrócił się do Jimeneza: — Pańscy koledzy powinni być zadowoleni, że nie mogą kandydować do ławy przysięgłych. Lepiej będzie, jak dacie za wygraną i Kellogg przyzna się do winy.

Gerd van Riebeek przystanął na moment w drzwiach i zajrzał do pokoju, który służył wcześniej jako gabinet Leonarda Kellogga. Podczas jego ostatniej bytności w tym pomieszczeniu Kellogg wziął go na dywanik w sprawie krewetek. Teraz za biurkiem Kellogga tkwił Ernst Mallin, usiłując przyjąć obojętną minę, z miernym zresztą skutkiem. Gus Brannhard rozparł się w fotelu i palił cygaro, obrzucając Mallina takim wzrokiem, jakby patrzył na świnie rzezną i zastanawiał się, czy warto ją ustrzelić. Zastępca szeryfa w cywilu odwrócił się szybko, po czym wrócił do studiowania dokładnego, ściennego diagramu zaratustrańskich ssaków, którego oryginał był autorstwa samego Riebeeka. W pewnej odległości od biurka oraz trójki mężczyzn siedziała Ruth Ortheris i paliła papierosa. Podniosła wzrok, a widząc, że Gerd nie patrzy na nią, spuściła oczy.

— Nie znaleźliście ich? — zwrócił się do Gusa Brannharda.

Adwokat z rozwianą brodą pokręcił przecząco głową.

— Jack udał się z grupą ludzi do piwnicy i szuka śladów. Max przebywa w laboratorium psychologicznym i poddaje prawdometrii agentów ochrony Kompanii, którzy pełnili służbę dzisiejszej nocy. Wszyscy agenci utrzymują, a prawdomierz to potwierdza, że Kudłacze nie mogły opuścić budynku.

— Nie mają pojęcia, do czego zdolne są Kudłacze.

— Tak też powiedziałem. Max również nie potrafi tego w żaden sposób wyjaśnić. Jest pod silnym wrażeniem faktu, że wydostały się z klatek.

Odezwała się Ruth:

— Gerd, nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy. W ogóle nie zamierzaliśmy ich skrzywdzić. Juan zamknął je w klatkach, bo nie

mieliśmy gdzie ich trzymać, ale chcieliśmy urządzić ładny pokój, by miały gdzie się razem bawić... — Musiała nagle zauważyć, że Gerd jej nie słucha, gdyż urwała i zgniótłszy papierosa, wstała. — Doktorze Mallin, jeśli nie ma do mnie więcej pytań... Czekam na mnóstwo pracy.

— Chcesz jeszcze o coś ją spytać, Gerd? — zapytał Brannhard.

Swego czasu rzeczywiście miał jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Teraz był zadowolony, że nie posunął się dalej. Niech to diabli, Ruth była tak bardzo związana z Kompanią, że gdyby wyszła za niego za męża, popełniłaby bigamię.

— Nie. Nie chcę z nią rozmawiać.

Ruszyła w kierunku drzwi, ale zatrzymała się.

— Gerd, ja... — zaczęła, po czym wyszła. Gus Brannhard popatrzył w ślad za nią, a potem strząsnął popiół z cygara na podłogę Leonarda Kellogga, obecnie Ernsta Mallina.

Nienawidził jej i nie miałyby dlań odrobiny szacunku, gdyby tak nie było. Powinna przewidzieć, że tak się stanie. To rzecz normalna w firmie. Tu sprytne dziewczyny nie wiązały się z jednym facetem, ale miały czterech albo pięciu chłopców, na każdym możliwym boku, i wygrywały jednego przeciw drugiemu.

Musi natychmiast opuścić budynek centrum naukowego. Szeryf Fane przesłuchuje ludzi prawdomierzem, nie miała odwagi oddać się w jego ręce. Nie odważyła się pójść do swego gabinetu; prawdomierz znajdował się w laboratorium na końcu korytarza, właśnie tam, gdzie działał szeryf. Nie odważyła się również...

Tak, to może zrobić, za pośrednictwem modułu. Weszła do jednego z pomieszczeń w głębi korytarza. Kilkunastu ludzi poznało ją od razu i zaczęło bombardować pytaniami na temat Kudłaczy. Zbyła ich czymś i podeszła do monitora, wystukując kombinację fal. Po krótkiej zwłoce pojawił się starszawy jegomość z wąskimi ustami i bladą twarzą. Na widok Ruth po chudym obliczu tego człowieka przebiegł grymas irytacji.

— Panie Stenson... — zaczęła, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. — Chodzi o przyrząd, który przywiozłam do pańskiego warsztatu dzisiaj rano — czujnik reakcji sensorycznej. Popełniliśmy okropną pomyłkę. Jest w całkowitym porządku, i gdyby ktoś przy nim majstrował, mógłby spowodować poważne uszkodzenie.

— Obawiam się, że nie rozumiem pani, doktor Ortheris.

— No cóż, to zupełnie naturalna pomyłka. Widzi pan, wszyscy gonimy w piętękę. Pan Holloway, jego obrońca i szeryf kolonialny są tutaj z nakazem sędziego Pendarvisa w sprawie zwrotu Kudłaczy. Sami już nie wiemy, za co się chwytać. Ten kłopot z aparaturą to tylko błąd operatora. Będziemy musieli natychmiast ją odebrać, w komplecie.

— Już rozumiem, doktor Ortheris. — Stary sprzętowiec wyglądał na zasmuconego. — Niestety, urządzenie zabrał do warsztatu pan Stephenson, a nie mogę się z nim w tym momencie skontaktować. Skoro błąd można naprawić, to czego pani od nas oczekuje?

— Niech pan po prostu odwoła naprawę, zgłoszę się później albo kogoś przyślę.

Wyłączyła ekran. Stary Johnson, główny ekspert od syntezy danych, usiłował ją zatrzymać, zasypując pytaniami.

— Przepraszam, panie Johnson, ale nie mam teraz czasu. Muszę natychmiast się udać do budynku Kompanii.

Kiedy Jack Holloway i Gerd van Riebeek wrócili do hotelu Mallory, w apartamentach było tłoczno, panował zgiełk ludzkich głosów, a wentylatory pracowicie usuwały dym z papierosów. Gus Brannhard, Ben Rainsford i Dzidziuś odbywali konferencję prasową.

— Och, pan Holloway! — zawołał ktoś, gdy Jack przekroczył próg pokoju. — Czy już pan je znalazł?

— Nie, przeszukaliśmy całe centrum naukowe, od dachu do piwnic. Wiemy, że po opuszczeniu klatek zeszyły kilka pięter niżej, ale to wszystko. Nie sądzę, aby zdołały wydostać się na zewnątrz. Jedyne wyjście

na parterze prowadzi przez sień, w której pełnił służbę strażnik Kompanii, a w żaden sposób nie mogły zeskoczyć z któregoś tarasu lub pomostu dla statków.

— No dobrze, panie Holloway — odezwał się ktoś inny — Przykro mi to mówić, ale czy nie wykluczył pan zbyt pochopnie możliwości, że mogły się ukryć w kubłach na śmieci i trafić do przemiennika masy i energii?

— Myśleliśmy o tym. Przemienник znajduje się pod ziemią, w piwnicy, do której można wejść tylko jednymi drzwiami, te zaś były zamknięte. W okresie między przywiezieniem Kudłaczy do centrum a rozpoczęciem poszukiwań żaden kubeł ze śmieciami nie został opróżniony, a wszystko, co wysłano do przemiennika później, sprawdziliśmy drobiazgowo.

— Miło mi to słyszeć, panie Holloway, i wiem, że wszyscy się cieszą z tej wiadomości. Rozumiem, że nie zaprzestał pan poszukiwań?

— Czy jesteśmy na antenie? Nie, nie zaprzestałem, zatrzymam się tutaj w Mallorysport, dopóki ich nie odnajdę albo się nie przekonam, że opuściły miasto. Ponadto obiecuję nagrodę dwóch tysięcy soli za zwrot każdego Kudłacza. Jeśli państwo chwilę zaczekacie, przygotowałem dokładne rysopisy...

Victor Grego odkorkował karafkę z chłodnym koktajlem.

— Jeszcze? — spytał Leslie Coombesa.

— Tak, chętnie, dziękuję. — Coombes podniósł szklankę i czekał, aż zostanie napełniona. — Tak jak mówisz, Victorze, podjąłeś decyzję, lecz zrobiłeś to za moją radą, a ona była niedobra.

Grego nie mógł zaproponować, nawet uprzejmie. Miał tylko nadzieję, że rada nie była aż tak tragiczna w skutkach. Całe szczęście, że Leslie nie próbował zrzucić z siebie odpowiedzialności, a biorąc pod uwagę, jak Ham O'Brien schrzanił swoją część roboty, mógłby z łatwością to uczynić.

— Wyszedłem z niewłaściwych założeń — powiedział Coombes obojętnie, jakby omawiał pomyłkę Hitlera czy Napoleona. — Myślałem, że O'Brien nie wykorzysta tych sekwestrów *in blanco*, nie sądziłem również,

że Pendarvis potwierdzi, i to publicznie, że je z góry podpisuje. Spotkała go za to ostra krytyka w mediach.

Nie przypuszczał także, że Brannhard i Holloway sprzeciwią się nakazowi sądowemu. Oto skutek zbyt długiego życia w poczuciu wyższości — człowiek nie spodziewa się oporu. Kellogg nie spodziewał się, że Jack Holloway wypędzi go ze swej ziemi. Kurt Borch sądził, że wystarczy wyciągnąć broń i trochę nią pomachać. A Jimenez oczekiwał, że Kudłacze będą grzecznie siedzieć w klatkach.

— Ciekawe, dokąd poszły? — zastanawiał się Coombes. — Podobno w budynku nigdzie ich nie ma.

— Ruth Ortheris ma pomysł — odparł Grego. — Wymknęła się z centrum naukowego, zanim Fane zdążył ją złapać i poddać prawdometrii. Zdaje się, że około dziesiątej razem ze swoim asystentem wywiozła jakąś aparaturę. Przypuszcza, że Kudłacze skorzystały z okazji i zabrały się z nią. Wiem, że to brzmi dość nieprawdopodobnie, ale u diabła, wszystko inne wydaje się niemożliwe. Będę musiał pójść tym tropem. Może uda nam się je znaleźć przed Hollowayem. W centrum ich nie ma, to pewne. — Jego szklanka była pusta. Zastanowił się, czy warto ją ponownie napełnić, i uznał, że nie warto. — O'Brien jest skończony, jak rozumiem?

— Definitywnie. Pendarvis kazał mu wybierać między rezygnacją a procesem o nadużycie władzy.

— Nie mogą go chyba skazać za nadużycie władzy, co? Przekroczenie uprawnień, być może, ale...

— Mogą. A potem przesłuchać pod prawdomierzem w zakresie całości jego urzędowych działań. I wiesz, co mogliby wyciągnąć — odparł Coombes. — Omal nie złamał sobie ręki, kiedy chwycił za pióro, żeby podpisać rezygnację. Został Radcą Generalnym Kolonii, oczywiście. Emmert złożył oświadczenie, w którym go poparł. Zaszkodziło mu to mniej, niż gdyby O'Brien wyśpiewał tajemnice Rezydencji.

A teraz Brannhard rozprawia o wytoczeniu procesu Kompanii i rozdaje środkom przekazu kopie wszystkich filmów z Kudłaczami, jakimi dysponuje Holloway. Wiadomości Międzyświatowe oszalały na ich punkcie i nawet kontrolowane przez nas agencje nie są w stanie tego odkręcić. Nie wiem, kogo wyznaczono na nowego oskarżyciela, ale ktokolwiek to będzie, nie odważy się zastosować taryfy ulgowej. Ten incydent usposobił Pendarvisa wrogo do nas. Wiem: prawo, dowody i nic poza prawem i dowodami, tyle że trzeźwe spojrzenie maści mu owa wrogość. Zwołał naradę z Brannhardem i ze mną na jutro rano, nie mam pojęcia, co z tego wyniknie.

11.

Kiedy wszedł najwyższy sędzia Pendarvis, obaj mecenaszowie pośpiesznie wstali. Odpowiedział na ich powitanie, po czym usadowił się za swoim biurkiem, sięgnął do srebrnego pudełka i wyjął cygaretkę. Gustavus Adolphus Brannhard wziął do ręki cygaro, które przed chwilą odłożył, i zaczął kopcić, Leslie Coombes wyjął papierosa z papierošnicy. Obaj spoglądali na sędziego, wyczekując niczym dwie uniesione sztuki broni, topór wojenny i miecz.

— A więc, panowie, mamy, jak wiecie, dwie sprawy o zabójstwo i nikogo, kto mógłby je poprzeć przed sądem — zaczął.

— To żaden kłopot, panie sędzio — odparł Coombes. — Oba zarzuty są absolutnie błahe. Jeden człowiek zabił zwierzę, a drugi człowiek pozbawił życia człowieka, który usiłował go zamordować.

— No cóż, panie sędzio, nie uważam, aby na moim kliencie ciążyła jakakolwiek wina, prawna bądź moralna — odezwał się Brannhard. — Chcę, aby zostało to ustalone w wyroku uniewinniającym. — Spojrzał na Coombesa. — Jestem przekonany, że również mecenasowi Coombesowi zależy bardzo na tym, by oczyścić swego klienta z zarzutu morderstwa.

— Całkowicie się zgadzam — powiedział Pendarvis. — Ludzi oskarżonych o popełnienie zbrodni powinno się publicznie uniewinniać, jeśli nie zrobili nic złego. Tak więc, przede wszystkim chciałbym, żeby najpierw odbył się proces Kellogga, a dopiero potem proces Hollowaya. Czy obaj panowie jesteście zadowoleni z takiej chronologii?

— W żadnym wypadku, panie sędzio — odparł natychmiast Brannhard. — Podstawa obrony Hollowaya zasadza się na tym, że Borch został zabity w trakcie popełniania morderstwa. Jesteśmy przygotowani, aby tego

dowieść, nie chcemy jednak, by wcześniejszy proces odcisnął się negatywnie na naszej sprawie.

Coombes roześmiał się.

— Mecenas Brannhard zamierza oczyścić swego klienta, przesądzając z góry o winie mojego. Nie możemy na to pozwolić.

— Tak, i z identycznych powodów mecenas Brannhard sprzeciwia się osądzeniu najpierw pańskiego klienta. No cóż, oddalę jeden i drugi sprzeciw. Mam zamiar połączyć rozprawy i przeprowadzić procesy obu oskarżonych jednocześnie.

Przez twarz Gusa Brannharda przemknął diabelski uśmiech. Coombesowi pomysł nie spodobał się zupełnie.

— Panie sędzio, ufam, że to żart — powiedział.

— Nie, bynajmniej, mecenasie Coombes.

— Wobec tego, panie sędzio, proszę się nie obrażać, ale proponuje pan najbardziej nieprawidłową — nie posunę się do stwierdzenia, że niestosowną — procedurę sądową, o jakiej słyszałem. Przecież nie chodzi tu o proces współników, którym zarzuca się popełnienie tego samego przestępstwa. Mamy do czynienia ze sprawą dwóch ludzi oskarżonych o popełnienie różnych czynów kryminalnych i skazanie jednego z nich oznacza automatycznie uniewinnienie drugiego. Nie wiem, kto zostanie wyznaczony na miejsce Mohammeda O'Briena, ale współczuję mu z całego serca. No cóż, mecenas Brannhard i ja będziemy mogli pójść sobie gdzieś na partyjkę pokera, kiedy oskarżyciel zacznie ścierać w proch obie sprawy.

— No cóż, nie ograniczymy się do jednego oskarżyciela, mecenasie Coombes, będziemy ich mieli dwóch. Mam zamiar zaprzysiąc pana i mecenasa Brannharda na oskarżycieli specjalnych. Pan będzie mógł oskarżać klienta pana Brannharda, a on pańskiego. Sądzę, że to usuwa wszelkie dalsze obiekcje — powiedział Pendarvis.

Robił, co mógł, aby jego oblicze zachowało wyraz sędziowskiej powagi i dostojeństwa. Brannhard mruzczał jak wielki tygrys, któremu przed chwilą

dostała się lepsza część młodego koźlątka. Łagodne usposobienie Leslie Coombesa zaczynało pękać w szwach.

— Panie sędzio, to wprost znakomita propozycja — oświadczył Brannhard. — Z największą we wszechświecie przyjemnością będę popierał oskarżenie przeciwko klientowi mecenasa Coombesa.

— No cóż, ograniczę się do stwierdzenia, że jeśli pierwsza pańska propozycja była najbardziej nieprawidłowa, o jakiej słyszałem, to rekord nie przetrwał długo!

— Czemuż to, mecenasie Coombes? Sprawdziałem przepisy oraz literaturę prawniczą bardzo dokładnie i nie znalazłem jednego słowa, które by można interpretować jako zakaz stosowania takiej procedury.

— Idę o zakład, że nie znalazł pan także dla niej żadnego precedensu.

Leslie Coombes powinien mieć więcej rozumu w głowie — w prawie kolonialnym można znaleźć precedens prawie na wszystko.

— Ile stawiasz, Leslie? — spytał Brannhard ze złodziejskim błyskiem w oku.

— Zmarnowane pieniądze, mecenasie. Już po godzinie znalazłem szesnaście precedensów w dwunastu rozmaitych jurysdykcjach planetarnych — powiedział najwyższy sędzia.

— W porządku, panie sędzio. — Coombes skapitulował. — Ale mam nadzieję, że pan wie, co robi. Sprawy z oskarżenia Społeczeństwa Kolonii zamienia pan w proces cywilny oparty na prawie zwyczajowym.

Gus Brannhard zaśmiał się.

— A czym to jest? — spytał. — Przyjaciele Kudłaczka kontra Koncesjonowana Kompania Zaratustra. Jako przyjaciel nieudolnych tubylców wnoszę sprawę o stwierdzenie rozumności, natomiast mecenas Coombes zmierza do zachowania koncesji przez Kompanię. I tylko o to tu chodzi lub od początku chodziło.

Brannhard postąpił nieładnie. Leslie Coombes zamierzał do końca udawać, że koncesja Kompanii nie ma z tym absolutnie nic wspólnego.

Płynął niekończący się strumień doniesień o natknięciu się tu i ówdzie na Kudłacze, często w tym samym czasie w bardzo odległych dzielnicach miasta. Niektóre pochodziły od ludzi goniących za rozgłosem, od chorobliwych łgarzy i ekscentryków, inne brały się zwyczajnie z pomyłek i przerostu wyobraźni. Były powody do podejrzeń, że spora ich liczba to dzieło Kompanii, utrudniającej poszukiwania. Jedna rzecz faktycznie wyszła na jaw, pokrzepiając Jacka na duchu. Wytężone, choć tajne poszukiwania prowadziła nadal ochrona Kompanii oraz kontrolowana przez Kompanię policja miejska Mallorysport.

Max Fane poświęcał każdą wolną chwilę na poszukiwania. Nie za sprawą niechęci do Kompanii, choć była ona w nim obecna, ani dlatego, że popędział go najwyższy sędzia Pendarvis. Szeryf kolonialny trzymał stronę Kudłaczy. Tak samo jak zmilitaryzowane oddziały policji kolonialnej, nad którą urząd Nicka Emmerta zdawał się mieć niewielką władzę, o ile w ogóle miał jakąkolwiek. Pułkownik Ian Ferguson, komendant oddziałów, otrzymał nominację wprost z Ministerstwa Kolonii na Terze. Połączył się przez teleekran, oferując pomoc, a i George Lunt zgłaszał się codziennie z Bety i pytał o postępy.

Koszty utrzymania w hotelu Mallory były wysokie i Jack musiał sprzedać kilka kamieni. Kupcy klejnotów z Kompanii patrzyli nań krzywym okiem, a Holloway w ogóle nie starał się okazywać uprzejmości. Również w banku odczuwał chłód wobec siebie. Z drugiej strony, oficerowie i marynarze Floty Kosmicznej z bazy na Kserksesie często zadawali sobie specjalnie trud, aby zagadnąć Jacka, przedstawić się, wymienić z nim uścisk dłoni i życzyć mu wszystkiego najlepszego.

Któregoś dnia w jednej z nakrytych kopułą pogodową dzielnic biznesu ukłonił mu się starszy mężczyzna o siwych włosach wystających spod czarnego beretu.

— Panie Holloway, chcę, żeby pan wiedział, jak bardzo zmartwiła mnie wiadomość o zniknięciu pańskich ludzików — oznajmił. — Niestety, nie

mogę panu pomóc, ale mam nadzieję, że odnajdą się całe i zdrowe.

— No cóż, dziękuję, panie Stenson. — Podał rękę staremu konstruktorowi aparatury. — Gdyby mógł mi pan sporządzić kieszonkowy prawdomierz do wykorzystania na tych wszystkich, którzy twierdzą, że widzieli Kudłacze, byłaby to ogromna pomoc.

— No tak, faktycznie robię niewielkie, przenośne prawdomierze dla policji, sądzę jednak, że panu jest potrzebny aparat do wykrywania psychopatów, to zaś przekracza na razie możliwości nauki. Ale jeśli nadal szuka pan kamieni słonecznych, właśnie sporządziłem udoskonalony skaner ultramikrofalowy i...

Udał się ze Stensonem do jego pracowni, wypił filiżankę herbaty i obejrzał skaner. Skorzystał z modułu konstruktora i połączył się z Maxem Fane'em. Następnym sześciu ludzi powiadomiło go o spotkaniu z Kudłaczami.

Telewizja tak często wyświetlała filmy nakręcone w obozie, że po tygodniu zainteresowanie nimi spadło niemal do zera. Jednak Dzidzius był wciąż gratką dla dziennikarzy i po kilku dniach trzeba było zatrudnić dziewczynę do zajmowania się pocztą od jego fanów. Pewnego razu po wejściu do baru Jackowi wydawało się, że widzi Dzidziusia siedzącego na głowie jakiejś kobiety. Przyjrzawszy się, stwierdził, że to tylko naturalnej wielkości lalka, przymocowana elastyczną taśmą. Po tygodniu w całym mieście widziało się kapelusze z Dzidziusiem i wystawy sklepowe pełne naturalnej wielkości lalek Kudłaczy.

Dwa tygodnie po zniknięciu, któregoś późnego popołudnia, szeryf Fane podrzucił Jacka do hotelu. Siedzieli przez chwilę w kutrze, po czym Fane rzekł:

— Myślę, że na tym koniec. Wyczerpali nam się dziwacy i ekshibicjoniści.

Jack skinął głową.

— Ta baba, z którą rozmawialiśmy, to istna wariatka.

— Masz rację. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przyznała nam się do wszystkich nierozwikłanych przestępstw na planecie. Widać, że krucho z nami, skoro marnuję twój i mój czas, aby jej słuchać.

— Max, nikt ich nie widział. Jak myślisz, chyba już nie żyją, co?

Grubas zrobił zakłopotaną minę.

— No cóż, Jack, chodzi nie tylko o to, że nikt ich nie widział. Nie ma żadnych śladów. Krewetki są wszędzie, ale nikt nie widział rozbitej skorupy. A sześcioro aktywnych, ciekawskich, wesołych Kudłaczy powinno się zakraść tu i tam. Urządzić nalot na jarmark spożywczy, stragan z owocami, splądrować sklep. Ale niczego takiego nie zanotowano. Ochrona Kompanii zaprzestała już poszukiwań.

— Ale ja nie zaprzestamę. Muszą gdzieś być. — Ucisnął dłoń Fane'a i wysiadł. — Okazujesz mi wielką pomoc, Max. Chcę, byś wiedział, jak bardzo ci jestem wdzięczny.

Popatrzył w ślad za odlatującym statkiem, a potem spoglądał na miasto, na zieloną panoramę wierzchołków drzew, widocznych spoza nich dachów i kopuł centrów handlowych, dzielnic biznesu i rozrywki oraz samotnych brył drapaczy chmur, sterczących nad morzem zieleni. Obywająca się bez dróg antygrawitacyjna metropolia nowej planety, która nie znała naziemnego ruchu ulicznego. Kudłacze mogły się ukrywać gdziekolwiek wśród tych drzew albo leżeć martwe w pułapkach zrobionych ludzką ręką. Myślał o rozmaitych śmiertelnych zasadzkach, w jakie mogły się dostać. Maszynie, uspione i ciche, dopóki ktoś nie przestawi dźwigni. Kanały paliwowe, zalewane bez ostrzeżenia, wypełnione żrącą parą lub gazem duszącym. Biedne Kudłaciątka, myślały, że miasto jest równie bezpiecznie jak rodzinny las, gdzie największym zmartwieniem były harpie i piekielniaki.

Kiedy Jack zszedł na dół do pokoju, Gus Brannhard był nieobecny, Ben Rainsford siedział przy monitorze, studiując teksty psychologiczne, Gerd zaś pracował przy wniesionym specjalnie dla niego biurku. Dzidzius bawił

się na podłodze nowymi zabawkami, które od nich dostał. Na widok Papcia Jacka rzucił je w kąt i pobiegł, żeby go wziął na ręce i przytulił.

— Dzwonił George Lunt — powiedział Gerd. — Mają już jakąś rodzinę Kudłaczy na posterunku.

— No cóż, to wspaniale. — Starał się przejawić entuzjazm w głosie. — Jak liczną?

— Pięć osobników, trzy samce i dwie samice. Nazwali je Al Capone, Kuba Rozpruwacz, Jane Panikara, Bonnie i Clyde.

Chyba tylko gliny mogą tak przezwąć niewinne Kudłacze.

— Nie chcesz połączyć się z posterunkiem i przywitać z nimi? — spytał Ben. — Dzidzius je polubił, z przyjemnością znowu sobie pogawędzi.

Dał się ponieść uczuciom i wystukał kombinację fal. To były miłe Kudłacze, prawie tak, choć oczywiście nie aż tak, jak jego własne.

— Jeśli twoja rodzinka nie pojawi się w sądzie na czas, to niech Gus powoła na świadków naszą gromadkę — zaproponował Lunt. — Powinieneś dysponować kilkoma Kudłaczami do zaprezentowania na procesie. Za dwa tygodnie będą umiały robić wszystko. Musisz je obejrzeć teraz, a znaleźliśmy je dopiero wczoraj po południu.

Odparł, że ma nadzieję odnaleźć swoje do tej pory. Potem uświadomił sobie, że powiedział to bez przekonania.

Kiedy wszedł Gus Brannhard, siedzieli popijając. Gus ucieszył się z propozycji Lunta. Jeszcze jeden, który wątpi, czy ujrzy Kudłacze Papcia Jacka przy życiu.

— Nic nie robię całymi dniami, u diabła — poskarżył się Rainsford. — Wracam na Betę i pobędę tam do dnia rozprawy. Może uda mi się wpaść na jakiś pomysł dzięki Kudłaczom George'a. Niech mnie diabli, jeśli rozumiem coś z tych bzdur! — Wskazał na monitor. — Mam tylko słownik, a nie wiem, co znaczy połowa tych wyrażeń. — Trącił ze złością wyłącznik. — Zaczynam się zastanawiać, czy Jimenez nie miał racji w sporze z Ruth. Kto wie, czy nie można być tylko trochę sapientem.

— To znaczy być sapientem, ale nie mieć o tym pojęcia? — odezwał się Gus. — Jak bohater starej komedii francuskiej, który nie wiedział, że mówi prozą.

— Do czego zmierzasz, Gus? — spytał Gerd.

— Sam nie wiem. To tylko strzęp myśli, która mi dziś przyszła do głowy. Zastanów się nad tym, może uda ci się to jakoś wykorzystać.

— Sądzę, że różnica dotyczy pola świadomości — ciągnął Ernst Mallin.

— Wszyscy znacie, oczywiście, tezę, że tylko jedna dziesiąta, najwyżej jedna ósma, naszej aktywności umysłowej odbywa się powyżej progu świadomości. Wyobraźmy sobie hipotetyczną rasę, u której cała aktywność umysłowa jest świadoma.

— Mam nadzieję, że pozostanie hipotetyczna — powiedział z ekranu Victor Grego, siedzący w swoim biurze na drugim końcu miasta. — Nie uznaliby nas za istoty rozumne.

— Nie bylibyśmy sapientami, gdyby to oni ustalali kryteria — przemówił Leslie Coombes z tego samego ekranu. — Mieliby odpowiednik zasady *mowy i ognia*, opartej na zdolnościach, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić.

Być może, myślała Ruth, uznaliby nas za sapientów w jednej dziesiątej do jednej ósmej. Nie, wówczas my musielibyśmy uznać, powiedzmy, szympansa, za sapienta w jednej setnej, a glistę w jednej miliardowej.

— Chwileczkę — powiedziała. — Jeśli dobrze rozumiem, chodzi ci o to, że stworzenia nierozumne myślą, tyle że nieświadomie?

— Właśnie, Ruth. Postawione wobec całkowicie nowej sytuacji nierozumne zwierzę będzie myśleć, ale nigdy świadomie. Znajome problemy będzie oczywiście rozwiązywać zgodnie z przyzwyczajeniem i reakcjami pamięciowymi.

— Wiecie, coś mi przyszło do głowy — oznajmił Grego. — Myślę, że uda nam się wyjaśnić ten pogrzeb, który nas wszystkich martwi, w kategoriach inteligencji zwierzęcej. — Zapalił papierosa, a pozostali

wpatrywali się weń z nadzieją. — Kudłacze chowają nieczystości — ciągnął. — Robią to po to, aby uniknąć nieprzyjemnych bodźców czuciowych, przykrego zapachu. Martwe ciała szybko się rozkładają i brzydko cuchną. A więc są zrównane, nieświadomie, z odchodami i muszą być zakopane. Kudłacze noszą przy sobie broń. Broń Kudłacza jest także nieświadomie traktowana jako część ciała i dlatego również musi trafić do ziemi.

Mallin przybrał groźną minę. Idea trafiła mu do przekonania, nie mógł jednak naturalnie zgodzić się zbyt prędko z tym, co proponuje laik, choćby przełożony.

— Cóż, jak dotąd stoi pan na dość bezpiecznym gruncie, panie Grego — przyznał. — Kojarzenie odmiennych skądinąd spraw na skutek ich pozornego podobieństwa stanowi uznany element zwierzęcego behavioru. — Znowu się nasrożył. — To mogłoby stanowić wytłumaczenie. Będę się musiał nad tym zastanowić.

Mniej więcej jutro o tej porze będzie to już jego własna idea, niechętnie uznająca pierwszeństwo Victora Grego. W swoim czasie nikt nie będzie o tym pamiętał, to będzie *Teoria Mallina*. Victor Grego nie jest człowiekiem małostkowym, jak długo praca przebiega bez zakłóceń.

— No dobrze, jeśli pan coś z tego rozumie, proszę jak najszybciej podsunąć to mecenasowi Coombesowi do wykorzystania w sądzie — oznajmił.

12.

Ben Rainsford wrócił na kontynent Beta, natomiast Gerd van Riebeek pozostał w Mallorysport. Policjanci z Komisariatu Piętnaście sporządzili stalowe tasaki dla swoich Kudłaczy i donieśli o zadowalającym spadku dokuczliwości krewetek. Sporządzili także zestaw miniaturowych narzędzi stolarskich, a Kudłacze postawiły sobie dom ze starych skrzyń i kartonów. Do obozu Bena Rainsforda zawitały dwa nowe Kudłacze, zaadoptował je i nazwał Florą i Fauną.

Wszyscy już mieli Kudłacze, a Papciowi Jackowi został jedynie Dzidzius. Leżał na podłodze w salonie i uczył bobasa splatać węzły na kawałku liny. Gus Brannhard, który spędzał większość dnia w sekretariacie sądów centralnych, (otrzymał to lokum jako oskarżyciel specjalny), rozwalał się w fotelu w czerwono-niebieskiej pidżamie, palił cygaro, pił kawę, jego spożycie whisky spadło do kilku drinków dziennie, i studiował teksty na dwóch ekranach jednocześnie, czyniąc sporadyczne uwagi do stenomemofonu. Gerd siedział przy biurku i marnował papier, usiłując rozwiązać problem za pomocą logiki symbolicznej. Nagle zaklął, zmiął kartkę i cisnął ją na drugi koniec pokoju. Brannhard oderwał wzrok od ekranów.

— Jakież kłopoty, Gerd?

Ten zaklął ponownie.

— W jaki sposób, u diabła, mogę stwierdzić, czy Kudłacze uogólniają?
— zapytał. — W jaki sposób mam stwierdzić, czy tworzą pojęcia abstrakcyjne? Jak mogę dowieść chociażby i tego, czy w ogóle używają pojęć? Do jasnej cholery, jak mogę udowodnić, ku waszemu zadowoleniu, że ja sam myślę świadomie?

— Pracujesz nad pomysłem, o którym wspomniałem? — spytał Brannhard.

— Już nie. Początkowo wydawał się niezły, ale...

— A może wróćmy do konkretnych przykładów behawioru Kudłaczy i przedstawmy je jako dowody na rozumność? — ciągnął Brannhard. — Na przykład pochówek.

— Będą się upierać, abyśmy podali definicję rozumności.

Zabrzączał teleekran. Dzidzius spojrzał do góry bez większego zainteresowania, po czym wrócił do rozsupływania splecionego przez siebie węzła płaskiego. Jack podniósł się z podłogi i włączył moduł. Zgłaszał się Max Fane i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów był podekscytowany.

— Jack, słuchałeś ostatnio wiadomości?

— Nie. Jest coś nowego?

— Na Boga, tak! W mieście jest pełno glin i polują na Kudłacze, mają rozkaz strzelać. Nick Emmert był przed chwilą na antenie z obietnicą nagrody — pięć tysięcy soli za każdego, żywego lub martwego.

Minęło kilka sekund, zanim Jack przyswoił sobie informację. Po czym wpadł w przerażenie. Gus i Gerd zerwali się na nogi i stłoczyli za Hollowayem, wlepiając oczy w ekran.

— Mają jakiegoś włóczęgę z tego obozu dla dzikich osadników we Wschodniej Dzielnicy. Twierdzi, że Kudłacze pobiły jego dziesięcioletnią córkę. Jest wraz z nią w centrali policji. Gliny ujawniły sprawę Dziennikowi Zaratustry i Antenie Planetarnej. Oba media są rzecz jasna kontrolowane przez Kompanię; rozdmuchają to na całego.

— Poddano ich prawdometrii? — spytał Brannhard.

— Nie, a miejskie gliny trzymają ich w ukryciu. Dziewczynka mówi, że bawiła się na dworze, kiedy Kudłacze rzuciły się na nią i zaczęły ją okładać pałkami. Podobno ma liczne siniaki, złamany nadgarstek i doznała ogólnego szoku.

— Nie wierzę! Nie mogły zaatakować dziecka!

— Chcę porozmawiać z małą i jej ojcem — powiedział Brannhard. — Zażądam, by zeznawali pod prawdomierzem. To prowokacja, Max; daję głowę. Moment wybrany idealnie, do procesu został tydzień.

Może Kudłacze chciały, żeby dziewczynka pobawiła się z nimi, a ta wpadła w panikę i zraniła któreś. Dziecko w wieku dziesięciu lat może się Kudłaczowi wydawać duże i groźne. Pomyślały, że są w niebezpieczeństwie, i zaczęły się z furją bronić.

Wciąż żyją i są w mieście. To dobrze. Ale grozi im dużo większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek. To bardzo źle.

Fane zapytał Brannharda, jak szybko może się ubrać.

— Za pięć minut? Doskonale. Przylecę po pana — powiedział. — Do zobaczenia.

Jack pobiegł do sypialni, którą dzielił z Brannhardem. Zrzucił z nóg mokasyny i zaczął wciągać buty z cholewami. Brannhard, nakładając spodnie na pidżamę, spytał Jacka, dokąd się wybiera.

— Lecę z wami. Muszę je znaleźć, zanim jakiś Khooghrysyn je zastrzeli.

— Zostań tutaj — rozkazał Gus. — Siedź przy teleekranie i nastaw monitor na aktualności. Ale nie przestawaj wciągać butów, może będziesz musiał szybko wyjść, kiedy zgłoszę się z wiadomością, że udało się je zlokalizować. Dam ci znać, jak tylko dowiem się czegoś konkretnego.

Gerd nastawił ekran na aktualności i odebrał Antenę Planetarną, posiadaną i sterowaną otwarcie przez Kompanię. Lektor nerwowym głosem relacjonował o brutalnym ataku na bezbronne dziecko, ale miał trudności ze wskazaniem winnych. Ostatecznie, kto umożliwił Kudłaczom ucieczkę? Nawet wprawny semantyk miałby kłopot, by słowu „Kudłacz” nadać przerażające brzmienie. Przynajmniej podał jednak szczegóły, prawdziwe bądź nie.

Lolita Lurkin bawiła się na podwórku około dwudziestej pierwszej sto, gdy raptem zaatakowało ją sześcioro Kudłaczy uzbrojonych w pałki. Niczym nie sprowokowane przewróciły ją i dotkliwie pobiły. Słyszając krzyk

córki, ojciec wybiegł przed dom i przepędził napastników. Policja przywiozła córkę i ojca, Oscara Lurkina, do centrali, gdzie opowiedzieli przebieg wydarzeń. Miejska policja, ochrona Kompanii, oddziały zmilitaryzowane i grupy uzbrojonych obywateli przeczesywały wschodnie rejony miasta. Gubernator Emmert zareagował natychmiast, oferując nagrodę pięciu tysięcy soli za każdego...

— Mała kłamie, gdyby ją podłączyć do prawdomierza, toby się przekonali — rzekł Holloway. — Emmert lub Victor Grego, albo obaj, przekupili Lurkinów, żeby opowiedzieli tę historyjkę.

— Ach, to oczywiste — powiedział Gerd. — Znam to miejsce. Junktown. Ruth ma masę roboty w tamtejszym sądzie dla nieletnich... — Nagle przerwał, jakby coś go zabolalo. — Za trzysta soli pójda na wszystko, zwłaszcza jeśli wcześniej zapłaci się glinom.

Przełączył na częstotliwość Wiadomości Międzyświatowych, które właśnie nadawały z kutra transmisję polowania na Kudłaczy. Chaty i gruchoty do latania mieszkańców Junktown były oświetlone z góry reflektorami; szeregi mężczyzn przetrząsały zarośla, myszkując wśród nich. Nagle pod kamerą przesunęła się jedna z maszyn, widać było spoglądającego na ziemię mężczyznę pochylonego nad karabinem maszynowym.

— Rety! Cieszę się, że nie ma mnie w tym zamęcie! — wykrzyknął Gerd. — Będą walić we wszystko, co się rusza, i połowa tej bandy pozabija się wzajemnie!

— Mam nadzieję!

Wiadomości Międzyświatowe trzymały stronę Kudłaczy. Komentator na statku transmisyjnym wyrażał się z sarkazmem o całej sprawie. W połowie zbliżenia najeżonej karabinami grupy naganiaczy ktoś w studiu wciął ujęcie Kudłaczy, sfilmowanych w obozie Jacka; spoglądających błagalnym wzrokiem do góry w oczekiwaniu na śniadanie.

— Oto straszliwe potwory — mówił głos — przed którymi bronią nas ci dzielni ludzie.

Kilka chwil później w ciemności błysnął karabin i rozległ się huk, a następnie wybuchła strzelanina. Jackowi serce podeszło do gardła. Statek transmisyjny śmignął w tamtą stronę, zanim dotarł na miejsce, strzały ucichły, a tłum ludzi gromadził się dookoła czegoś białego. Zmusił się, żeby spojrzeć, po czym odetchnął z ulgą. To była zarakoza, trójrożne, udomowione zwierzę kopytne.

— Ajaj! Któremuś osadnikowi skończyło się w lodówce mięso. — Sprawozdawca parsknął śmiechem. — Nie pierwszemu dzisiejszej nocy. W wyniku tej awantury radcę generalnego kolonii O'Briena — byłego naczelnego prokuratora — czeka obrona kilku drobnych powództw przeciw administracji.

— I jedno diabelnie długie ze strony Jacka Hollowaya!

Zabrzącał teleekran, Gerd szybko trącił przełącznik.

— Przed chwilą rozmawiałem z sędzią Pendarvisem — komunikował z ekranu Gus Brannhard. — Wydaje zarządzenie, które ma powstrzymać Emmerta od wypłacania jakiegokolwiek nagrody, chyba że za żywe i zdrowe Kudłacze, dostarczone do szeryfa Fane'a. Ostrzega również, że dopóki nie zostanie określony ich status, ktokolwiek zabije Kudłacza, zostanie oskarżony o morderstwo.

— Świetnie, Gus! Widziałeś już dziewczynkę albo jej ojca?

Brannhard warknął gniewnie.

— Lolita przebywa w lecznicy Kompanii, w prywatnej sali. Lekarze nie pozwalają nikomu jej odwiedzać. Sądzę, że Emmert ukrywa ojca w Rezydencji. Nie widziałem też obu policjantów, którzy ich przywieźli, ani dyżurnego sierżanta, który przyjął skargę, ani porucznika, który akurat pełnił służbę. Żadnego z nich nie ma. Max dysponuje kilkoma ludźmi w Junktown. Starają się ustalić, kto pierwszy wezwał gliny. Może tą drogą uda nam się czegoś dowiedzieć.

Parę minut później ogłoszono decyzje najwyższego sędziego, po kilku dalszych minutach wiadomość dotarła do myśliwych i polowanie na Kudłacze zaczęło ulegać rozproszeniu. Policja i ochrona Kompanii wycofały się natychmiast. Większość cywilów została jeszcze przez dwadzieścia minut w nadziei złowienia pięciu tysięcy soli nagrody za żywego Kudłacza, to samo zrobili członkowie oddziałów policyjnych, najwyraźniej w celu pilnowania cywilów. Potem nagroda została anulowana, snopy świateł w powietrzu wygasły i zapadła cisza.

Gus Brannhard niebawem wrócił i ledwie zatrzasnął piętą drzwi za sobą, zaczął się rozbierać. Zdjąwszy marynarkę i krawat, opadł na fotel, napełnił kubek whisky, wypił jednym haustem, po czym wziął się do ściągania butów.

— Jeśli ta whisky będzie miała młodszą siostrę, to ja się nią zajmę — mruknął Gerd. — Co się stało, gadaj, Gus?

Brannhard rzucił przekleństwo.

— Ta cała historia to wierutne kłamstwo, śmierdzi stąd aż do piekła. Smród byłoby czuć w samym piekle. — Podniósł niedopałek cygara odłożonego po rozmowie z Fane'em i zapalił. — Znaleźliśmy kobietę, która wezwała policję. To sąsiadka, twierdzi, że widziała, jak Lurkin wrócił do domu pijany, a niedługo potem usłyszała krzyk dziewczynki. Powiedziała, że ojciec bije córkę, ilekroć przychodzi do domu pijany, to znaczy pięć razy na tydzień. Postanowiła położyć temu kres przy najbliższej okazji. Zaprzeczyła, że widziała w okolicy cokolwiek, co mogło przypominać Kudłacza.

Gorączka minionej nocy zrodziła nowy zalew informacji o Kudłaczach. Jack udał się do biura szeryfa, aby porozmawiać z ludźmi, którzy składali doniesienia. Pierwszych dwanaście zeznań nie różniło się od wcześniejszych. Potem zgłosił się młody mężczyzna, który miał do powiedzenia coś naprawdę wartościowego.

— Widziałem je tak wyraźnie, jak teraz widzę pana, nie dalej niż o piętnaście kroków ode mnie — powiedział do Jacka. — Miałem pistolet automatyczny i wymierzyłem do nich, ale przebóg, nie mogłem strzelić. Były niczym mali ludzie, panie Holloway, i sprawiały wrażenie przerażonych i bezbronnych. A więc wycelowałem ponad ich głowami i puściłem krótką serię, żeby je odstraszyć, nim ktoś inny je zobaczy i zastrzeli.

— To dobrze, synu, chciałbym ci uścisnąć dłoń z wdzięczności. Mhm, na pewno myślałeś sobie, że tracisz kupę forsy. Ile ich było?

— Cóż, tylko cztery. Podobno miało być sześć, ale reszta mogła się chować w zaroślach.

Wskazał na mapie miejsce wydarzenia. Jeszcze troje ludzi widziało rzeczywiście Kudłacze. Nikt nie podał dokładnej liczby, ale wszyscy byli pewni miejsca i pory. Po naniesieniu informacji na mapę stało się jasne, że Kudłacze kierowały się na północny wschód przez obrzeża miasta.

Brannhard pokazał się w hotelu na lunchu, wciąż przeklinając, tym razem trochę na wesoło.

— Ekshumowali Hama O'Briena i zaprzęgli go do nękania nas — oznajmił. — Stek powództw cywilnych i skarg o naruszenie porządku, bezpieczeństwa i tego rodzaju rzeczy. Chodzi o to, żebym miał pełne ręce roboty, podczas gdy Leslie Coombes przygotowuje się do procesu. Próbował nawet zmusić dyrektora hotelu do odebrania nam Dzidziusia. Zagroziłem mu oskarżeniem o dyskryminację rasową i to go powstrzymało. W imieniu Kudłaczy wniosłem powództwo przeciw Kompanii o siedem milionów soli, po milionie dla każdego z nich i milion dla ich adwokata.

— Dziś wieczorem — powiedział Jack — wybieram się kutrem policyjnym z dwoma ludźmi szeryfa. Weźmiemy z sobą Dzidziusia i megafon. — Rozłożył mapę miasta. — Zdaje się, że idą tędy, muszą zatem być gdzieś tutaj. Mając Dzidziusia przy megafonie, powinniśmy przyciągnąć ich uwagę.

Nie zauważyli jednak niczego, chociaż szukali aż do świtu. Dzidzius miał wspaniałą zabawę z megafonem, ikając do niego, wydawał dźwięki, od których pękały bębunki, aż troje ludzi w kutrze zaczęło się kulić, ilekroć otworzył pyszczek. Przyciągnął także uwagę psów. W miarę jak maszyna przesuwała się tam i z powrotem, ciągnęło się za nią po ziemi chóralne ujadanie i szczekanie.

Nazajutrz napłynęło kilkanaście zgłoszeń od dzikich osadników, większość w sprawie drobnych kradzieży. Zniknął koc rozłożony na trawie za domem. Zabrano dwie poduszki z kanapy na werandzie. Roztrzęsiona matka donosiła, że jej sześćioletni synek bawił się z jakimiś Kudłaczami, a kiedy rzuciła mu się na ratunek, Kudłacze pędem uciekły, a dziecko zalało się łzami. Jack i Gerd szybko udali się w to miejsce. Opowieść chłopca, chaotyczna i podkolorowana wyobraźnią, odznaczała się precyzją w jednej sprawie — Kudłacze były dla niego bardzo miłe i nie zrobiły mu krzywdy. Zarejestrowany materiał natychmiast odtworzyli na antenie.

Kiedy wrócili do hotelu, Gus Brannhard był w apartamencie, tryskając humorem.

— Najwyższy sędzia zlecił mi następane zadanie z zakresu oskarżenia specjalnego — powiedział. — Mam przeprowadzić śledztwo, czy wypadki ubiegłej nocy mogły być prowokacją, mam także przygotować zarzuty przeciw każdemu, kto popełnił jakiegokolwiek przestępstwo. Mam prawo dokonywać przesłuchań i powoływać świadków oraz poddawać ich prawdometrii. Max Fane dostał wyraźne polecenie współpracy. Chcemy zacząć jutro od szefa policji miejskiej Dumonta i stopniowo schodzić coraz niżej. Kto wie, czy nie uda nam się również dotrzeć wysoko, do samego Nicka Emmerta i Victora Grego. — Ryknął śmiechem. — Może to przyczyni Leslie Coombesowi powodów do zmartwień.

Gerd osadził kuter obok prostokątnego wykopu. Miał pięć metrów kwadratowych szerokości, sześć głębokości i cały czas się pogłębiał. W wykopie pracowała mechaniczna koparka, a obok niej dwie błotniarki.

Pięciu lub sześciu mężczyzn w kombinezonach roboczych i wysokich butach wyszło im naprzeciw.

— Dzień dobry, panie Holloway — powiedział jeden. — Tuż za krawędzią zbocza. Niczego nie uszkodziliśmy.

— Mógłby pan pokrótce powtórzyć, coście widzieli? Mój towarzysz był nieobecny w czasie seansu łączności z wami.

Szef brygady odwrócił się do Gerda.

— Przed godziną oddaliśmy kilka strzałów. Część ludzi przechodzących na drugą stronę zbocza zauważyła Kudłacze, które wyskoczyły spod tamtego występu skalnego i pobiegły na szczyt tego wąwozu. O, tędy. — Wskazał ręką. — Przysłano po mnie, więc zszedłem na dół i zobaczyłem miejsce, w którym obozowały. Tutejsza skała jest niezwykle twarda i używaliśmy bardzo ciężkich ładunków. Wystraszyły je podziemne fale uderzeniowe.

Ruszyli ścieżką na dół przez upstrzoną kwiatami wysoką trawę w kierunku krawędzi zbocza, a potem minęli szarą odkrywkę wapienia, która tworzyła małe urwisko sześciu metrów wysokości i trzydziestu długości. Pod sterczącym ze skały występem znaleźli dwie poduszki, czerwono-szary koc i trochę resztek starej odzieży sprawiających wrażenie, że używano je jako szmaty do polerowania. Ponadto złamaną łyżkę do zupy, przecinak ślusarski i kilka innych metalowych przedmiotów.

— To jest to, bez dwóch zdań. Rozmawiałem z ludźmi, którym zginął koc i poduszki. Widocznie urządziły sobie obóz zeszłej nocy, po tym jak pański zespół przerwał pracę. Przestraszyły się wybuchów i uciekły. Wspomniał pan, że wspięły się tędy? — spytał Holloway, wskazując na mały potok spływający na północ ze wzgórz.

Strumień był tak głęboki i rwący, że Kudłacze nie mogłyby go przebyć — prąd wody zniósłby je z powrotem w głąb parowu. Jack zanotował nazwiska robotników i podziękował im. Jeśli znajdzie Kudłacze i przyjdzie

mu wypłacić nagrodę według udzielonych informacji, tylko geniusz matematyczny mógłby wyliczyć, ile się komu należy.

— Gerd, dokąd byś poszedł na miejscu Kudłaczka wśród tych wzniesień?

Gerd spojrzał na zbocze, z którego spływał wartki potok.

— Tam wysoko stoi kilka zabudowań — odparł. — Poszedłbym jeszcze wyżej. Potem wspinałbym się dalej jednym z tych bocznych wąwozów i znalazłbym się wśród skał, gdzie nie dopadłyby mnie piekielniaki. Naturalnie, tak blisko miasta nie spotyka się ich, ale Kudłacze o tym nie wiedzą.

— Będziemy potrzebować kilku nowych kutrów. Połączę się z pułkownikiem Fergusonem i sprawdzę, czy może mi pomóc. Max ma pełne ręce roboty przy śledztwie, które wszczął Gus.

Piet Dumont, szef policji Mallorysport, był może kiedyś dobrym gliną, ale odkąd znał go Gus Brannhard, Dumont był zawsze tym, czym teraz — pustą skorupą niczym nie popartej arogancji, z obwisłym brzuchem i napuszoną twarzą, która starała się sprawiać wrażenie nieustępliwej, choć bez sukcesu. Siedział w fotelu przypominającym staromodne krzesło elektryczne albo któreś z tych narzędzi tortur, jakim poddają się klienci salonów piękności. Na głowie miał jasny, stożkowaty hełm kolonialny, a w różnych miejscach jego anatomii tkwiły elektrody. Na ścianie za nim znajdował się okrągły ekran, który powinien mieć barwę błękitno-turkusową, ale który migotał różnymi kolorami od ciemnego granatu poprzez fiolet aż do purpury. Po prostu napięcie nerwowe, poczucie winy i gniew z upokorzenia, że jest się przesłuchiwanym pod prawdomierzem. Od czasu do czasu na ekranie błyskała ostra, jaskrawa czerwień, kiedy Dumont próbował ich przechytryć jakimś celowym zafałszowaniem faktu.

— Przecież pan wie, że Kudłacze nie skrzywdziły dziewczynki — powiedział doń Brannhard.

— Nie wiem niczego takiego — zaprotestował szef policji. — Wiem tylko tyle, ile mi doniesiono.

Jaskrawa czerwień, stopniowo matowiejąca i przechodząca w purpurę. Najwyraźniej Piet Dumont dowód z zeznania traktował jako definicję prawdy.

— Kto to panu powiedział?

— Luther Wolier. Porucznik pełniący służbę w owym czasie.

Prawdomierz przyznał, że to była prawda i niewiele więcej poza prawdą.

— Wiesz jednak, że w rzeczywistości sam Lurkin pobił córkę, a Wolier namówił oboje do obarczenia winą Kudłaczy — odezwał się Fane.

— Nie wiem niczego takiego! — Dumont niemal zawył. Ekran zapłonął czerwienią. — Wiem tylko to, co mi powiedzieli, nikt nie mówił niczego innego. — Czerwień i błękit, tańczące w typowym deseniu gierk słownych. — O ile wiem, zrobiły to Kudłacze.

— Słuchaj no, Piet — powiedział cierpliwie Fane. — Sam używałeś tego prawdomierza wystarczająco często, aby zdawać sobie sprawę, że nie uda ci się z tego wyłgać za pomocą kłamstw. Wolier robi z ciebie kozła ofiarnego, to też wiesz. A więc, czy to prawda, że o ile ci wiadomo Kudłacze w ogóle nie dotknęły dziewczynki, i że dopiero po rozmowie Woliera z Lurkinami w kwaterze policji wskazano na nie?

Ekran pociemniał jak niebo o północy, a potem, stopniowo, rozjaśnił się.

— Tak, to prawda — przyznał Dumont. Unikał ich oczu, a głos miał gburowaty. — Myślałem, że tak właśnie było. Spytałem Woliera. Wyśmiał mnie i kazał mi się nie przejmować. — Na ekranie natychmiast zagotowało się od gniewu. — Ten Khooghrysyn myśli, że on tu jest szefem, a nie ja. Wystarczy jedno moje słowo, u diabła, a będzie miał to, o co się prosi.

— No to widzę, że zmądrzałeś, Piet — rzekł Fane. — Zacznijmy od początku...

Przy pulpicie statku wynajętego przez Jacka z hotelu siedział kapral oddziałów policyjnych — Gerd zajął jego miejsce w jednym z dwóch

kutrów policji. Trzeci kuter leciał pomiędzy nimi i toczyła się ożywiona rozmowa na falach radiowych.

— Panie Holloway... — Mówił funkcjonariusz na statku pilotowanym przez Gerda. — Pański towarzysz znajduje się na ziemi, przed chwilą połączył się ze mną z przenośnego modułu komunikacyjnego. Znalazł roztrzaskaną skorupę krewetki.

— Mów dalej, podaj mi kierunek — powiedział kapral przy sterach, nabierając wysokości.

Po chwili spostrzegli tamten statek, unoszący się nad wąskim jarem na lewym brzegu strumienia. Trzeci kuter nadciągnął od północy. Kiedy wylądowali obok, Gerd wciąż siedział w kucki na ziemi. Jak tylko wyskoczyli z kabin, podniósł na nich wzrok.

— To jest to, Jack — powiedział. — Typowa robota Kudłaczy.

I rzeczywiście. Nie wiadomo, jakich narzędzi używały, w każdym razie niczego ostrego — głowa była zmiażdżona, nie zaś schludnie odcięta. Skorupa jednak została jak zwykle rozbita od spodu, a wszystkie cztery szczęki wyłamane na widelce. Widocznie pożywiały się przy krewetce, podzieliwszy ją na równe części. Odbyło się to całkiem niedawno.

Podnieśli kuter w powietrze i kiedy trzy statki krążyły dookoła, wspinali się pieszo na szczyt parowu, nawołując:

— Kudłacze! Kudłacze!

Znaleźli pojedynczy odcisk stopy, a później jeszcze jeden, w pobliżu źródelka. Gerd mówił gorączkowo do przenośnego modułu, który niósł na piersiach.

— Niech któryś z was polecą pół kilometra naprzód, a potem zawróć. Muszą być gdzieś tutaj.

— Widzę je! Widzę! — wykrzyknął czyjś głos z radia. — Idą pod górę z waszej prawej strony, między skałami!

— Nie spuszczaaj ich z oka, niech ktoś tu przyleci po nas, wzbijemy się wyżej niż one i przetniemy im drogę.

Wypożyczony prom wylądował błyskawicznie, kapral trzymał drzwi już otwarte. Nie zaprzętał sobie głowy wyłączaniem antygravitacji. Jak tylko znaleźli się w środku i zamknęliabinę, oderwał statek od ziemi. Podczas nawrotu wzgórze za oknem przez chwilę zakołysało się, przyprawiając ich o zawrót głowy, po czym Jack zobaczył Kudłacze, wdrapujące się wśród urwisk na strome zbocze. Było ich tylko czworo, a jednemu pomagano we wspinaczce. Jack zastanawiał się, które to są, co się stało z pozostałymi dwoma, i czy ten, który potrzebował pomocy, był ciężko ranny.

Szalupa wylądowała na szczycie obok skał, ustawiając się pod dziwnym kątem — Jack, Gerd i pilot wyskoczyli na ziemię, a następnie poczęli schodzić i ślizgać się po stoku. Raptem Jack znalazł się blisko jednego Kudłacza i chwycił go w ramiona. Dwa następne przebiegły obok niego pod górę. Złapany trzymał coś w rączce i zamierzał się do zadania tym okrutnego ciosu w twarz Jacka — ledwo zdążył zasłonić się łokciem. Po chwili przytulał już Kudłacza i odbierał mu broń. Okazało się, że był to stugramowy młotek z kulistym noskiem. Schował go do kieszeni w spodniach, a potem obiema rękami uniósł szarpiące się stworzenie.

— Bijesz Papcia Jacka! — powiedział z wyrzutem — Nie pamiętasz już Papcia? Biedne, wystraszone maleństwo!

Mały Kudłacz iknął gniewnie. Jack przyjrzał mu się. To nie był żaden z jego Kudłaczy — ani Kudłaczek, ani wesoły, duży Ko-ko, czy psotny Mike. To był obcy Kudłacz.

— Cóż, nic dziwnego, no jasne, że nie znasz Papcia Jacka. Ty wcale nie należysz do jego rodzinki!

Na szczycie góry siedział na głazie kapral, trzymając pod pachami dwa Kudłacze. Przestały się szamotać, iknęły tylko żałośnie, widząc, że ich towarzysz także został pojmany.

— Pański partner jest na dole, ugania się za czwartym — powiedział kapral. — Lepiej niech pan je odbierze ode mnie, to pańscy znajomi, nie moi.

— Proszę je trzymać, nie znają mnie lepiej niż pana.

Wyjął z kurtki kawałek Pezetera Trzy i poczęstował Kudłacza. Ten wydał okrzyk radosnego zdziwienia, chwycił pokarm i zaczął łapczywie pożerać. Widocznie jadł go już wcześniej. Jack podał kilka kawałków kapralowi. Pozostałe dwa Kudłacze, samiec i samica, również wydawały się obznajomione z tym przysmakiem.

Z dołu zawołał Gerd:

— Mam jednego. Młodą samiczkę. Trudno powiedzieć, czy to Mitzi, czy Kopciuszek. Mój Boże, musisz zobaczyć, co ona ma ze sobą.

W polu widzenia pojawił się van Riebeek. Niósł pod pachą czwartego, szamoczącego się Kudłacza i małego czarnego kotka o białym pyszczku, który wзираł znad łokcia drugiej ręki. Jack był współprzytomny z rozczarowania i patrzył na nie obojętnym wzrokiem.

— To nie nasze Kudłacze, Gerd. Nie widziałem przedtem żadnego z nich.

— Jack, jesteś pewny?

— No wiesz! — oburzył się. — Sądzisz, że nie znam moich Kudłaczy? A one nie znają mnie?

— Skąd się wziął ten kotek? — spytał kapral.

— Bóg raczy wiedzieć. Musiały go gdzieś znaleźć. Niosła go na rękach jak niemowlaka.

— Te Kudłacze żyły wśród ludzi, karmiono je Pezeterem Trzy. Weźmy je do hotelu. Kimkolwiek byli ich gospodarze, założę się, że tęsknią za nimi tak samo jak ja za moimi.

Jego własnymi Kudłaczami, których już nigdy nie zobaczy. Dopiero kiedy znalazł się z Gerdem na pokładzie kutra, świadomość tego faktu uderzyła go z całą mocą. Nie było śladu Kudłaczy od czasu, gdy uciekły z klatek w centrum naukowym. Tych czworo pojawiło się tej samej nocy, gdy policja miejska sfabrykowała historyjkę o napaści na małą Lurkin, a przecież odkąd namierzył je młody człowiek, który nie był w stanie

do nich strzelić, zostawiły ślad. Od razu udało mu się na niego wpaść i podążać tym tropem. Dlaczego od trzech tygodni jego własne Kudłacze nie zostawiły podobnego śladu?

Bo już ich nie ma. Bo nie wydostały się żywe z centrum naukowego. Ktoś je zamordował, człowiek, którego Max Fane nie zdołał przesłuchać pod prawdomierzem. Nie ma sensu obwiniać siebie o cokolwiek.

— Zatrzymamy się w ich siedlisku i weźmiemy koc, poduszki i resztę rzeczy. Wyślę czek ludziom, którym je ukradły — powiedział. — Kudłacze powinny to zachować.

13.

Dyrekcja hotelu Mallory najwyraźniej zmieniła swoje nastawienie, czy raczej politykę, wobec Kudłaczy. Nie wiadomo, czy na skutek gróźb Gusa Brannharda, że będzie wytaczać procesy o dyskryminację rasową, czy dlatego, że Kudłacze mogły się w końcu okazać sapientami. Kto wie, czy dyrektor nie wstydził się kompromitującej historii z Lurkinami i poddał się wskrzeszonemu uczuciu sympatii dla Kudłaczy ze strony opinii publicznej? Albo doszedł po prostu do wniosku, że Koncesjonowana Kompania Zaratustra nie jest tak wszechpotężna, jak przypuszczał. Tak czy inaczej, duży pokój, przeznaczony zazwyczaj na bankiety, udostępniono Kudłaczom, które George Lunt i Ben Rainsford przywieźli na proces, oraz czwórce nowych wraz z ich czarno-białym kotkiem. Miały mnóstwo rozmaitych zabawek, dzięki uprzejmości dyrekcji, i teleekran z wielkim monitorem. Nieznajome Kudłacze natychmiast rzuciły się do modułu i włączyły go, ikając z radości na widok lądującego i startującego statku w stołecznym porcie kosmicznym. Uznały, że jest to bardzo interesujące. Nudziło to jedynie kotka.

Z pewnym niepokojem Jack przyniósł Dzidziusia do sali i pokazał go Kudłaczom. Zachwyciły się bobasem, on z kolei uznał kotka za najwspanialszą rzecz, jaką widział w swoim życiu. Jack kazał sobie przynosić obiad w porze karmienia Kudłaczy i jadł razem z nimi. Gus i Gerd przychodzili nieco później.

— Mamy małą Lurkin i jej ojca — powiedział Gus Brannhard, po czym dodał falsetem: — Niece, tatuś mniee zbił, a policjanci kazali mi powiedzieć, że Kudłacze.

— Sama się przyznała?

— Pod prawdomierzem, ekran był niebieski jak szafir, w obecności wielu świadków i kamer. Agencje międzyświatowe nadadzą to dziś wieczorem. Ojciec też się przyznał, wymienił nazwiska Woliera i dyżurnego sierżanta. Nadal szukamy jednego i drugiego, dopóki ich nie złapiemy, nie możemy się zbliżyć do Emmerta ani do Grego. Odnaleźliśmy dwóch gliniarzy z kutra, ale ci nic nie wiedzą o nikim poza Wolierem.

Nieźle, jeśli o to chodzi, myślał Gus, ale pożytku z tego niewiele. Cztery nieznane Kudłacze pojawiają się nie wiedzieć skąd w samym środku polowania z nagonką urządzonego przez Emmerta. Musiały mieszkać u kogoś, gdzie nauczyły się jeść Pezeter Trzy i poznały teleekran. Ich pojawienie się było zbyt dobrze zsynchronizowane, by to uznać za przypadek. Czuł w tym jakiś podstęp.

Stała się jedna dobra rzecz. Sędzia Pendarvis uznał za prawie niemożliwe wobec powszechnego zainteresowania procesem i nacisków Kompanii Zaratustra, aby udało się wybrać bezstronną ławę przysięgłych i zaproponował zespół orzekający w składzie trzech sędziów zawodowych, łącznie z nim. Nawet Leslie Coombes czuł się zmuszony zaakceptować to.

Brannhard poinformował o tym Hollowaya. Jack słuchał z natężoną uwagą, po czym stwierdził:

— Wiesz co, Gus? Do końca życia będę się cieszyć, że pozwoliłem Kudłaczce zapalić moją fajkę tamtego wieczora w obozie.

Był w takim nastroju, że gdyby ława sędziowska miała się składać z dwunastu krewetek, nie zwróciłby na to większej uwagi.

Ben Rainsford, jego dwa Kudłacze, George Lunt, Ahmed Khadra, ich rodzinka oraz pozostali świadkowie policyjni zjawili się w sobotę tuż przed południem. Kudłacze zostały zakwaterowane w ogołoconej sali bankietowej i szybko zaprzyjaźniły się z czwórką znaną w górach oraz z Dzdziusiem. Każda rodzinka rozłożyła się do snu oddzielnie, za to jadły razem i bawiły się swoimi wszystkimi zabawkami, a także zbijały w masę przed teleekranem. Początkowo rodzinka ze Strumienia Paproci okazywała

zazdrość, kiedy zbyt dużo uwagi poświęcano kotkowi, dopóki nie doszły do wniosku, że nikt nie usiłuje go ukraść. Byłoby wesoło, jedenaście Kudłaczy plus Dzidzius i czarno-biały kotek, gdyby Jack nie odnosił wrażenia, że widzi swoje Kudłacze, sześć milczących duszków, przyglądających się zabawie, ale nie mogących włączyć się do niej.

Kiedy Max Fane zobaczył na ekranie swego rozmówcę, jego twarz rozjaśniła się.

— Och, pułkownik Ferguson. Cieszę się, że pana widzę.

— Witam, szeryfie... — Ferguson uśmiechał się szeroko. — Za chwilę będziesz się jeszcze bardziej cieszyć. Kilku moich ludzi z Posterunku Osiem zgarnęło Woliera i tego dyżurnego sierżanta, Fuentesesa.

— Ha! — Szeryf poczuł ogarniającą go falę ciepła, jakby przed chwilą wychylił szklaneczkę rumu na miodzie z Balduru. — Jak?

— Cóż, chyba wiesz, że gubernator Emmert ma domek myśliwski. Pilnują mu go funkcjonariusze z Posterunku Osiem. Dzisiaj po południu jeden z kutrów porucznika Obefemiego przelatował w tamtej okolicy. Odebrali na detektorach radiację i promieniowanie podczerwone, jakby wewnątrz było czynne zasilanie. Kiedy wylądowali, żeby to sprawdzić, znaleźli Woliera i Fuentesesa, czujących się jak u siebie w domu. Dostarczyli ich na miejsce i obaj przyznali pod prawdomierzem, że Emmert dał im klucze i kazał się tam ukrywać, dopóki proces się nie skończy.

Zaprzeczyli, jakoby Emmert zainicjował prowokację. To był przebłysk geniuszu Woliera, ale gubernator znał scenariusz i przystał na to. Jutro z samego rana dostarczą ich tutaj.

— No cóż, gratuluję, pułkowniku! Czy agencje już wiedzą?

— Nie. Przed poinformowaniem mediów chcieliśmy przesłuchać jednego i drugiego u nas w Mallorysport i zarejestrować zeznania. Inaczej ktoś mógłby podjąć kroki, żeby ich na zawsze uciszyć.

Sam też się tego obawiał. Powiedział to Fergusonowi, a ten pokiwał głową, następnie rzekł po krótkim wahaniu:

— Max, jak ci się podoba sytuacja, która panuje w Mallorysport? Niech mnie diabli, jest strasznie.

— Co masz na myśli?

— Kręci się za dużo obcych — odparł Ferguson. — Podobnych do siebie obcych mężczyzn, krzepkich młodych facetów, między dwudziestką a trzydziestką. Łażą parami i trójkami. Zauważyłem to przedwczoraj i mam wrażenie, że z każdą godziną przybywa ich coraz więcej.

— Mhm, Ianie, Zaratustra jest planetą młodych ludzi i należy oczekiwać napływu wielkich tłumów na proces...

Sam nie wierzył w to, co mówił. Chciał po prostu, żeby Ian Ferguson wyrzekł to pierwsze. Pułkownik pokręcił przecząco głową.

— Nie, Max. To nie jest tłum gapiów przybyłych na proces. Obaj wiemy, co to za ludzie. Pamiętasz proces braci Gawn? Żadnych awantur w barach, żadnego zamieszania, żadnej gry w kości, ten tłum po prostu spaceruje sobie w milczeniu, jakby czekał na instrukcje.

— Infiltracja. — Do diabła, a jednak powiedział to przed Fergusonem!
— Obawia się jej Victor Grego.

— Wiem, Max. Victor Grego przypomina byka trawożera — nie jest groźny, dopóki go nie zranić, a wówczas robi się straszny. W starciu z tą zgrają, która się tutaj gromadzi, moi i twoi ludzie nie przetrwają dłużej niż butelka dzinu na sheshańskiej stypie.

— Myślisz o ogłoszeniu alarmu?

Komendant oddziałów policyjnych zmarszczył brwi.

— Nie chcę tego robić. Na Terze mogliby się krzywić, gdybym wszczął alarm bez faktycznej potrzeby. Ale skrzywiliby się jeszcze bardziej, gdybym go zaniechał, a okazał się niezbędny. Sprawdzę jeszcze raz.

Gerd von Riebeek ułożył w sterty leżące na biurku papiery, zapalił papierosa, a potem zaczął nalewać whisky z lodem.

— Kudłacze należą do sapientów — stwierdził. — Rozumują logicznie, zarówno dedukcyjnie, jak i indukcyjnie. Uczą się poprzez doświadczenie,

analizę i kojarzenie. Formułują zasady ogólne i stosują je w konkretnych sytuacjach. Planują swe działania z góry. Sporządzają zaprojektowane narzędzia i narzędzia do sporządzania narzędzi. Potrafią myśleć symbolicznie, komunikują pojęcia w postaci symbolicznej i abstrahują z przedmiotów i zdarzeń.

— Mają zmysł estetyczny i twórczy — ciągnął. — Nudzi je nieróbstwo i znajdują przyjemność w rozwiązywaniu problemów dla czystej przyjemności ich rozwiązywania. Urządzają swoim zmarłym ceremonialne pochówki i wkładają im do grobu narzędzia.

Wypuścił krąg dymu, po czym skosztował drinka.

— Robią to wszystko, a poza tym wykonują roboty ciesielskie, gwizdzą w gwizdki policyjne, sporządzają sobie sztuczce do jedzenia krewetek i składają z kulek modele cząsteczki. Ma się rozumieć, że są istotami rozumnymi. Ale nie każcie mi, proszę, nie każcie mi zdefiniować rozumności, bo do wszystkich diabłów, ciągle nie mogę!

— Wydaje mi się, że właśnie to uczyniłeś — powiedział Jack.

— Nie, to nie wystarczy. Potrzebna mi definicja.

— Nie martw się, Gerd — oznajmił Gus Brannhard. — Leslie Coombes wysmaży sądowi ładną, błyskotliwą, nową definicję. Po prostu skorzystamy z niej.

14.

Frederic i Claudette Pendarvisowie szli obok siebie przez ogród na dachu w kierunku rampy dla statków. Claudette jak zwykle zatrzymała się, zerwała jeden kwiat i przypięła sobie do kostiumu.

— Czy Kudłacze będą obecne na rozprawie? — spytała.

— Ach, będą musiały. Nie wiem, czy dzisiejszego ranka, bo będziemy ułatwiać głównie formalności. — Zrobił minę, która po trosze była grymasem niezadowolenia, a po trosze uśmiechem. — Nie wiem doprawdy, czy traktować je jako świadków, czy jako dowody rzeczowe. Liczę na to, że nie będę musiał o tym decydować, przynajmniej na samym początku. Coombes albo Brannhard zarzuciliby mi stronniczość.

— Chcę je obejrzeć. Widziałam Kudłacze na ekranie, ale chcę zobaczyć, jakie są naprawdę.

— Już dawno nie odwiedzałaś moich sądów, Claudette. Jeśli się okaże, że mają się stawić dzisiaj, to dam ci znać. Nawet nadużyję mojej władzy do tego stopnia, że ułatwię ci spotkanie z nimi poza salą sądową. Chciałabyś?

I to jak. Claudette miała nieograniczoną zdolność do zachwyty nad podobnymi rzeczami. Pocałowali się na do widzenia i sędzia oddalił się w stronę otwartych już przez pilota drzwi kutra. Na trzystu metrach odwrócił głowę — stała wciąż na skraju ogrodu i spoglądała do góry.

Musi sprawdzić, czy wizyta w sądzie będzie dla niej bezpieczna. Max Fane martwi się możliwością kłopotów, tak samo jak Ian Ferguson. Bojaźliwość nie leżała w naturze żadnego z nich.

Kiedy pojazd zaczął obniżać lot ku budynkom sądów centralnych, Pendarvis spostrzegł, że na dachu spacerują wartownicy. Nosili nie tylko pistolety — widział odbłask luf karabinowych i połysk stalowych hełmów.

Po wejściu do gmachu przekonał się, że ich niebieskie mundury mają jaśniejszy odcień od mundurów policyjnych. Wysokie buty i spodnie z czerwonym lampasem, komandosi kosmiczni w błękitach. A zatem Ian Ferguson wszczął alarm. Doszedł do wniosku, że żonie będzie tu bezpieczniej niż w domu.

Podeszli doń sierżant i dwaj żołnierze. Sierżant dotknął niedbale swego hełmu, co i tak dość dobrze przypominało honory oddawane przez komandosa człowiekowi w cywilnym ubraniu.

— Sędzia Pendarvis? Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, sierżancie. Dlaczego desant Federacji pilnuje gmachu sądu?

— Na wszelki wypadek, panie sędzio. Rozkaz komodora Napiera. Pod pokładem znajdzie pan na służbie ludzi Maxa Fane'a, ale w pańskim gabinecie czekają kapitan desantu Casagra i kapitan Sił Kosmicznych Greibefeld.

Kiedy sędzia skręcił w kierunku ruchomych schodów, nadleciał wielki prom Kompanii Zaratustra. Sierżant obrócił się szybko, skinął swoim komandosom i puścili się biegiem w tamtą stronę. Sędzia był ciekaw, jak też Leslie Coombes zareaguje na widok komandosów.

Dwaj oficerowie przebywający w jego biurze nosili broń boczną. Tak samo zresztą jak Max Fane, który czekał wraz z nimi. Wstali z miejsc, żeby się przywitać z Pendarvisem. Usiedli dopiero, gdy ten zajął fotel za biurkiem. Zadał im to samo pytanie, co sierżantowi na dachu.

— No cóż, pułkownik policji Ferguson połączył się wczoraj wieczorem z komodorem Napierem i zażądał pomocy wojskowej, panie sędzio — odparł oficer w czarnym mundurze Sił Kosmicznych. — Podejrzewał, cytując: że „w mieście są dywersanci”. Pod tym względem, panie sędzio, miał absolutną rację. Począwszy od środowego popołudnia obecny tu kapitan Casagra, na rozkaz komodora Napiera, rozpoczął desant oddziałów komandosów w celu przygotowania do zajęcia Rezydencji.

Zadanie zostało wykonane, komodor Napier objął Rezydencję, a gubernator Emmert i radca generalny O'Brien są aresztowani pod zarzutem wielokrotnego nadużycia władzy i praktyk korupcyjnych, ale to nie trafi do pańskiego sądu. Zostaną odesłani na Terrę, tam odbędzie się proces.

— To znaczy, że komodor Napier objął rządy cywilne?

— No cóż, komodor podjął się obowiązku sprawowania ich tak długo, dopóki nie zapadnie wyrok. Chcemy wiedzieć, czy obecna administracja jest legalna, czy nie.

— A więc nie będziecie się mieszać do rozprawy?

— To zależy, panie sędzio. Mamy zamiar, rzecz jasna, wziąć w niej udział. — Zerknął na zegarek. — Mamy jeszcze godzinę do zwołania sądu? Może zdążę to wyjaśnić.

Max Fane spotkał się z nimi w drzwiach sali sądowej i przywitał się serdecznie. Kiedy zobaczył Dzijdusia na plecach Jacka, zrobił zafrasowaną minę.

— No, nie wiem, Jack, jeśli chodzi o niego. Chyba nie może wejść na salę.

— Bzdura! — odparł Gus Brannhard. — Przyznaję, że jest niepełnoletnim i nieudolnym tubylcem, ale to jedyny członek rodziny zabitej autochtonki i jako taki ma niezaprzeczalne prawo wstępu na salę.

— No, chyba że powstrzymasz go od wchodzenia ludziom na głowę. Gus, ty i Jack siedzicie tutaj; Ben, ty i Gerd znajdziecie miejsca w sektorze dla świadków.

Do posiedzenia sądu brakowało jeszcze pół godziny, ale wszystkie miejsca dla publiczności były już zajęte. Ławy przysięgłych, po lewej stronie podium dla sędziów, objęło w posiadanie kilkunastu funkcjonariuszy w czarnych mundurach Floty i niebieskich mundurach desantu. Najwyraźniej przywłaszczyli je sobie, skoro proces miał się toczyć bez udziału sędziów przysięgłych. Łoża prasowa była zatłoczona i najeżona sprzętem.

Dzidzius spoglądał z zainteresowaniem w górę na wielki ekran za fotelami dla sędziów, który niezależnie od transmitowania wydarzeń z sali sądowej do mediów, ukazywał zebranym widzom to samo, niczym zwierciadło nie odwracające obrazu. Dzidzius nie potrzebował dużo czasu, by odnaleźć na nim siebie, i machał w podnieceniu rączkami. W tej samej chwili przy drzwiach wszczął się tumult, wchodzili Leslie Coombes, Ernst Mallin oraz dwoje ich pomocników, Ruth Ortheris i Juan Jimenez, a także Leonard Kellogg. Jack widział go ostatnio u George'a Lunta w sądzie zażaleń. Twarz miał zabandażowaną i nosił pożyczone mokasyny, gdyż jego własne buty, zaplamione krwią Złotowłosej, zostały zatrzymane jako dowód.

Coombes spojrział na stół, przy którym siedzieli Holloway i Brannhard. Zobaczywszy Dzidziusia, machającego do siebie w kierunku ekranu, zwrócił się do Fane'a z gwałtownym protestem. Szeryf pokręcił przecząco głową. Coombes zaprotestował ponownie i znowu musiał się zadowolić ruchem głowy Fane'a. W końcu wzruszył ramionami i poprowadził Kellogga do zarezerwowanego dla nich stołu.

Kiedy Pendarvis i dwóch jego kolegów, niski mężczyzna z okrągłą twarzą po prawej stronie i wysoki, szczupły mężczyzna o białych włosach i czarnych wąsach po lewej, zajęli swoje miejsca, rozprawa potoczyła się gładko. Odczytano akty oskarżenia, po czym Brannhard, jako oskarżyciel Kellogga, zwrócił się do sądu:

— ...znaną jako Złotowłosa... rozumną przedstawicielkę rasy rozumnej... samowolny i umyślny czyn wspomnianego Leonarda Kellogga... brutalne, niczym nie spowodowane morderstwo. — Cofnął się, usiadł na brzegu stołu i wziął na ręce Dzidziusia tuląc go i głaszcząc, podczas gdy Leslie Coombes oskarżał Jacka Hollowaya o brutalne pobicie wspomnianego Leonarda Kellogga i bezlitosne zastrzelenie Kurta Borchy.

— No cóż, panowie, wydaje mi się, że możemy już przejść do przesłuchiwania świadków — powiedział najwyższy sędzia. — Kto

pierwszy poprowadzi sprawę przeciw komu?

Gus oddał Dzidziusia Jackowi i wyszedł naprzód. Coombes stanął obok niego.

— Wysoki Sądzie, proces jest uzależniony od odpowiedzi na pytanie, czy przedstawiciel gatunku *Kudłacz kudłacz holloway Zaratustra* jest, czy też nie jest sapientem — powiedział Gus. — Jednak przed podjęciem próby udzielenia na nie odpowiedzi powinniśmy ustalić, na podstawie dowodów, co się mianowicie wydarzyło w obozie Hollowaya w Dolinie Zimnej Wody, po południu 19 czerwca 654 roku Ery Atomowej. Dopiero później możemy wrócić do rozpatrywania kwestii, czy wspomniana Złotowłosa w rzeczywistości należała, czy też nie należała do sapientów.

— Zgoda — rzekł spokojnie Coombes. — Większość świadków będzie trzeba później wezwać, ale ogólnie rzecz biorąc, uważam, że propozycja mecenasa Brannharda zaoszczędzi sądowi dużo czasu.

— Czy zgadza się pan, mecenasie Coombes, aby wszelkie dowody mające wykazać bądź zaprzeczyć rozumności Kudłaczy jako gatunku, uznawać jako dowody za lub przeciw rozumności stworzenia określanego jako Złotowłosa?

Coombes przemyślał dokładnie propozycję, doszedł do wniosku, że nie ma w niej żadnego podstępu i wyraził zgodę. Zastępca szeryfa zbliżył się do boksu dla świadków i poczyniwszy kilka regulacji, nacisnął przełącznik z tylnej strony krzesła. W tej samej chwili półmetrowa kula miernika, która się za nim znajdowała, zajaśniała czystym błękitem. Wywołano nazwisko George'a Lunta. Porucznik zajął miejsce, opuszczono mu na głowę błyszczący hełm i podłączono elektrody.

Kiedy podawał nazwisko i stopień, kula zachowała spokojny, nie zakłócony niebieski odcień. Czekał, aż Coombes i Brannhard skończą naradę. Wreszcie Brannhard wyjął z kieszeni srebrnego pólsoła, potrząsnął nim między dłońmi i rzuciwszy do góry, przyklepał na nadgarstku.

Coombes rzekł:

— Reszka. — Brannhard odsunął dłoń, ukłonił się lekko i cofnął o krok.

— A więc, poruczniku Lunt... — podjął Coombes. — Kiedy przybył pan do tymczasowego obozu znajdującego się naprzeciw obozu Hollowaya po drugiej stronie potoku, co pan tam zastał?

— Dwoje martwych ludzi — odparł Lunt. — Człowieka terrańskiego, któremu trzykrotnie przestrelono klatkę piersiową, oraz Kudłacza, którego skopano bądź zdeptano na śmierć.

— Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie! — Coombes zaprotestował. — Muszę prosić, aby nakazano świadkowi zmianę jego pierwotnej odpowiedzi i żeby odnosiła się ona wyłącznie do materii sprawy. Świadek nie ma prawa w danych okolicznościach mówić o Kudłaczach jako o ludziach...

— Wysoki Sądzie — przerwał ten wywód Brannhard. — Sprzeciw mecenasa Coombesa jest nie mniej stronniczy. Nie ma on prawa, w danych okolicznościach, zabraniać mówienia o Kudłaczach jako o ludziach. To się równa żądaniu, by świadek mówił o nich jako o nierozumnych zwierzętach.

Ciągnęło się to przez pięć minut. Jack zaczął coś gryzmolić na papierze. Dzidzius wziął ołówek w obie rączki i również zabrał się do kreślenia gryzmołów. Właściwie przypominały węzły, których uczył go Jack. W końcu interweniował sąd, nakazując Luntowi opowiedzieć własnymi słowami, dlaczego udał się do obozu Hollowaya, co tam zastał, o czym go poinformowano i co zrobił. Między Coombesem a Brannhardem powstał mały spór o to, czym pogłoska różni się od faktu.

Kiedy Brannhard skończył, Coombes powiedział:

— Nie mam pytań.

— Poruczniku, aresztował pan Leonarda Kellogga, bo Jack Holloway oskarżył go o morderstwo. Rozumiem, że uznał pan to oskarżenie za uzasadnione — podjął Pendarvis.

— Tak jest, Wysoki Sądzie. Uważałem, że Leonard Kellogg zabił sapienta. Tylko sapienci kopią groby swoim zmarłym.

Zeznawał Ahmed Khadra. Zeznawali dwaj funkcjonariusze, którzy przylecieli drugim kutrem oraz mężczyźni, którzy dostarczyli ekwipunek śledczy i robili zdjęcia na miejscu wydarzeń. Brannhard wezwał do boks dla świadków Ruth Ortheris i po kilku daremnych sprzeciwach Coombesa pozwolono jej opowiedzieć swoją wersję zabicia Złotowłosej, pobicia Kellogga i zastrzelenia Borch. Gdy skończyła, najwyższy sędzia wziął do ręki swój młotek i zastukał.

— Przypuszczam, że to zeznanie wystarczy do ustalenia faktu, że istota określana jako Złotowłosa została faktycznie skopana i zdeptana na śmierć przez pozwanego Leonarda Kellogga i że człowiek terrański znany jako Kurt Borch faktycznie zginął od strzałów Jacka Hollowaya. W tej sytuacji możemy teraz zająć się odpowiedzią na pytanie, czy którekolwiek z tych zabójstw, bądź oba, stanowią morderstwo w znaczeniu prawnym. Mamy już jedenastą czterdzieści. Zrobimy przerwę na lunch, a sąd zbierze się ponownie o szesnastej sto. Jest dużo spraw, łącznie z pewnymi zmianami na sali sądowej, z którymi należy się uporać przed sesją popołudniową... Słucham, mecenasie Brannhard?

— Wysoki Sądzie, na sali znajduje się obecnie tylko jeden przedstawiciel gatunku *Kudłacz kudłacz holloway Zaratustra*, niedojrzały i przez to niereprezentatywny osobnik. — Podniósł Dzidziusia i pokazał wszystkim. — Jeśli mamy podjąć kwestię rozumności tego gatunku, bądź rasy, czy nie byłoby wskazane posłać teraz po Kudłacze przebywające w hotelu Mallory, aby mieć je pod ręką?

— No cóż, mecenasie Brannhard — odparł Pendarvis. — Naturalnie, Kudłacze będą nam potrzebne w sądzie, ale wstrzymajmy się z tym do wznowienia rozprawy. Może tak się zdarzyć, że dzisiejszego popołudnia nie będą nam potrzebne. Czy coś jeszcze? — Stuknął młotkiem. — A zatem, ogłaszam przerwę do szesnastej sto.

Pewne zmiany na sali sądowej to było łagodne określenie. Usunięto cztery rzędy siedzeń dla publiczności i przesunięto do tyłu barierkę. Boks

dla świadków, stojący pierwotnie obok podium, znalazł się teraz naprzeciw niego, przed barierką. Wniesiono kilkanaście stolików i rozmieszczono je półkolem po obu stronach boksu. Siedzący przy stołach byli usadowieni na wprost sądu, spoglądając na wielki ekran, widzieli również swoich sąsiadów. Świadek zajmujący miejsce na krześle mógł w ten sam sposób patrzeć na prawdomierz.

Wszedłszy do sali z Jackiem, Gus Brannhard rozejrzał się dookoła i zaklął pod nosem.

— Nic dziwnego, że dali nam dwie godziny na lunch. Ciekaw jestem, co tu jest grane. — Nagle zaśmiał się. — Popatrz na Coombesa, nie podoba mu się to ani trochę.

Podszedł do nich zastępca szeryfa z rozkładem miejsc.

— Mecenasiu Brannhard, pan oraz Jack Holloway tam, przy tym stole. — Pokazał na stolik oddalony nieco od pozostałych, najbardziej wysunięty na prawo, naprzeciw sądu. — Natomiast doktor van Riebeek i doktor Rainsford tutaj, proszę.

Tuba woźnego sądowego wydała dwa ostre gwizdy nad ich głowami i przemówiła:

— Uwaga, uwaga! Posiedzenie sądu rozpoczyna się za pięć minut...

Brannhard obrócił gwałtownie głowę, oczy Jacka podążyły śladem oczu Gusa. Woźnym był podoficer Floty Kosmicznej.

— Co to jest, u diabła? — zdziwił się Gus. — Sąd Wojenny Floty?

— Sam się zastanawiam, mecenasiu Brannhard — powiedział zastępca szeryfa. — Zajęli całą planetę, jak pan wie.

— Może mamy szczęście, Gus. Ciągłe słyszę, że jak człowiek jest niewinny, to lepiej stanąć przed sądem wojennym, a w przeciwnym wypadku, przed cywilnym — powiedział Holloway.

Zauważył Leslie Coombesa i Leonarda Kellogga usadowionych przy podobnym stoliku na drugim końcu podium dla sądu. Najwyraźniej Coombes też o tym słyszał. Układ miejsc przy pozostałych stolikach

również był zastanawiający. Gerd van Riebeek siedział obok Ruth Ortheris, a Ernst Mallin obok Bena Rainsforda, zaś z drugiej strony miał Juana Jimeneza.

Gus przesuwiał wzrokiem po balkonie.

— Mogę się założyć, że są tu dzisiaj wszyscy prawnicy planety — powiedział. — Ach, ach! Widzisz tę siwą kobietę w niebieskiej sukni, Jack? To żona najwyższego sędziego. Nie przychodziła tutaj od lat.

— Cisza! Cisza! Cisza! Proszę wstać, Wysoki Sąd idzie!

Ktoś musiał zrobić podoficerowi krótki wykład na temat frazeologii sali sądowej. Jack podniósł się, obejmując Dzidziusia. Weszli trzej sędziowie i zajęli swoje miejsca. Gdy tylko usiedli, najwyższy sędzia zastukał energicznie młotkiem.

— Ażeby uprzedzić ewentualną falę sprzeciwów, chcę powiedzieć, że nasz aktualny układ miejsc jest tymczasowy, tak samo jak procedura, której będziemy się trzymać. Nie rozpatrujemy w tej chwili ani sprawy Jacka Hollowaya, ani sprawy Leonarda Kellogga. Przez resztę dnia i — niestety — w ciągu wielu najbliższych dni będziemy się zajmować wyłącznie ustaleniem poziomu umysłowego *Kudłacza kudłacz holloway Zaratustra*.

W tym celu odstępimy tymczasowo od niektórych tradycyjnych procedur sądowych. Będziemy wzywać świadków, zeznania dotyczące faktów będą jak zwykle składane pod prawdomierzem. Przeprowadzimy także ogólną debatę, w której siedzący przy tych stołach mogą swobodnie uczestniczyć. Ja i moi koledzy będziemy przewodniczyć, a ponieważ nie możemy dopuścić do tego, by wszyscy wykrzykiwali swe argumenty jednocześnie, ktokolwiek będzie chciał się wypowiedzieć, musi poprosić o głos. Mam przynajmniej nadzieję, że w ten sposób uda nam się przeprowadzić dyskusję.

Zauważyli państwo na sali pewną liczbę oficerów z bazy Floty Kosmicznej na Kserksesie i przypuszczam, że wiecie już, iż komodor Napier przejął kontrolę nad administracją cywilną. Kapitanie Greibefeld,

czy mógłby pan wstać i pokazać się? Kapitan odgrywa rolę *amicus curiae*^[6] i został upoważniony przeze mnie do przesłuchiwania świadków oraz do przeniesienia tego prawa na wszelkich podległych mu oficerów, których uzna za właściwych. Panowie Coombes i Brannhard również mogą przenieść to prawo wedle swego uznania.

Coombes natychmiast zerwał się z miejsca.

— Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, skoro mamy teraz dyskutować kwestię rozumności, proponowałbym, aby pierwszym punktem porządku było przedstawienie możliwej do zaakceptowania definicji sapienta. Jeśli chodzi o mnie, pragnę się dowiedzieć, co oskarżyciele Kellogga i obrońcy Hollowaya mają na myśli, gdy używają tego terminu.

No tak. Chcą od nas definicji. Gerd van Riebeek zrobił zawiedzioną minę, Ernst Mallin uśmiechał się chytrze. Ale Gus Brannhard był zadowolony.

— Jack, oni nie dysponują wcale lepszą definicją niż my, do diabła — szepnął.

Kapitan Greibefeld, który zdążył już usiąść, wstał ponownie.

— Wysoki Sądzie, przez ostatni miesiąc pracowaliśmy w bazie Floty na Kserksesie dokładnie nad tym samym zagadnieniem. Jesteśmy poważnie zainteresowani ustaleniem kategorii tej planety i uważamy, że kwestia rozumności może się pojawić także w przyszłości. Nim zaczniemy jednak dyskutować nad tą kwestią, chciałbym otrzymać zgodę sądu na pewien eksperyment, który może być pomocny dla zrozumienia tematu.

— Kapitan Greibefeld omówił już ze mną swoją propozycję i ma moją aprobatę. Prosimy, kapitanie — powiedział najwyższy sędzia.

Greibefeld skinął głową i zastępca szeryfa otworzył drzwi po prawej stronie podium. Weszło dwóch astronautów niosących kartonowe pudła. Jeden zbliżył się do podium, drugi przeszedł wzdłuż stolików i rozdał niewielkie aparaty słuchowe zasilane z baterijek.

— Proszę umieścić je w uszach i włączyć — powiedział. — Dziękuję.

Dzidzius próbował chwycić słuchawkę Jacka. Holloway włożył ją sobie do ucha i uruchomił zasilanie. W tej samej chwili dobiegło go mnóstwo cichych dźwięków, których nigdy wcześniej nie słyszał i głos Dzidziusia, który mówił do niego:

— *Hi-inta sa-waaka; iddzia sa dzida?*

— Mój Boże, Gus, on mówi!

— Tak, słyszę Dzidziusia, sądzisz, że...

— Ultradźwięki! Boże, dlaczego sami na to nie wpadliśmy dawno temu?

Wyłączył słuchawkę. Dzidzius mówił:

— Ik. Kiedy włączył ją na powrót, Dzidzius wołał:

— *Kakk-na za ziwa.*

— Nie, Dzidziusiu, Papcio Jack nie rozumie. Musimy być bardzo cierpliwi i nauczyć się wzajemnie naszych języków.

— *Pa-psio Dziaak!* — krzyknął Dzidzius. — *Dzidziu dzidziu; Pa-psio Dziaak za zag ga hi-izza!*

— Łkanie to tylko niskotonowy zakres ich mowy, my też wydajemy sporo ultradźwięków.

— No cóż, on je słyszy. Odebrał swoje imię i twoje.

— Mecenasio Brannhard, panie Holloway — powiedział sędzia Pendarvis. — Zechcą panowie uważać. A więc, czy wszyscy już mają w uszach włączone słuchawki? Doskonale, proszę kontynuować, kapitanie.

Tym razem opuścił salę jakiś podporucznik, by wrócić po chwili z grupą szeregowców niosących sześcioro Kudłaczy. Posadzili je na otwartej przestrzeni między podium dla sędziów a półkolem stołów i cofnęli się. Kudłacze stłoczyły się w gromadkę i rozglądały bojaźliwie dookoła siebie. Jack wbił w nie wzrok, nie wierząc własnym oczom. To niemożliwe, Kudłaczy przecież już nie ma. Tyle że widział je przed sobą, Kudłaczka i Mamę, Mike'a i Mitzi, Ko-ko i Kopciuszka. Dzidzius wykrzyknął coś i zeskoczył ze stołu. Mama podreptała na spotkanie ze swoim maleństwem

i czule je objęła. W tym momencie wszystkie Kudłacze zobaczyły Hollowaya i podniosły wrzask:

— *Pa-psio Dziaak! Pa-psio Dziaak!*

Nie wiedział kiedy wstał i odszedł od stołu. Gdy oprzytomniał, siedział na podłodze w towarzystwie tulącej się doń rodzinke. Jak przez mgłę doleciały go uderzenia młotki i głos najwyższego sędziego Pendarvisa:

— Sąd wznowi posiedzenie za dziesięć minut!

Zanim do tego doszło, był już przy nim Gus. Zabrali rodzinke z podłogi i przenieśli do stolika.

Kudłacze miały trudności z chodzeniem, co przez chwilę Jacka bardzo niepokoiło. Nagle uzmysłowił sobie, że nie są ani chore, ani odurzone narkotykiem. Po prostu przebywały w niskiej grawitacji i nie przyzwyczyły się jeszcze do normalnego ciężaru. Już wiedział, dlaczego nie udało mu się ich wytropić. Zauważył, że wszystkie noszą woreczki apteczki pierwszej pomocy Desantu Kosmicznego — zawieszane na parciany rzemykach. Dlaczego, do diabła, sam na to nie wpadł i nie zrobił im woreczków? Dotknął jednego i wypowiedział parę słów, usiłując, jak mógł najlepiej, dostroić swój głos do głosu Kudłaczy. W odpowiedzi zaczęły paplać i otwierać swoje torby, pokazując mu ich zawartość: nożyki, miniaturowe narzędzia, kawałki jaskrawych i kolorowych rupieci. Kudłaczek wyjął małą fajkę z główką z twardego drewna i woreczek tytoniu, którym po chwili ją napełnił. W końcu wyjął małą zapalniczkę.

— Wysoki Sądzie! — zawołał Gus. — Wiem, że jest przerwa, ale proszę spojrzeć, co robi Kudłaczek.

Kudłaczek pstryknął zapalniczką, po czym skierował płomień w głąb cybucha, zapalił fajkę i wypuścił dym.

Po drugiej stronie przy ostatnim stoliku Leslie Coombes przełknął kilka razy ślinę i zamknął oczy.

Pendarvis stuknął młotkiem, ogłaszając wznowienie rozprawy.

— Panie i panowie, widzieliście i słyszeliście eksperyment kapitana Greibenhfelda. Słyszeliście, jak Kudłacze wytwarzają dźwięki brzmiące niczym artykułowana mowa i widzieliście, jak jeden z nich używa zapalniczki i pali fajkę. Nawiasem mówiąc, palenie w sądzie jest niewskazane, ale w trakcie niniejszego procesu zrobimy wyjątek na rzecz Kudłaczy. Proszę, aby inni ludzie nie czuli się przez to dyskryminowani.

Tym razem Coombes nie wytrzymał. Ruszył biegiem dookoła stolika, po czym przypomniał sobie, że zgodnie z nowymi zasadami nie musi już tego robić.

— Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie, dziś rano złożyłem ostry protest przeciw używaniu tego terminu przez świadka. Muszę zaprotestować jeszcze ostrzej przeciw stosowaniu go przez Wysoki Sąd. Słyszałem naturalnie, że Kudłacze wydają dźwięki, które przez omyłkę można wziąć za słowa, muszę jednak odrzucić pogląd, że jest to prawdziwy język. A co do tej sztuczki z zapalniczką, podejmę się nauczyć jej dowolne zwierzę z grupy terrańskich naczelnych albo freyańskich kholpów.

Natychmiast wstał Greibenhfeld.

— Wysoki Sądzie, w ciągu ostatnich trzydziestu dni, kiedy Kudłacze znajdowały się w Bazie Floty na Kserksesie, ułożyliśmy słownik przeszło stu wyrazów z ich języka, przypisując wszystkim określone znaczenia. Dysponujemy ponadto znacznie większą liczbą wyrazów, których znaczeń jeszcze nie poznaliśmy. Mamy nawet zaczątek gramatyki języka Kudłaczy. Jeśli chodzi natomiast o tak zwaną sztuczkę z zapalniczką, Kudłaczek — nie znaliśmy jego imienia i nazywaliśmy go M2 — nauczył się tego samodzielnie, dzięki obserwacji. Nie uczyliśmy go również palić fajki, bo umiał to robić, zanim go w ogóle poznaliśmy.

Jack podniósł się z krzesła, kiedy Greibenhfeld jeszcze mówił. Gdy tylko oficer Floty Kosmicznej skończył, rzekł:

— Kapitanie Greibenhfeld, dziękuję panu i pańskim ludziom za opiekę nad Kudłaczami. Bardzo się cieszę, że odkryliście sposób na słuchanie ich

mowy. Dziękuję za wszystkie ładne rzeczy, które od was otrzymały, ale dlaczego nie daliście mi znać, że są w bezpiecznym miejscu? Jak pan wie, przez ostatni miesiąc byłem bardzo nieszczęśliwy.

— Wiem, panie Holloway, i jeśli może to być dla pana jakąś pociechą, wszyscy bardzo panu współczuliśmy, ale nie wolno nam było narażać naszego tajnego agenta w centrum naukowym Kompanii, tego samego, który wywiózł Kudłacze z miasta owego ranka po ich ucieczce. — Rzucił okiem na drugi koniec stołów. Kellogg trzymał twarz w rękach, nieświadomy niczego, co się dzieje dookoła, ale po zdyscyplinowanej twarzy Leslie Coombesa przebiegł dreszcz przerażenia. — Kiedy pan, Gus Brannhard i szeryf Fane przybyliście po Kudłacze z nakazem sądowym, były już pod naszą kuratelą i znajdowały się na promie Floty w drodze na Kserksesa. Najmniejszy błąd mógł zdemaskować naszego agenta. Z przyjemnością stwierdzam, że problem ten przestał już istnieć.

— No cóż, kapitanie Greibefeld — odezwał się najwyższy sędzia. — Rozumiem, że zamierza pan przedstawić dalsze dowody z obserwacji i badań dokonanych na Kserksesie przez waszych specjalistów. Dla jasności, chcielibyśmy ustalić, czy faktycznie Kudłacze były tam zabrane, kiedy i w jaki sposób.

— Tak, Wysoki Sądzie. Jeśli odczyta pan czwarte nazwisko na liście, którą panu dałem, i pozwoli mi przesłuchać świadka, będziemy mogli to ustalić.

Najwyższy sędzia podniósł kartkę.

— Podporucznik Ruth Ortheris, oficer z listy rezerwowej Sił Kosmicznych Federacji Terrańskiej — przeczytał.

Tym razem Jack Holloway rzucił wzrokiem na wielki ekran, na którym Gerd van Riebeek, usiłujący nie dostrzec obok siebie tej kobiety, odwrócił głowę i spojrzał na nią ze zdumieniem. Twarz Coombesa zrobiła się upiorna, po czym stężała i znieruchomiała jak u nieboszczyka; Ernst Mallin trząśnięty z niepoohamowanej złości, a siedzący przy nim Ben

Rainsford wyszczerzył zęby z równie niepohamowanej radości. Kiedy Ruth zatrzymała się przed podium, Kudłacze zgotowały jej gorącą owację, gdyż polubiły ją i zapamiętały. Gus Brannhard ścisnął ramię Hollowaya, mówiąc:

— Do licha! No, teraz wystarczy ich dobić, Jack!

Podporucznik Ortheris zeznała pod spokojnie błękitną kulą, że przybyła na Zaratustrę jako oficer Rezerw Sił Kosmicznych powołany do służby w Wywiadzie i objęła stanowisko w Kompanii.

— Jako zawodowo doświadczony doktor psychologii pracowałam w sekcji badawczej doktora Mallina oraz w departamencie szkolnym i sądzie dla nieletnich. Jednocześnie regularnie nadawałam meldunki dla komandora Aelborga, szefa Wywiadu na Kserksesie. Celem infiltracji było sprawdzenie, czy Kompania Zaratustra nie łamie warunków koncesji bądź praw Federacji. Aż do połowy zeszłego miesiąca nie miałam nic do przekazania poza kilkoma niezbyt legalnymi transakcjami finansowymi, w które był zaplątany gubernator Emmert. Tak było do wieczora, 15 czerwca...

Akurat wtedy Ben przetransmitował nagranie Juanowi Jimenezowi. Opisała dokładnie, w jaki sposób sprawa zwróciła jej uwagę.

— Najszybciej jak mogłam, nadałam kopię tego nagrania komandorowi Aelborgowi. Nazajutrz wieczorem zadzwoniłam na Kserksesa z modułu znajdującego się na promie doktora van Riebeeka i przekazałam wszystko, czego dowiedziałam się o Kudłaczach. Później poinformowano mnie, że Leonard Kellogg przechwycił kopię nagrania Hollowaya-Rainsforda i zdążył zaalarmować Victora Grego, że zostaje on wysłany na kontynent Beta z instrukcją, by zapobiec publikacji wszelkich doniesień stwierdzających rozumność Kudłaczy i sfabrykować dowód na poparcie zarzutu, że doktor Rainsford i pan Holloway dopuszczają się celowego oszustwa naukowego...

— Chwileczkę! Muszę przeciw temu zaprotestować, Wysoki Sądzie! — zawołał Coombes, wstając z krzesła. — To tylko pogłoski.

— To fragment oceny sytuacji, którą Wywiad Floty wysłał do podporucznik Ortheris, opartej na meldunkach otrzymanych przez nas od innych agentów — powiedział chłodno kapitan Greibefeld. — Ona nie jest jedynym, jakim dysponujemy na Zaratustrze, zdaje pan sobie sprawę. Mecenasię Coombes, jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo sprzeciwu wobec zeznań podporucznik Ortheris, zwrócę się do mecenasa Brannharda o powołanie na świadka Victora Grego i przesłuchanie go pod prawdomierzem.

— Mecenasię Brannhard z przyjemnością wyświadczy sądowi tę przysługę, komandorze — powiedział Gus głośno i dobitnie.

Coombes usiadł pośpiesznie.

— No cóż, porucznik Ortheris, mówi pani nadzwyczaj ciekawe rzeczy, w tej chwili jednak próbujemy ustalić, w jaki sposób Kudłacze dostały się do bazy Floty na Kserksesie — odezwał się pucołowaty sędzia Ruiz.

— Postaram się przejść do tego jak najszybciej, Wysoki Sądzie — odparła. — Nocą, w piątek dwudziestego drugiego, Kudłacze zostały odebrane panu Hollowayowi i przewiezione do Mallorysport. Tu Mohammed O'Brien przekazał Kudłacze Juanowi Jimenezowi, a ten zabrał je do centrum naukowego i wsadził do klatek w pomieszczeniu na tyłach swego biura. Kudłacze natychmiast uciekły. Znalazłam je nazajutrz rano. Udało mi się je wydostać z budynku i oddać pułkownikowi Aelborgowi, który przyleciał z Kserksesa, by przejąć osobisty nadzór nad operacją z Kudłaczami. Nie zeznam, w jaki sposób zdołałam to osiągnąć. Byłam wówczas i jestem obecnie oficerem Sił Zbrojnych Federacji Terrańskiej. Sądy nie są w mocy zmusić oficera Federacji do składania zeznań naruszających bezpieczeństwo militarne. Od czasu do czasu informowano mnie za pośrednictwem łącznika w Mallorysport o postępie prac nad mierzeniem poziomu umysłowego Kudłaczy, sporadycznie mogłam przekazać własne sugestie. Ilekroć

opierały się one na ideach zapoczątkowanych przez doktora Mallina, nie zapomniałam uznać jego zasług.

Mallin był dziwnie mało wzruszony. Podniósł się Brannhard.

— Zanim zwolnimy świadka, chciałbym go spytać, czy wie coś na temat czterech innych Kudłaczy, znalezionych w piątek przez Jacka Hollowaya nad Strumieniem Paproci?

— No cóż, tak. To były moje Kudłacze i bardzo się o nie martwiłam. Nazywają się Kompleks, Syndrom, Id i Superego.

— Pani Kudłacze?

— Tak, moje, zaopiekowałam się nimi i prowadziłam nad nimi badania. Juan Jimenez i kilku myśliwych z Kompanii znalazło je na kontynencie Beta. Były trzymane w ośrodku farmerskim około ośmiuset kilometrów na północ stąd, opróżnionym specjalnie do tego celu. Nie odstępowałam ich ani o krok, a doktor Mallin spędzał z nimi większość czasu. W poniedziałek wieczorem przyleciał mecenas Coombes i je zabrał.

— Mecnas Coombes, czy dobrze słyszę? — zdziwił się Gus.

— Mecnas Leslie Coombes, adwokat Kompanii. Powiedział, że są potrzebne w Mallorysport. Dopiero nazajutrz zrozumiałam, do czego posłużyły. Wypuszczono je na teren polowania w nadziei, że zostaną zabite.

Wbiła wzrok w Coombesa. Gdyby spojrzenia były pociskami, Coombes byłby jeszcze bardziej martwy niż Kurt Borch.

— Dlaczego mieliby poświęcić cztery Kudłacze dla poparcia historyjki, która i tak nie trzymała się kupy? — zapytał Brannhard.

— To nie było poświęcenie. Musieli się ich pozbyć, a nie mieli odwagi zabić ich osobiście z obawy przed oskarżeniem o morderstwo wspólnie z Leonardem Kelloggiem. Wszyscy, którzy się z nimi zetknęli, począwszy od Ernsta Mallina, byli przekonani o ich rozumności. Po pierwsze, sami używaliśmy tych aparatów słuchowych. To była moja propozycja, a pomysł zaczerpnęłam z Kserksesa. Proszę zapytać o to doktora Mallina pod

prawdomierzem. Proszę go również zapytać o wszechstronne eksperymenty poliencefalograficzne.

— No dobrze, dowiedzieliśmy się już, że Kudłacze Hollowaya trafiły na Kserksesa — powiedział najwyższy sędzią. — Możemy posłuchać zeznań ludzi, którzy pracowali tam z nimi w owym czasie. Dowiedzmy się więc, co ma do powiedzenia doktor Ernst Mallin.

Coombes znowu był na nogach.

— Wysoki Sądzie, zanim wrócimy do przesłuchiwania świadków, chciałbym naradzić się z moim klientem na osobności.

— Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy w tym celu przerywać rozprawę, mecenasie Coombes. Może pan się naradzać do woli ze swoim klientem po zakończeniu sesji i gwarantuję, że nie będziemy panu przeszkadzać wzywaniem do jakichkolwiek działań w jego interesie, póki nie skończycie. — Stuknął lekko młotkiem i rzekł: — Doktorze Mallin, proszę o zajęcie miejsca dla świadków.

15.

Słyszając, że wywołano jego nazwisko, Ernst Mallin skulił się, jak gdyby usiłował zamknąć się w sobie. Nie chciał składać zeznań. Od wielu dni ze strachem myślał o tej chwili. Teraz ma zasiąść na tym krześle, a oni będą mu zadawać pytania. Przecież nie może odpowiadać na nie zgodnie z prawdą, a ta kula nad jego głową...

Gdy zastępca szeryfa przemówił doń i dotknął jego ramienia, Mallin nie wierzył w pierwszej chwili, że zdoła tam dojść o własnych siłach. Wydawało mu się, że ma do pokonania kilka kilometrów w szpalerze wlepionych w niego oczu. Dotarł jakoś do krzesła i usiadł. Umocowali mu nad głowę hełm i przytwierdzili elektrody. Kiedyś kazano świadkom składać jakąś przysięgę, że będą mówić prawdę. Teraz już nie każą. Nie jest potrzebna.

Ledwie włączono prawdomierz, Mallin spojrzał do góry na wielki ekran za trzema sędziami — kula nad jego głową świeciła czerwonym blaskiem. Rozległ się chichot. Nikt z obecnych na sali sądowej nie wiedział lepiej niż Mallin, co się działo. Miał u siebie w laboratorium ekrany, które rozkładały to wszystko na indywidualne wzorce regularne, pulsujące fale z kory mózgowej, fale alfa i beta; beta-alef i beta-bet, beta-gimel i beta-dalet. Fale ze wzgórza. Zaczął myśleć o nich, a także o elektromagnetycznych zjawiskach towarzyszących aktywności mózgowej. Stopniowo czerwień zbladła i kula zajaśniała błękitem. Przestał już tłumaczyć wypowiedzi i zastępować je innymi, o których wiedział, że będą fałszywe. Gdyby tylko zdołał to wytrzymać. Zdawał sobie jednak sprawę, że prędzej czy później nie wytrzyma.

Kiedy podawał nazwisko i karierę zawodową, kula była niezmiennie błękitna. Trochę czerwieni mignęło w czasie, gdy wymieniał listę publikacji

— ów referat, od początku do końca dzieło pewnego studenta, które opublikował pod swoim nazwiskiem. Zapomniał o tym, ale sumienie pamiętało.

— Doktorze Mallin — zaczął starszy z dwóch sędziów pomocniczych, który siedział bliżej środka — na czym, według pańskiej fachowej opinii, polega różnica między myśleniem sapienta a zwierzęcia?

— Na zdolności do świadomego myślenia — stwierdził. Kula pozostawała błękitna.

— Czy to znaczy, że zwierzęta nie są świadome, czy też, że nie myślą?

— No cóż, ani jedno, ani drugie. Każda forma życia mająca centralny system nerwowy posiada jakąś świadomość, zdaje sobie sprawę ze swego istnienia i z tego, co ją otacza. Każde stworzenie wyposażone w mózg myśli, najogólniej rzecz biorąc. Zmierzam do tego, że tylko mózg sapienta myśli i wie, że myśli.

Na razie nic mu nie groziło. Mówił o bodźcach, reakcjach czuciowych i o odruchach warunkowych. Cofnął się do pierwszego wieku Ery Przędatomowej, do Pawłowa, Korzybskiego i Freuda. Błękit kuli nawet nie drgnął.

— Zwierzę nierozumne jest świadome tylko tych zjawisk, które działają aktualnie na jego zmysły, i reaguje mechanicznie. Postrzega coś i dokonuje pojedynczego stwierdzenia — to się nadaje do jedzenia, to uczucie jest nieprzyjemne, to jest obiekt zadowolenia seksualnego, to jest niebezpieczne. Z drugiej strony, rozum sapienta jest świadomy myślenia o takich bodźcach zmysłowych i dokonuje stwierdzeń opisowych na ich temat, a następnie w logicznie powiązonym łańcuchu myśli dokonuje stwierdzeń na temat tamtych stwierdzeń. Mam u siebie analizę dyferencji strukturalnej, więc gdyby ktoś mi ją przyniósł...

— No cóż, mniejsza o to, doktorze Mallin. Kiedy opuści pan miejsce dla świadków i rozpocznie się dyskusja, będzie pan mógł pokazać, o co panu chodzi. Na razie potrzebujemy tylko pańskiej ogólnej opinii.

— A zatem, umysł sapienta potrafi uogólniać. Dla zwierzęcia nierozumnego każde doświadczenie stanowi albo całkowitą nowość, albo jest identyczne z jakimś zapamiętanym doświadczeniem. Królik będzie uciekać przed każdym psem, bo dla umysłu królika jest on identyczny z innym psem, który go gonił. Ptak będzie miał ochotę na jabłko, a jabłko będzie niezwykłą, czerwoną rzeczą do dziobania. Istota rozumna powie: *Te czerwone przedmioty to jabłka; jako klasa, są one jadalne i smaczne.* Ustanawia klasę pod ogólnym mianem jabłek. To z kolei prowadzi do powstania pojęć abstrakcyjnych — czerwieni, smaku i tak dalej — zrodzonych w umyśle w oderwaniu od jakiegokolwiek specyficznego obiektu fizycznego, oraz do uporządkowania abstrakcji, owoców przeciwstawionych jabłku, jedzenia przeciwstawionego owocom.

Kula jarzyła się spokojnie na niebiesko. Trzej sędziowie czekali, a Mallin mówił dalej:

— Po sformułowaniu idei abstrakcyjnych zachodzi konieczność ich symbolizacji, aby móc się nimi posługiwać w oderwaniu od konkretnych obiektów. Istota rozumna myśli symbolami i porozumiewa się językiem symboli, jest zdolna do przekazywania innym sapientom swoich idei w formie symbolicznej.

— Jak na przykład *Papsio Dziaak?* — zapytał sędzia z czarnymi wąsami, siedzący z prawej strony Mallina.

Kula natychmiast rozbłysła czerwienią.

— Wysoki Sądzie, nie mogę brać pod uwagę słów odebranych przypadkowo i wyuczonych poprzez mechaniczne powtarzanie. Kudłacze po prostu nauczyły się kojarzenia tego dźwięku z konkretnym człowiekiem i używają go jako sygnału, nie zaś symbolu.

Kula wciąż była czerwona. Najwyższy sędzia, pośrodku, stuknął młotkiem.

— Doktorze Mallin! Ze wszystkich ludzi na tej planecie przynajmniej pan powinien wiedzieć, że nie da się kłamać pod prawdomierzem. Inni

tylko wiedzą, że tego nie można robić, pan wie, dlaczego. Powtórzę teraz panu pytanie sędziego Janivera i oczekuję odpowiedzi zgodnej z prawdą. W przeciwnym razie będę miał pana w pogardzie. Kiedy Kudłacze wykrzyknęły *Pa-psio Dziaak*, czy pan uważa, że zastosowały ekspresję werbalną, która w ich umysłach reprezentowała pana Hollowaya?

Nie może tego przyznać. Ta cała rozumność Kudłaczy to wielka bzdura, musiał tak myśleć. Kudłacze to po prostu małe, bezrozumne zwierzątka.

Ale tak nie myślał. Nie był aż taki głupi. Przez chwilę ścisnęło go w gardle.

— Tak, Wysoki Sądzie. Termin *Pa-psio Dziaak* jest, w ich umysłach, symbolem reprezentującym pana Jacka Hollowaya.

Spojrzał na kulę. Czerwień nabrała odcienia lilaróż, ten przeszedł we fiolet, a potem w czysty błękit. Nigdy nie czuł się tak dobrze od owego popołudnia, kiedy Leonard Kellogg opowiedział mu o Kudłaczach.

— A zatem Kudłacze faktycznie myślą świadomie, doktorze Mallin? — spytał Pendarvis.

— O, tak. Świadczy o tym fakt, że używają symboli werbalnych, można nawet nie uwzględniać innych dowodów. A dowody z pomiarów instrumentalnych były doprawdy imponujące. Obrazy stanów psychicznych, które otrzymaliśmy za pomocą encefalografii, wypadają bardzo dobrze w porównaniu z wynikami badań nad dziećmi w wieku dziesięciu czy dwunastu lat, podobnie jak zdolność do uczenia się i układania puzzli. Jeśli chodzi o układanie puzzli, to one zawsze najpierw rozwiązują problem w głowie, a potem wykonują pracę mechaniczną, wkładając w nią taki sam wysiłek umysłowy, jak powiedzmy człowiek w czasie mycia rąk albo zawiązywania krawata.

Kula była idealnie niebieska. Mallin zrezygnował z prób kłamstwa, po prostu wylewał z siebie wszystko, co myślał.

Leonard Kellogg pochylił się gwałtownie ku przodowi i złożył głowę na ramionach na stole, pogrążając się w falach rozpacz.

Jestem mordercą; zabiłem ludzką istotę. Choć to tylko zabawny, maleńki ludzik pokryty sierścią, był jednak ludzką istotą i wiedziałem o tym w momencie, gdy ją zabijałem, wiedziałem o tym w momencie, gdy zobaczyłem mogiłkę w lesie, a teraz posadzą mnie na tym krześle i zmuszą, abym przyznał się wobec wszystkich do zbrodni, a potem wyprowadzą na więzienne podwórze i ktoś strzeli mi w głowę z pistoletu, a...

A to biedne maleństwo chciało mi tylko pokazać swój nowy dzwoneczek!

— Czy ktoś chce zadać pytanie świadkowi? — spytał najwyższy sędzia.

— Ja nie — powiedział kapitan Greibefeld. — A pan, poruczniku?

— Nie, chyba nie — odparł porucznik Ybarra. — Doktor Mallin dość jasno przedstawił swoje stanowisko.

Bardzo jasno, zwłaszcza po tym, jak doszedł do wniosku, że nie zdoła oszukać prawdomierza. Mallin wzbudził współczucie w Jacku. Facet od początku mu się nie podobał, teraz jednak wyglądał inaczej, jakby był oczyszczony wewnętrznie. Być może wszystkich trzeba poddać prawdometrii od czasu do czasu, aby się dowiedzieli, że prawdziwa szczerłość zaczyna się od szczerości wobec samego siebie.

— Mecenasiu Coombes? — Coombes wyglądał tak, jakby do końca życia nie zamierzał zadać jakiegokolwiek pytania jakimukolwiek świadkowi.

— Mecenasiu Brannhard?

Gus wstał od stolika, obejmując rozumnego przedstawiciela rasy rozumnej, trzymającego go za brodę, i w górnolotnych słowach podziękował doktorowi Mallinowi.

— Wobec tego odraczam rozprawę do dziewiątej sto w dniu jutrzejszym. Mecenasiu Coombes, mam w ręku czek na dwadzieścia pięć tysięcy soli, wystawiony przez Koncesjonowaną Kompanię Zaratustra. Zwracam go panu i anuluję kaucję za doktora Kellogga — oznajmił sędzia Pendarvis w czasie, kiedy dwaj pomocnicy uwalniali Mallina spod prawdomierza.

— Czy Wysoki Sąd anuluje jednocześnie kaucję za pana Hollowaya?

— Nie, i nie radziłbym panu robić z tego problemu, mecenasie Coombes. Tylko dlatego nie umarzam sprawy przeciw Jackowi Hollowayowi, że nie chcę panu utrudniać dochodzenia, pozbawiając punktów oparcia. Nie uważam Jacka Hollowaya za człowieka niepewnego, jeśli chodzi o kaucję. Natomiast pańskiego klienta, doktora Kellogga, owszem, uważam za takiego człowieka.

— Szczerze mówiąc, Wysoki Sądzie, ja również — przyznał Coombes. — Mój protest był tylko przykładem tego, co doktor Mallin nazywa odruchem warunkowym.

Następnie dookoła stołu zaczęło robić się tłoczno. Wśród tłumu rozpychali się Ben Rainsford, George Lunt i jego podwładni oraz obejmujący się nawzajem Gerd i Ruth.

— Spotkamy się w hotelu, Jack — powiedział Gerd. — Idziemy z Ruth napić się i coś zjeść, a później wpadniemy po jej Kudłacze.

Towarzysz Jacka odzyskał już swoją dziewczynę, a jego dziewczyna odzyskała swoje Kudłacze. To dopiero będzie zabawa. Jak się nazywały? Syndrom, Kompleks, Id i Superego. Ależ niektórzy ludzie mieli talent do nadawania imion Kudłaczom!

16.

Przestali szeptać przy drzwiach, skręcili w prawo i weszli na podium dla sędziów, poruszając się tak, jakby maszerowali w procesji, na czele Ruiz, potem najwyższy sędzia, na końcu Janiver. Odwrócili się do ekranu, żeby publiczność, której służyli, mogła widzieć ich twarze, po czym usiedli. Woźny sądowy rozpoczął swoją rolę. Niemal czuli panujące na sali napięcie. Yves Janiver szepnął:

— Już wiedzą.

Ledwo woźny umilkł, Max Fane podszedł do podium z obojętną miną.

— Wysoki Sądzie, z wielką przykrością muszę donieść, że pozwany Leonard Kellogg nie może stawić się w sądzie. Leonard Kellogg nie żyje, dzisiejszej nocy popełnił samobójstwo w swojej celi. W czasie, gdy był pod moim nadzorem — dodał z goryczą.

Poruszenie, które zapanowało na sali sądowej, nie było wywołane szokiem zaskoczenia, to było westchnienie spełnionych oczekiwań. Wszyscy o tym wiedzieli.

— Jak to się stało, szeryfie? — spytał najwyższy sędzia prawie takim tonem, jakby prowadził zwykłą rozmowę.

— Kellogg przebywał w celi sam. Wewnątrz jest wziernik i jeden z moich zastępców miał więźnia pod obserwacją na ekranie — odparł Fane bezbarwnym głosem robota. — O dwudziestej drugiej trzydzieści więzień położył się, nie zdejmując jeszcze koszuli. Naciągnął sobie koce na głowę. Mój zastępca nie nabrał żadnych podejrzeń, wielu więźniów tak robi ze względu na palące się stale światło. Wiercił się przez chwilę, a potem sprawiał wrażenie, jakby zapadł w sen.

Kiedy dziś rano strażnik wszedł do celi, żeby go obudzić, prycza była zalana krwią. Kellogg podciął sobie gardło za pomocą zamka

błyskawicznego przy koszuli, którym szarpał tam i z powrotem, dopóki nie rozerwał żyły na szyi. Był martwy.

— Wielkie nieba, szeryfie! — Sędzia był wstrząśnięty. Z tego, co słyszał, Kellogg miał ukryty scyzoryk. Przygotował się już na surowe ukaranie Fane'a, ale żeby coś takiego! Spostrzegł, że mimowolnie przebiera palcami przy ząbkowanym rozpięciu swojej marynarki. — Nie uważam, aby można było panu zarzucić zaniedbanie. Czegoś takiego nikt nie mógł przewidzieć.

Janiver i Ruiz w kilku słowach poparli to stanowisko. Szeryf Fane skłonił się lekko i odszedł.

Leslie Coombes podniósł się, sprawiając wrażenie, że czyni straszne wysiłki, aby wyglądać na człowieka skrzywdzonego i wstrząśniętego.

— Wysoki Sądzie, znajduję się tu sam, nie mam już klienta — powiedział. — W istocie moja obecność jest absolutnie zbyteczna, oskarżenia przeciw panu Hollowayowi nie da się skutecznie poprzeć. Zastrzelił człowieka, który usiłował go zabić, i to wszystko. Proszę zatem Wysoki Sąd o umorzenie sprawy przeciw panu Hollowayowi i zwolnienie go spod nadzoru sądowego.

Kapitan Greibefeld zerwał się na nogi.

— Wysoki Sądzie, zdaję sobie w pełni sprawę z faktu, że pozwany znalazł się poza zasięgiem jurysdykcji tego sądu chciałbym jednak zaznaczyć, iż ja i moi współpracownicy uczestniczymy w niniejszym procesie z nadzieją określenia kategorii tej planety i ustalenia jakiejś sensownej definicji rozumności. Są to niezwykle ważne zagadnienia, Wysoki Sądzie.

— Ależ, Wysoki Sądzie... — zaprotestował Coombes. — Nie będziemy robić z tego farsy i sądzić nieboszczyka.

— Społeczeństwo Kolonii Bafomet kontra Jamshar Singh, zmarły, oskarżenie o podpalenie i sabotaż, 604 rok Ery Atomowej — wtrącił czcigodny Gustavus Adolphus Brannhard.

Tak, w prawie kolonialnym można znaleźć precedens niemal na wszystko.

Jack Holloway wstał ze swego miejsca, białe wąsy jeżyły mu się wojowniczo, a w zagięciu lewego łokcia kołysał się Kudłaczek.

— Ja nie jestem nieboszczykiem, Wysoki Sądzie, i znajduję się tutaj, na ławie oskarżonych. Powód, dla którego nie jestem nieboszczykiem, stanowi również przyczynę tego, że stoję przed sądem. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że zastrzeliłem Kurta Borchę w chwili, gdy brał udział w zabijaniu Kudłacza. Chcę, by podczas niniejszej rozprawy ustalono, że zabicie Kudłacza równa się morderstwu.

Sędzia powoli skinął głową.

— Nie umorzę sprawy przeciw panu Hollowayowi — powiedział. — Pan Holloway został postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem morderstwa. Jeśli go nie popełnił, ma prawo do oczyszczenia się z podejrzeń i uniewinnienia. Obawiam się, mecenasie Coombes, że będzie pan musiał dalej prowadzić sprawę przeciw niemu.

Przez salę sądową przeszła fala poruszenia, niczym powiew wiatru nad łanami pszenicy. Mimo wszystko przedstawienie miało trwać dalej.

Wszystkie Kudłacze znajdowały się tego ranka w sądzie: szóstka Jacka i piątka z posterunku policji, Flora i Fauna Bena Rainsforda i czwórka, do której pretensje rościła Ruth Ortheris. Powstał długotrwały spór o to, kto ma ich pilnować. W końcu jeden z Kudłaczy policyjnych, Al Capone albo Kuba Rozpruwacz, oraz Flora Bena Rainsforda wybrały się na przechadzkę na otwartej przestrzeni pomiędzy stolikami a podium dla sędziów, ciągnąc za sobą wąż od odkurzacza? Ahmed Khadra dał nura pod stół i próbował im go odebrać. To było cudowne, wrzeszcząc z zachwytu chwyciły go z drugiego końca, a Mike i Mitzi oraz Superego i Kompleks pobiegły im na pomoc. Siedmioro Kudłaczy ciągnęło Khadrę mniej więcej przez trzy metry, zanim poddał się i puścił. W tym samym czasie przy ostatnim stoliku rozgorzał wstępny bój między szefem sekcji lingwistycznej Akademii

Mallorysport a ciotkowatą fonetyczką amatorką. Wówczas to sędzia Pendarvis, doszedłszy do wniosku, że skoro nie można czemuś zapobiec, należy się odprężyć i spróbować to polubić, stuknął kilka razy młotkiem i ogłosił przerwę.

— Proszę, by wszyscy zostali na miejscu. Posiedzenie nie zostało odroczone. Jeśli któraś z wielu grup dyskutujących, jak mi się zdaje, o różnych aspektach sprawy, osiągnie porozumienie zasługujące jej zdaniem na włączenie do materiału dowodowego, uprzejmie proszę zawiadomić ławę sędziowską, aby można było wznowić rozprawę. Tak czy inaczej, wznowienie rozprawy nastąpi o jedenastej trzydzieści.

Ktoś zapytał, czy w czasie przerwy można palić. Najwyższy sędzia odparł, że można. Wyjął cygaro i zapalił.

Mamie spodobał się kłębek dymu, zaciągnęła się, ale nie zasmakowała w nim. Jack zauważył kątem oka, że Mike, Mitzi, Flora i Fauna ruszają pędem do ławy sędziowskiej i wbiegają po schodkach z tyłu podium. Kiedy spojrział po raz drugi, wszystkie już były na górze, a Mitzi pokazywała sądowi zawartość swojej torby.

Jack wstał wraz z Mamą i Dzidziusiem i poszedł do miejsca, gdzie siedział Coombes. Ktoś niósł dzbanek kawy z bufetu. Kudłaczki powinny częściej gościć w sądach.

Młotek zastukał powoli. Kudłaczek wdrapał się na kolana Jacka Hollowaya. Po pięciu dniach pobytu w sądzie wszystkie już się nauczyły, że po stuknięciu młotka one i inni mają się uciszyć. Dobrze byłoby, pomyślał Jack, wystrugać po powrocie do domu mały młoteczek i trzymać go pod ręką na wypadek, gdyby rodzinka zanadto rozrabiała. Dzidzius, który nie był jeszcze dostatecznie wyszkolony pod tym względem, wybrał się na przechadzkę po podłodze. Mama rzuciła się za nim i przyniosła go z powrotem pod stół.

Izba znowu przypominała salę sądową. Stoliki zostały uszeregowane w kształtnym rzędzie naprzeciw podium, a boks dla świadków i ławy

przysięgłych wróciły na swoje miejsce. Zniknęły popielniczki, dzbanek z kawą i kubek z lodem do piwa i napojów chłodzących. Wyglądało na to, że przyjęcie dobiegło końca. Jackowi zrobiło się trochę przykro, to była dobra zabawa. Zwłaszcza dla siedemnastki Kudłaczy, Dzidziusia i czarnobiałego kotka.

Jedna rzecz była niezwykła: na podium dla sędziów pojawił się czwarty mężczyzna, spowity w czarny uniform Floty ze złotymi galonami, siedzący nieco z boku i starający się wyglądać tak, jakby go w ogóle nie było — Komodor Sił Kosmicznych Alex Napier.

Sędzia Pendarvis odłożył młotek.

— Panie i panowie, czy jesteście gotowi do przedstawienia stanowiska, które wypracowaliście? — zapytał.

Wstał porucznik Ybarra, psycholog Floty. Miał przed sobą monitor. Trącił włącznik i uruchomił aparaturę.

— Wysoki Sądzie... — rzekł. — Nadal istnieje znaczna różnica zdań co do szczegółów, uzgodniliśmy natomiast wszystkie kwestie podstawowe. To jest dość rozwlekłe sprawozdanie i zostało już włączone do ostatecznego zapisu. Czy mam zgodę sądu na rekapitulację?

Sąd odpowiedział, że tak. Ybarra spojrział na monitor i kontynuował:

— Naszym zdaniem rozumność można zdefiniować jako cechę, którą — w odróżnieniu do nierozumności — charakteryzuje świadoma myśl, zdolność do logicznego myślenia sekwencyjnego, a także zdolność do myślenia pojęciami oderwanymi od zwykłych danych czuciowych. My — to znaczy przedstawiciele wszelkich ras inteligentnych — myślimy świadomie i wiemy o tym, że myślimy. To nie znaczy, że cała nasza aktywność umysłowa odbywa się świadomie. Psychologia opiera się w dużym stopniu na uznaniu faktu, że tylko niewielka część naszej aktywności umysłowej zachodzi powyżej progu świadomości. Od stuleci rysujemy intelekt jako czubek góry lodowej, dziesięć procent nad powierzchnią, a dziewięćdziesiąt procent w ukryciu. Sztuka psychiatrii

polega przede wszystkim na uzupełnianiu świadomości zawartością owych ukrytych dziewięćdziesięciu procent, a jako praktykujący lekarz mogę zaświadczyć o trudnościach i niepewności, które się z tym wiążą.

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do świadomego myślenia, że kiedy dochodzimy do jakichś wniosków w procesie nieświadomym, nazywamy je przeczuciem albo intuicją i kwestionujemy ich znaczenie. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do działania na podstawie świadomie podejmowanych decyzji, że musimy pracować, poprzez systematyczne ćwiczenia, przyswajać sobie reakcje odruchowe, od których zależy nasze przeżycie podczas walki lub w innych stanach zagrożenia. Cechuje nas z natury tak straszna ignorancja odnośnie owego wielkiego, ukrytego obszaru aktywności umysłowej, że dopiero w pierwszym wieku Przed Atomem zaczęto mgliście podejrzewać jej istnienie, a jej istota jest ciągle przedmiotem zajadłych dyskusji wśród specjalistów — stwierdził Ybarra.

Niektóre z nich miały również miejsce, i nadal mają, w ciągu ostatnich czterech dni.

— Jeśli umysłowość sapientów przedstawimy jako czubek góry lodowej, to umysłowość zwierząt nierozumnych możemy przedstawić jako promień słońca odbity od jej powierzchni. Jest to dużo mniej dokładna analogia. Podczas świadomego przetwarzania bieżących bodźców, pochodzących od zmysłów, w umyśle zwierzęcym zachodzi także proces znacznego wchłaniania i remisji wspomnień podświadomych. W trakcie poszukiwań najlepszych reakcji na nowe zadania występują również przebłyski czegoś, co musi być świadomą działalnością umysłową. Doktor van Riebeek, który jest szczególnie zainteresowany ewolucyjnym aspektem tej kwestii, sugeruje, że drastyczne zmiany w środowisku mogły zmusić istoty nierozumne do mniej lub bardziej długotrwałego świadomego myślenia i dzięki temu zainicjowały nawyki myślowe, które z czasem zapoczątkowały prawdziwą rozumność.

Mózg sapienta nie tylko myśli świadomie dzięki nabytym przyzwyczajeniom, lecz ponadto rozumuje we wzajemnie powiązanych sekwencjach. Kojarzy jedno z drugim. Rozumuje logicznie, to znaczy wyciąga wnioski i wykorzystuje je jako przesłanki, z których wyprowadza dalsze wnioski. Grupuje ze sobą asocjacje i tworzy uogólnienia. W tym miejscu nie możemy już mówić o jakimkolwiek porównaniu z nierozumnością. To nie jest tylko więcej świadomości ani więcej myślenia, to jest myślenie zasadniczo odmiennej natury. Umysł istoty nierozumnej zajmuje się wyłącznie obrabianiem surowego materiału napływającego ze zmysłów. Umysł sapienta przetwarza wrażenia zmysłowe na pojęcia, a następnie tworzy pojęcia pojęć w piętrzących się układach abstrakcji, nieomal bez ograniczeń.

Doprowadza nas to w końcu do jednego z uznanych, widocznych przejawów rozumności. Sapient posługuje się symbolami. Istota nie obdarzona rozumem nie może posługiwać się symbolami, ponieważ działanie jej mózgu ogranicza się tylko do przetwarzania bodźców zmysłowych.

Ybarra wypił trochę wody, a drugą ręką przekręcił tarczę monitora.

— Sapient — kontynuował — potrafi robić jedną rzecz. Jest to połączenie trzech wymienionych już zdolności, ale ich kombinacja jest czymś więcej niż tylko sumą składników. Sapient ma wyobraźnię. Potrafi widzieć coś, czego nie ma w dostępnym dla zmysłów realnym świecie, a następnie potrafi w planowy sposób sprawić, aby stało się to elementem tego świata. Nie tylko ma wyobraźnię, potrafi również tworzyć.

Urwał na chwilę.

— Oto nasza definicja rozumności — podjął. — Kiedy napotykamy istotę, której procesy myślowe obejmują wspomniane cechy, możemy ją uznać za naszego brata w rozumie. Naszym zdaniem, do którego doszliśmy po głębokim namyśle, Kudłacze należą właśnie do takich istot.

Jack ścisnął drobnego sapienta, którego trzymał na kolanach, a Kudłaczek spojrział do góry i mruknął:

— Hi-inta?

— Jesteś wśród nas, szkrabie — szepnął Jack. — Właśnie dołączyłeś do ludzi.

Ybarra mówił dalej:

— Myślą świadomie i w sposób ciągły. Wiemy to na podstawie instrumentalnej analizy pomiarów wzorców elektroencefalograficznych Kudłaczy. Są one bliskim odpowiednikiem wzorców inteligentnego dziecka ludzkiego w wieku dziesięciu lat. Myślą sekwencyjnie. Zachęcam do rozważenia różnorodności logicznych posunięć koniecznych do tego, aby wymyślić, zaplanować i wykonać broń do zabijania krewetek oraz wynaleźć narzędzia do jej sporządzenia. Dysponujemy bogatym materiałem dowodowym dotyczącym zdolności Kudłaczy do myślenia poza bieżącym przetwarzaniem bodźców zmysłowych, do kojarzenia, uogólniania, abstrahowania i symbolizowania.

A nade wszystko potrafią sobie wyobrazać nie tylko nowe narzędzia, ale i nowy styl życia. Widzimy to przy pierwszym kontakcie człowieka z rasą, którą według mnie należy określić jako *Kudłacz sapiens*. Kudłaczek znalazł w lesie dziwne i cudowne miejsce, miejsce niepodobne do niczego, co dotąd widział, w którym mieszkała potężna istota. Wyobraził sobie siebie żyjącego w tym miejscu, cieszącego się przyjaźnią i opieką tajemniczej istoty. A więc wślizgnął się do domu, zaprzyjaźnił z Jackiem Hollowayem i zamieszkał u niego. Potem zaś wyobraził sobie swoją rodzinę, która dzieli z nim owo drogocenne, wygodne towarzystwo. Więc wrócił po nią i przyprowadził ze sobą. Kudłaczek miał piękny sen, który śni wiele istot rozumnych, wzorem nielicznych szczęściarzy potrafił go zićić.

Najwyższy sędzia pozwolił rozbrzmiewać oklaskom przez kilka minut, zanim użył swego młotka, żeby je uciszyć. Następnie odbyła się krótka narada składu sędziowskiego, po której najwyższy sędzia znowu stuknął

młotkiem. Kudłaczek nie wiedział, co myśleć. Przecież wszyscy ucichli już po pierwszym młotku, no nie?

— Sąd jednomyślnie akceptuje zarejestrowane sprawozdanie, streszczone właśnie przez porucznika Ybarę z Floty Federacji Terrańskiej i wyraża podziękowanie jemu oraz wszystkim, którzy mu towarzyszyli.

Wyrokiem tego sądu stwierdza się, że gatunek znany jako *Kudłacz kudłacz holloway Zaratustra* jest w rzeczywistości rasą sapientów, którym należy się szacunek ze strony wszystkich innych istot rozumnych, pozostającą pod opieką prawa Federacji Terrańskiej. — Znowu stuknął młotkiem, bez pośpiechu, wbijając orzeczenie w prawnicze ramy.

Komodor Sił Kosmicznych Napier pochylił się nad stołem i powiedział coś szeptem, wszyscy trzej sędziowie skinęli z emfazą głowami. Oficer Floty wstał.

— Poruczniku Ybarra, w imieniu służby i Federacji dziękuję panu oraz pańskim kolegom za wspaniałe, przejrzyste sprawozdanie będące punktem kulminacyjnym pracy, która przynosi zaszczyt wam wszystkim. Pragnę również zaznaczyć, że sugestia porucznika Ybarry odnośnie instrumentalnego wykrywania rozumnych procesów myślowych jest jego pomysłem, co stwierdziłem w swoim własnym raporcie. Podkreśliłem tamże, iż biuro naukowe powinno nadać temu absolutny priorytet. Możliwe, że gdy znowu napotkamy ludzi, których mowa będzie przekraczać zakres naszego słuchu, mających futerka, żyjących w łagodnym klimacie i rozsmakowanych w surowej żywności, od razu poznamy, kim są.

Ybarra z pewnością otrzyma kolejną naszywkę i nowe stanowisko. Jack miał nadzieję, że tak się stanie. Pendarvis jeszcze raz uruchomił młotek.

— Nieomal zapomniałem — wyznał. — Przecież to jest proces kryminalny. Wyrokiem tego sądu podejrzany Jack Holloway zostaje uznany za niewinnego i uwolniony od wszystkich zarzutów. Jednocześnie zostaje zwolniony spod nadzoru sądowego. Jeśli on lub jego obrońca zechcą

tu podejść, zwrócę kaucję. — Zaskoczył Kudłaczka kolejnym użyciem młotka.

Tym razem zamiast siedzieć cicho wszyscy zaczęli wrzeszczeć tak głośno, jak tylko mogli, a Wujcio Gus podniósł Dzidziusia wysoko ponad głowę i krzyknął:

— Zwycięzca! Jednomyślną decyzją!

17.

Ruth Ortheris sączyła cierpki, zimny koktajl. Było przyjemnie, och, było bardzo, bardzo przyjemnie! Łagodna muzyka, przyćmione światła, odsunięte stoliki, tylko ona i Gerd, i nikt nie zwraca na nich uwagi. Wyrzucono ją z firmy, na dodatek. Agent, który zeznawał w sądzie, staje się bezużyteczny jak wystrzelona łuska. Za rok znowu będzie im potrzebna, by złożyć zeznanie, gdy przyleci komisja śledcza z Terry, ale wówczas nie będzie już podporucznikiem, tylko panią van Riebeek. Odstawiła szklanę i potarła kamień słoneczny na palcu. Piękny klejnot i oznacza taką piękną rzecz. Ponadto zawieramy ślub z gotową rodziną. Czworkiem Kudłaczy i czarno-białym kotkiem.

— Na pewno chcesz lecieć na Betę? — spytał Gerd. — Kiedy Napier zorganizuje nowy rząd, przejmie również centrum naukowe. Moglibyśmy dostać z powrotem nasze stare posady. Albo i lepsze.

— Ty nie chcesz wracać do centrum? — Pokręcił przecząco głową. — Ja też nie. Wolę lecieć na Betę i zostać żoną poszukiwacza kamieni słonecznych.

— Oraz kudłaczologiem.

— Oraz kudłaczologiem. Nie mogłabym teraz tego rzucić. Gerd, my dopiero zaczynamy. Nie wiemy prawie nic o ich psychologii.

Pokiwał głową z powagą.

— Wiesz, one mogą się okazać mądrzejsze od nas.

Ruth zaśmiała się.

— Och, Gerd! Nie ekscytujmy się nimi za bardzo. No cóż, są jak małe dzieci. Myślą tylko o zabawie.

— Zgadza się. Przecież wspomniałem, że są od nas mądrzejsze. Trzymają się tego, co się naprawdę liczy. — Przez chwilę palił w milczeniu.

— Tu chodzi nie tylko o psychologię, nie mamy pojęcia również o ich fizjologii, ani biologii. — Podniósł szklankę do ust i wypił. — Mieliśmy ich tu w sumie osiemnaście. Siedemnaście dorosłych i jednego młodego. Czy to nie dziwna proporcja? Również tamte, które spotkaliśmy w lesie, występowały w prawie identycznym stosunku. Łącznie widzieliśmy około stu pięćdziesięciu dorosłych osobników i tylko dziesięciu młodych.

— Być może zeszłoroczne pokolenie już dorosło — odparła.

— Czy znasz drugą rasę rozumną o jednorocznym okresie dorastania? — spytał Gerd. — Mogę się założyć, że potrzebują na to od dziesięciu do piętnastu lat. Dzidzius Jacka nie przytył nawet o pół kilograma przez ostatni miesiąc. I jeszcze jedna zagadka, ta pazerność na Pezeter Trzy. Przecież to nie jest naturalne pożywienie, z wyjątkiem masy mącznej składa się z samych syntetyków. Rozmawiałem z Ybarą; zastanawia się, czy nie zawiera czegoś, co powoduje uzależnienie.

— Kto wie, czy nie zaspokaja jakichś niedoborów pokarmowych.

— No cóż, przekonamy się. — Odwrócił dzbanek nad szklanką dnem do góry. — Chyba damy radę wypić jeszcze jeden koktajl przed kolacją?

Komodor Sił Kosmicznych Napier siedział za biurkiem, które należało przedtem do Nicka Emmerta, i obrzucał wzrokiem drobnego człowieka o rudych baczkach, noszącego pogniecione ubranie, który z przestachem odwzajemniał jego spojrzenie.

— Na Boga, komodorze, chyba pan żartuje?

— Bynajmniej, doktorze Rainsford. Mówię całkiem poważnie.

— No to postradał pan zmysły! — wybuchnął Rainsford. — Równie dobrze mogę zostać dowódcą bazy na Kserksesie. Nigdy nie pełniłem żadnej funkcji administracyjnej.

— To może być właściwe przygotowanie. Zastąpi pan weterana administracji.

— I mam już pracę. Instytut Ksenotyki...

— Myślę, że w tych okolicznościach z radością dadzą panu urlop. Doktorze, logika podpowiada, że jest pan idealnym kandydatem na to stanowisko. Jest pan ekologiem, wie pan, jak katastrofalne skutki może mieć naruszenie równowagi przyrody. Kompania Zaratustra zajmowała się planetą, kiedy była ona jej własnością, teraz jednak dziewięćdziesiąt procent globu stanowi dobro publiczne. Będą się tu osiedlać ludzie z całej Federacji, licząc na wzbogacenie z dnia na dzień. Pan będzie wiedział, jak nad tym wszystkim zapanować.

— Tak, jako Komisarz Ochrony Przyrody, albo robiąc coś, na czym się znam.

— Jako gubernator generalny. Pańskim zadaniem będzie uprawianie polityki. Może pan mianować urzędników.

— Mhm, kogo, na przykład?

— No cóż, będzie panu natychmiast potrzebny prokurator generalny. Komu pan powierzy to stanowisko?

— Gusowi Brannhardowi — odparł bez wahania.

— Świetnie. A kogo... — to jest pytanie czysto retoryczne — kogo pan mianuje na Komisarza do Spraw Autochtonów?

Jack Holloway wracał na kontynent Beta na pokładzie kutra policji. Oficjalny pasażer: komisarz Jack Holloway. I jego personel: Kudłaczek, Mama, Dzidzius, Mike, Mitzi, Ko-ko i Kopciuszek. Można iść o zakład, że nie miały pojęcia o swoich oficjalnych stanowiskach!

Żałował trochę, że sam przyjął swoje.

— Chcesz dobrą pracę, George? — zapytał Lunta.

— Ja już mam dobrą pracę.

— Ta będzie lepsza. W randze majora, tysiąc osiemset rocznie. Komendant Sił Ochrony Autochtonów. I nie stracisz emerytury w policji, bo pułkownik Ferguson udzieli ci bezterminowego urlopu.

— Niech to diabli, Jack, chciałbym, ale nie zostawię malców. I nie mogę ich oderwać od reszty gromadki.

— Weź ze sobą całą gromadkę. Jestem upoważniony do wypożyczenia dwudziestu osób z oddziałów zmilitaryzowanych jako kadre szkoleniową, a ty masz tylko szesnastu. Twój sierżant dostanie patent oficerski, reszta chłopaków awansuje na sierżantów. Na początek chcę mieć oddział w sile stu pięćdziesięciu ludzi.

— Widzę, że twoim zdaniem Kudłacze będą potrzebowały znacznej ochrony.

— To prawda. Terytorium między Kordylierami a Masywem Zachodniego Wybrzeża stanie się rezerwatem Kudłaczy i ktoś go musi pilnować. Kudłacze żyjące poza rezerwatem również będą wymagały ochrony. Wiesz, jak to będzie. Wszyscy zechcą mieć Kudłacza w domu. No cóż, nawet sędzia Pendarvis zwrócił się do mnie, abym mu załatwił parkę dla żony. Pojawią się bandy kłusowników, stosujących bomby oszałamiające albo gaz usypiający i Bóg wie co jeszcze, aby je łapać i sprzedawać. Będę musiał założyć biuro adopcyjne. Poprowadzi je Ruth. A to oznacza zastępy inspektorów...

Ach, czeka go kupa roboty! Pięćdziesiąt tysięcy rocznie to pestka w porównaniu z pieniędzmi, jakie straci, zarzucając poszukiwanie kamieni słonecznych. Lecz ktoś musiał się tym zająć, a los Kudłaczy spoczywał w jego rękach.

Czyż nie procesował się, żeby udowodnić ich rozumność?

Udawali się do domu, do domu, do tego Cudownego Miejsca. Widzieli wiele cudownych miejsc od tej nocy, gdy wsadzono ich do worków: miejsce, gdzie wszystko było lekkie, gdzie mogli bardzo wysoko skakać i miękko lądować; miejsce, gdzie spotkali się z resztą swych bliźnich i gdzie mieli tyle zabawy. Teraz jednak wracali do starego Cudownego Miejsca w lesie, gdzie to wszystko się zaczęło.

I spotkali tylu Dużych. Niektórzy z Dużych byli źli, ale tylko kilku, większość Dużych była dobra. Nawet ten, który zabił, żałował potem swego

czynu, byli o tym przekonani. A inni Duzi zabrali go i już go więcej nie widzieli.

Kudłaczek rozmawiał o tym z pozostałymi — z Florą i Fauną, Al Caponem, Kompleksem, Superego, Kubą Rozpruwaczem i Jane Panikarą. Teraz wszyscy zamieszkają z Dużymi i będą nosić te śmieszne imiona. Któregoś dnia dowiedzą się, co one znaczą, alez to będzie radość! I mogą się porozumieć, bo Duzi wkładają sobie coś do uszu i słuchają ich głosu. Papcio Jack uczy się niektórych ich słów i uczy je niektórych swoich.

Wkrótce wszyscy znajdą Dużych dla siebie. Duzi wezmą ich do swoich domów, będą się o nich troszczyć, bawić się z nimi i dawać im Cudowne Jedzenie. A pod opieką Dużych być może większej liczbie młodych uda się przeżyć i nie będą tak szybko umierały.

Odwdzięczą się Dużym. Najpierw obdarzą ich swą miłością i będą im sprawiać radość. Później, gdy dowiedzą się w jaki sposób, będą im również pomagać.

PRZYPISY

[1] *coup de poing* (fr.) – pięściak

[2] Helen Keller (1880-1968) amerykańska głuchoniewidoma pisarka, pedagog i działaczka społeczna.

[3] Volkerwanderung (niem.) wędrówka ludów

[4] *nolle prosequi* (fr.) – oświadczenie powoda od odstąpienia od powództwa

[5] *sub iudice* (łac.) – sprawa nierozstrzygnięta

[6] *amicus curiae* (łac.) bezinteresowny doradca